

Ks. Jarosław Wiśniewski

# **Pożegnanie z diabłem**

Książka powstała z okazji 30-lecia święceń kapłańskich  
księdza Jarosława Wiśniewskiego.

Ks. Jarosław Wiśniewski

# Pożegnanie z diabłem

Zapiski misjonarza

wersja skrócona

Białystok 2021

**Redakcja:**

Magdalena Lebecka

**Skład i łamanie:**

Drukarnia Biały Kruk

© 2021 Copyright by ks. Jarosław Wiśniewski

© 2021 Copyright by Wydawnictwo BUK

Wydanie II skrócone

**ISBN 978-83-66465-29-9**

**Wydawca:**

**BUK**  
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo BUK

wyróżnione Medalem „PRO PATRIA”

tel. 85 868 40 60

**Druk:**

**biały**  
**drukarnia kruk**

Drukarnia Biały Kruk

ul. Tygrysia 50, Sobolewo, 15-509 Białystok

tel. 85 740 47 04, e-mail: drukarnia@bialykruk.com

W związku z kontynuacją pracy w Papui-Nowej Gwinei proszę o przekazywanie wsparcia. Dziękuję Ks. Jarek Wiśniewski.

Wpłaty z Polski:

wpłaty w PLN: 79 1500 1344 1113 4010 0139 0000

wpłaty w USD: 40 1500 1344 1113 4011 0402 0000

wpłaty w EUR: 42 1500 1344 1113 4011 0398 0000



# Spis treści

<b>Przedmowa</b>	<b>7</b>
<b>Wstęp</b>	<b>10</b>
<b>Rosja</b> (Rostów, Północny Kaukaz)	<b>11</b>
Początek – „ <i>Nie bierzcie miedzi ani srebra</i> ” ...	11
Wędrowki...	16
„Za chlebem”	22
Zatruty kraj	26
Rostów – Kazań – Ałgona	31
<b>Syberia – Daleki Wschód</b>	<b>36</b>
Czyta TV	37
Kamczatka – „niuans”	37
Spotkanie z „Tatusiem”	40
Organy	42
Radiocerkiew – TV Kana	44
Sachalin	47
Chabarowski Kraj	54
<b>W poszukiwaniu azylu</b>	<b>58</b>
Japonia	59
Korea	66
Czarna Białostocka	71
<b>Ukraina</b>	<b>73</b>
Dzieci ze strychów i piwnic	73
Alleluja	77
Mariupol – „ <i>ukraińska Częstochowa</i> ”	83
Napotkani na Ukrainie	90
<b>Misja w Uzbekistanie</b>	<b>93</b>
Angren – Parafia Bożego Miłosierdzia, moja parafia.	99
W domu u Sióstr	103
Uzbeckie kolędowanie	114
Koreańska kolęda	124

Angren – Święto Miłosierdzia Bożego 2009	131
Zjazd katolików w Taszkencie	134
Taszkient – Boże Ciało 2009	138
Różowy Popielec	140
Styczniowe refleksje	142
Drzwi Parafii Miłosierdzia Bożego zaplombowane!	149
<b>Modlitwa - stary egzorcyzm franciszkański</b>	<b>153</b>
<b>Posłowie – Suplement</b>	<b>154</b>

# Przedmowa

„Pożegnanie z diabłem” jest kolejną książką ks. Jarosława Wiśniewskiego. Kilka uwag redakcyjnych...

Materiał wyjściowy był bardzo obfity; blisko dwa tysiące zapisanych gęsto stron niejednorodnego tekstu. Znalazły się tam wspomnienia sięgające dzieciństwa i młodości, rekonstrukcja rodzinnej genealogii, pisany na bieżąco dziennik, wierszowane opowieści – rodzaj poematów, pieśni i modlitw. Dalej – refleksje o kulturze, polityce, historii – jak wyjątki z krajoznawczych przewodników.

Przy redakcji konieczny był wybór, a więc rezygnacja z wielu cennych nawet fragmentów. Mam przekonanie, że z tej ilości ktoś inny mógłby „wykroić” nawet kilka – różnych od tej – książek.

Selekcja materiału miała służyć temu, aby wywód był bardziej komunikatywny, opowieść płynęła wartko, a przesłanie stało się bardziej klarowne. Zrezygnowałam np. z poematów – licznych prób rytmizowania przez autora swojej opowieści, zachowując jedynie niewielki ich ślad. Chciałam uniknąć tautologii (wiersze powtarzały to, co zostało już powiedziane w innej formie) i elementów spowalniających narrację.

Trzeba też było odrzucić większość tytułów i śródtytułów rozdziałów i podrozdziałów, a tym samym nadać całości zupełnie nową strukturę. Pominęłam wiele dygresji i rozważań natury ogólnej, „encyklopedycznej” – na rzecz tego, co zostało przez autora przeżyte, co on sam zaświadcza sobą.

Jak zauważył kiedyś arcybiskup Edward Ozorkowski z białostockiego seminarium: „Wszystko, co ks. Jarosław pisze, jest autobiograficzne. Wszystko, co mówi, jest nasycone nim samym”. Ta konstatacja mocno dotyczy „Pożegnania z diabłem”. Więcej – sądzę, że to najbardziej osobista książka ks. Wiśniewskiego. Otwarciej niż w poprzednich, wręcz bezpośrednio formułuje przesłanie, kierowane wprost do nazwanego po imieniu adresata. Pragnie rozliczyć się z dotychczasowym życiem z perspektywy lat spędzonych na misjach. Wiarygodność tych notacji podbija język - nieupozowany, czasem surowy, nie wolny od rusycyzmów, co jest miarą lat spędzonych daleko od Polski.

„Pożegnanie...” jest historią wykuwania się powołania. Książkę można też uznać za rodzaj spowiedzi – wyraźny jest jej ekspiacyjny wymiar – a nawet testamentu. Ks. Jarosław pragnie dowieść, że możliwe jest uwolnienie od złej przeszłości, co więcej – doświadczenia ubóstwa, ponizenia, cierpienia dają się przetrworzyć w coś,

co jest wartością w oczach Boga. On – pełnokrwisty misjonarz, w którym wciąż żyje ten wrażliwy chłopiec z biednej, naznaczonej alkoholizmem rodziny, zwraca się do innego, zagubionego, poranionego duchowo młodego człowieka. Może do potencjalnego kapłana, wręcz – przysłego misjonarza?

Lektura zapisków pozostawia wrażenie, że sam proces pisania jest dla ks. Jarosława rodzajem autoterapii, często bolesnej. Wraca do wątków, zdarzeń, osób – opisanych w poprzednich książkach, jakby na nowo egzorcyzując przeszłość.

Ks. Jarosław – opiekun i duszpasterz najsłabszych, misjonarz biedaków, bezdomnych i narkomanów, szczególnego wyczulenia na ludzką biedę i odtrącenie nabył w dzieciństwie przeżyтым w czasie schyłkowego komunizmu. Opis wczesnego okresu życia jest szczególnie przejmujący; szczerzy do bólu, jak pierwszokomunijna spowiedź.

Jarosław Wiśniewski – rocznik 1963 – to dziecko PRL-u, epoki szarej, wypranej z nadziei. Szczególnie w realiach prowincji – wioski i małych miasteczek, gdzie dorastał. Tamta rzeczywistość odradza się na stronach „Pożegnania...”, w pieczołowicie odtwarzanych konkretach topograficznych, w zapachach, w kolorycie. Wydaje się, że dla autora taka uporczywa dokładność w przywoływaniu imion, charakterystycznych cech, nazw geograficznych, w katalogowaniu zjawisk – jest formą ćwiczeń pamięci. A także sposobem mentalnej ucieczki, która daje wytchnienie od – tu i teraz; od niepewności, bezsilności, bytowych trudów, wreszcie – dojmującej samotności, które wpisane są w los misjonarza-outsidera. Paradoksalnie więc ten bynajmniej nie idylliczny świat PRL-u dla ks. Jarosława, Bożego wojownika o wiarę – staje się rodzajem azylu.

Zapiski wykorzystane w tej książce powstawały głównie w Taszkencie oraz w okresie krótkiego pobytu w Chinach. Dotyczą one działalności misyjnej księdza do 2013 roku, kiedy pożegnał się z Uzbekistanem.

Ks. Wiśniewski, który większość swego życia spędził na misjach, najdłużej, bo 10 lat, pracował w Rosji – na Północnym Kaukazie i Dalekim Wschodzie. Kolejne 5 lat – na Ukrainie i tyleż samo w Uzbekistanie. Pomędzy tymi długotrwałymi pobytami, a także w ich trakcie sporo podróżował i ewangelizował, m.in. w Japonii i Korei. Obecnie posługuje nad Pacyfikiem, wśród mieszkańców Papui-Nowej Gwinei, czego ślad czytelnik odnajdzie w epilogu książki.

Dokonując wyboru, pragnęłam, aby na każdej ze „stacji misyjnych” ks. Jarosława ujawniły się charakterystyczne dla jego posługi rysy: wytrwałe, nieustępliwe działanie (często na zasadzie „partyzantki misyjnej”, jak celnie określił ulubioną

metodę ks. Jarosława dziennikarz Marek Koprowski), kreatywność, która w warunkach na ogół niesprzyjających, wręcz wrogich katolicyzmowi, realizuje się w zaskakująco oryginalnych, właściwych tylko jemu formach.

Nieoczekiwanie, książka staje się też dokumentem gwałtownego przyspieszenia Historii...

Oto fragmenty spisywanego na bieżąco dziennika pieszej pielgrzymki do sanktuarium zwanego „ukraińską Częstochową”. Z relacji przebija entuzjazm oraz nadzieja związana z planami przyszłych pielgrzymek. Świadomość, że terenem akcji jest Mariupol – miasto, które stało się dziś symbolem heroizmu i cierpienia – nadaje lekturze nowego, przejmującego sensu.

Magdalena Lebecka

# Wstęp

W jednym ze swych utworów ksiądz Maliński pisze, że pierwsze siedem lat kapłaństwa ksiądz ciągnie za ogon diabła i nim pomiata, drugie siedem lat diabeł siada mu na plecy, a trzecie siedem lat – to on księdzem pomiata. Razem dwadzieścia jeden.

Wkroczyłem właśnie w dwudziesty pierwszy rok kapłaństwa i ciekaw jestem, co będzie dalej. Moje trudności i pokusy diabelskie w sposób szczególny dały o sobie znać nie tyle w kapłaństwie, co raczej w czasach licealnych. Jednak apogeum nastąpiło na studiach. Dwa lata nieudanych prób studiowania na świeckich uczelniach to z jednej strony koszmar, ale też pouczająca historia, wręcz nauczka za pychę, jaką miałem w sobie. Ale przecież nie ja jeden. To grozi każdemu, kto nazbyt zaufał swoim ludzkim siłom i talentom. Upadek bywa bardzo bolesny.

Ta książka w moim zamysle ma być też prywatnym egzorcyzmem na użytek wielu, ku napomnieniu i przestrodze.

# Rosja

(Rostów, Północny Kaukaz)

Mam wielkie nabożeństwo do Świętych Pańskich. Sprawę swego wyjazdu do Rosji poleciłem błogosławionej Bolesławie Lament, której beatyfikacja odbyła się w roku moich święceń. Z jej relikwią w dłoniach odprawiałem swoją sekundycję w Sokółce w 1991 roku, a już po roku posługiwałem w Rosji, gdzie przez siedem lat siostry lamentki były moimi współpracownicami. W 1995 roku intencję swego trwania na tych misjach poleciłem Matce Bożej Fatimskiej, a także św. Antoniemu, bo to było 800-lecie jego urodzin. Szczęśliwie wytrzymałem całych siedem lat w obwodzie rostowskim; zarówno cudowna figura, jak i relikwie Antoniego gościły we wszystkich moich parafiach.

Na koniec pobytu w tych okolicach błagałem Boga przez przyczynę św. Tereški o przeniesienie na Syberię. Relikwie świętej patronki misjonarzy odwiedziły Rosję, w tym także moje parafie. Jedna z syberyjskich parafii, ulubiona przeze mnie, była pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

## Początek – „*Nie bierzcie miedzi ani srebra*” ...

Jedna z najładniejszych pielgrzymkowych piosenek oparta na słowach z Ewangelii św. Marka i brzmi mniej więcej tak: „*nie trzeba na drogę sandałów i torby zabierać, nie trzeba nam srebra brać, o dach nad głową zabiegać*”.

Owszem, tak właśnie jest, zwłaszcza na misjach. W Polsce wszystko, co potrzebne do pracy pasterskiej znajduje się na plebanii lub jest łatwo dostępne w sklepie diecezjalnym. A na misjach pierwsze, co rzuca się w oczy, to niedostatek wszystkiego.

Nigdy bym nie przypuszczał, że na misjach przyjdzie mi tułać się nieustannie. Przyjechawszy do Rosji, przez kilka tygodni żyłem jak Cygan w cudzych domach, w akademiku wśród Murzynów a nawet w pomieszczeniu pod schodami w małym hoteliku.



Kilka dni spędziłem na Korolowej, w mieszkaniu mamy Igora Brackiego, starosty rostowskiej parafii. Po lokalu u Wiśniewskich był to mój drugi adres w tym mieście. Pośrodku pokoju gościnnego na dywanie leżało jakieś 200 kg ziemniaków zakupionych na zimę. W łazience wanna była pełna wody, ponieważ cały Rostów i okolice nie posiadały normalnie funkcjonujących wodociągów. Wodę podawano w określonych godzinach, więc wanny nie były po to, by się kąpać, lecz żeby gromadzić wodę, również do splukiwania w toalecie.

W tym domu, tak samo jak w akademiku naprzeciw cmentarza Brackiego uczyłem się, że Rosja to Trzeci Świat...

Akademik przypominał atmosferę „Nawojkę” i „Mrowisko”. Miał też swoją specyfikę: bardzo wielu Afrykańczyków, którzy nie jeździli na lato do domu, więc strasznie się nudzili. Obecność kapłana ich zaciękała; na codziennej mszy przez tydzień miałem minimum sześciu parafian.

Najgorzej wspominam ubikacje: pośród lata muszle pełne fekaliów niesplukanych z powodu braku wody; muchy i zaduch wypełniający korytarze. A mimo to ani sprzątaczkę, ani administratorzy nie przejmowali się sprawą. Gdy się stamtąd wyniosłem, odsapnąłem z ulgą.

Jedna z parafianek wydała córkę za mąż w Algierze. Jej mieszkanie w prestiżowym domu przy ulicy Moskiewskiej nieopodal głównego bazaru stało puste, więc na jakiś czas pozwoliła mi tam zamieszkać. To był sierpień 1992. Potem zaczął się rok akademicki i wrócili studenci z Afryki, znajomi jej zięcia. Trzeba się było wyprowadzić.

Za rok już ich nie było, bo niesolidnie płacili. Ulokowała się tam niemiecka ekipa, która budowała nam kaplicę. Byli rozbawieni, że w toalecie leci wrzątek a zimnej wody nie ma. Ja już się przyzwyczaiłem, ale dla Niemców to była egzotyka.



Gdy już zdecydowano, że mamy zamieszkać z siostrami na przedmieściach milionowego Rostowa, to w ich glinianym domku jeszcze przez 2 miesiące mieszkało kątem młode małżeństwo z dzieckiem. Byli to ludzie, którzy stróżowali w lokalu, zanim siostry się tam wprowadziły. Mimo obietnic, że już się wynoszą, robili to bardzo opieszale. Zajmowali kuchnię, podczas gdy siostry gotowały sobie na małym piecyku elektrycznym na spiralę, wielkości czajnika.



Ja mieszkałem po sąsiedzku u starej Białorusinki Nataszy, która każdego wieczoru, gdy po mszy wracałem stukając do okna, pytała dobrodusznie: „Nu szto, dziewczki wygnali?”

Domek był z gliny zmieszanej ze słomą, obłożony z zewnątrz cegłą. Tak budują Tatarzy, od których nauczyli się miejscowi Kozacy i Rosjanie. Domki zwykle były bez fundamentu, na niskiej podmurówce, ich budowanie nie zabiera dużo czasu. Ciepłe zimą i chłodne latem nie nadają się jednak na podmokłe tereny. W Batajsku poprzez budowę licznych wieżowców na mokradłach w starym korycie Donu naruszono system drenażu. Każdą wiosnę chodziło się do babci Nataszy po deskach ułożonych na ceglach, podobnie jak po Wenecji w czasie miesięcznego przypływu. Babcia oddała mi do dyspozycji swój pokój gościnny, był tam nawet telewizor, z którego nie korzystała. Częstowała mnie chlebem z gęstą śmietaną i nie chciała za swoje usługi ani grosza. U niej tak samo jak u siostr brakowało podstawowych rzeczy, nie było ani kanalizacji, ani wody, ani telefonu. Był za to piec gazowy, który dawał niesamowicie dużo ciepła i dzięki temu w jej domu ukrywały się malutkie gady, które okrągly rok wykonywały dla mnie wieczorami „żabi koncert”. Mogłem sobie wspominać, jak to przed święceniami na rekolekcjach na plebanii w sanktuarium św. Antoniego w Niewodnicy pod Białymstokiem przysłuchiwałem się tym samym żabim pieśniom rozmyślając, co nas w kapłaństwie czeka...



Jednym z dziwniejszych miejsc, w jakich przyszło mi jakiś czas żyć, był hotelik obok teatru. Szefowa hotelu mieszkała w tej samej starej kamienicy na piętrze, cztery siostry zajmowały duży pokój z okrągłym stołem, ja natomiast miałem pokoik pod schodami 2 m na 1 m. Z powodzeniem mieściło się w nim łóżko, ale już stać się nie dało, można było tylko siedzieć. Sufit, a dokładniej schody uniemożliwiały chodzenie, nie było zresztą takiej potrzeby. Ja tam tylko spałem.

Posiłki mieliśmy w dużym pokoju, gdzie w zwykłe dni odbywała się msza święta. Co do niedzieli to dogadałem się z sąsiednim teatrem lalkowym i przez niemal rok odprawiałem tam świąteczne msze święte.

W tym milionowym mieście katolicy nie mieli gdzie się modlić, a siostry zakonne i ksiądz tułali się po akademikach, domach parafian i hotelach...



Przez parę tygodni mieszkałem w domu u samotnego Niemca w Taganrogu. Trochę dziwak, jak to stary kawaler; praktykował jogę, żył skromnie, nie pił, ale wymagał ode mnie długich rozmów i wspólnego siedzenia za stołem. Pomysł, by dojeżdżać z Taganrogu do odległej o 100 km parafii w Batajsku szybko upadł. W tym czasie siostry urządziły mi pokój w klasztorze.

Po remoncie dom siostr zrobił się obszerny. Wszystkie pokoje znajdowały się na piętrze i miały oddzielne wejście. Na parterze urządziliśmy więc kaplicę, a mój pokój był jakiś czas w zakrystii. Po zakończeniu dwuletniego remontu, zamieszkałem w spichlerzu, gdzie siostry przechowywały przetwory.



Na Wielkanoc w zastępstwie mamy, przyjechał do mnie tato. Gdy zobaczył, że zamiast kościoła mam dzierżawione pomieszczenie w kukielkowym teatrze, a na msze św. jeżdżę trzy razy w tygodniu z dwoma przesiadkami zdezelowanymi sowieckimi busami, tylko westchnął: „dobrze, że mama tego nie widziała!”

A potem ustawił się w kolejce do spowiedzi. W promieniu 500 km byłem jedynym kapłanem, więc po raz pierwszy w życiu spowiadałem swego tatę. Nigdy nie próbował grać pobożnego człowieka, ale tutaj wyraźnie się wzruszył. Kto wie, może się nawet nawrócił? Choć na misjach pierwszym, który ma się nawrócić, musi być kapłan. Od tego trzeba zaczynać.



Jak wiadomo, najlepszą obroną jest atak. Jako młody ksiądz chciałem sobie zre-kompensować cały rok bezsilności w pracy na południu Rosji, planując jak najlepiej przygotować się do odwiedzin biskupa Kondrusiewicza. Na odległość mógł mieć najgorsze przeczucia, gdy chodzi o moją pracę i zachowanie. Jechał w charakterze rewizora, a odjechał jako przyjaciel, który mi ufa, a zarazem współczuje.

Na południu Rosji zawsze było gorąco ze względu na klimat, charakter ludzi i polityczną niestabilność, która wyrażała się w tendencji do partyzantki lub terroryzmu, zależnie od pozycji, z jakich rozpatrywać zachowanie rebeliantów. 1993 rok był w miarę spokojny; właśnie skończyła się wojna w Abchazji, a w Cze-czenii miała się dopiero zacząć.

Dwie spośród trzech siostr zakonnych wyjechały na wakacje, a ja każdego poranka jeździłem albo do Taganrogu, albo do Nowoczerkaska przygotowując odwiedzinę biskupa w tych dwu „wirtualnych” – póki co – parafiach. Biskup nalegał, żeby w miastach, gdzie kiedyś były kościoły odradzać je, ale nie tworzyć nowych, bo to drażniło prawosławnych. Starłem się trzymać tej zasady. W Taganrogu z pomocą przyszły mi pracownice biblioteki mieszczącej się w budynku pokościelnym. Dach runął i one się obawiały, że miasto nie zechce zająć się remontem. Liczyły na pomoc ze strony kościoła. To spowodowało, że same dały ogłoszenie, wszystkie przyszły na spotkanie (a było ich ze 20) i jeszcze drugie tyle zareagowało na zaproszenie, pamiętając o swym pochodzeniu. Biskup był zaskoczony frekwencją i świetną konferencją prasową po mszy św.

W Nowoczerkasku zaś byłem osamotniony. Nikt nie wiedział, gdzie jest stary kościół i jedynym sprzymierzeńcem okazał się pastor baptystów; jego syn pokazał mi zrujnowane pomieszczenie i zaprowadził do rektora politechniki, do której lokum należało. W piątek, gdy do przyjazdu biskupa pozostawały trzy dni, wciąż szukałem miejsca na przeprowadzenie spotkania i sposobu ogłoszenia terminu. Żadna gazeta nie była w stanie w sposób ekspresowy tego dokonać. Z duszą na ramieniu poszedłem więc do lokalnej telewizji. W redakcji napotkałem trochę egzaltowaną młodzież, dla której ciekawostką samą w sobie był egzotyczny ksiądz z Polski. Jeden z dziennikarzy miał polskie pochodzenie. Zrobili zapis za pół darmo i kilka razy w dzień przez całą sobotę pokazywali moją zatroskana twarz. Ktoś później powiedział, że ja tak dramatycznie zapraszałem na to spotkanie, że nie sposób było odmówić. Był siódmy albo ósmy lipca 1993. Myślę, że Duch Święty działał jak chciał przez tak wystraszonego człowieka, jakim byłem w tym okresie, bo po trzech latach kościół w Nowoczerkasku nie tylko został zwrócony, ale też odremontowany i na nowo poświęcony. Tym się zajął mój następca, salezjanin ks. Mackiewicz.



Na poświęcenie kaplicy MB Ostrobramskiej 9 maja zaprosiłem do Batajska wszystkich księży z Północnego Kaukazu. A po tym poświęceniu mieliśmy spotkanie w azowskim muzeum i konferencję prasową dla miejscowej telewizji; rezonans był zarówno wśród mieszkańców, jak i kapłanów. Dowiedzieli się, że Azów jest najstarszą rosyjską diecezją z czasów Złotej Ordy i że zachowały się ślady starej katedry. To były ważne odkrycia, bo akurat w tamtym czasie odbywała się

w Rosji dyskusja o konieczności usunięcia nietradycyjnych kościołów z terytorium państwa. Dyskusję podgrzewali oczywiście prawosławni, a ja posiadałem w tej sprawie swoje silne argumenty. Po roku mieliśmy już zarejestrowaną parafię i kaplicę w starej części miasta, przypuszczalnie na miejscu, gdzie stała stara katedra św. Marka.

## Wędrowniki...

Cchalbpile w Gruzji, a szczególnie rejonowe miasteczko Achalciche – to hasło wywoławcze dla katolików ormiańskiego pochodzenia; dzięki temu identyfikują siebie i swych przyjaciół na końcu świata. W Cchalbpile mieszkałem dwa lata pod rząd, zaledwie po tygodniu; na krótki czas ojczysta parafia wielu katolików Północnego Kaukazu została moim domem w sensie fizycznym i duchowym. Wedle wskazówek św. Pawła stałem się Grekiem pośród Greków i Ormianinem dla Ormian.

Ten pobyt miał być kluczowy dla dalszej pracy w Rostowie (połowa moich tamtejszych parafian stąd się wywodzi), jak i w Stanicy Leningradzkiej, Nowoczerkasku i w Szachtach.

Spora kolonia Ormian z tych okolic osiadła w Soczi, nie mała jest w Moskwie, Irkucku i na Kamczatce. Spotkałem ich również w Taszkencie, nasza sekretarka w kurii także pochodzi z tych okolic.

W pierwszym roku w Cchalbpile mieszkałem 50 metrów od kościoła, w położonym w centrum wioski domu Sarkisa, kierowcy a zarazem kościelnego u księdza Anatola. Piętrowy dom zbudowany był z piaskowca łączonego nie z cementem, a z gliną. Jak mi mówiono, na wypadek trzęsienia ziemi. Kiedy taki dom się rozsypuje, efekt jest taki, jak przy rozbiciu hartowanej szyby – nie rżnie człowieka dużymi kawałkami, tylko powoduje małe cięcia i guzy.

W Cchalpbile przeważają domki jednopiętrowe, właściciele trzymają piętro dla gości, a sami mieszkają na parterze. Zauważyłem, że podobnie organizują swoje pomieszczenia Meksykanie, Amerykanie czy Arabowie. Parter powinien być przestronny i otwarty jak dziedziniec. Domownicy spędzają czas wspólnie. Można wygodnie rozlokować się na fotelach i kanapach a nawet na podłodze, wpływy orientu wyrażają się we wszechobecnych tu dywanach.

Z różnych przyczyn mój pobyt w Gruzji wypadł bardzo pobożnie...

Podróż wyzwoliła we mnie dużo adrenaliny; nie znałem dnia ani godziny, nie wiedziałem też, jak mi się powiedzie w drodze powrotnej. Każdego wieczoru

w swoim wielkim pokoju wykonywałem wokół stołu maraton, wypraszając na kolanach u Boga łaskę szczęśliwego pobytu i powrotu.

W następnym 1994 roku zamieszkałem w Turczchu, na świeżo wyremontowanej plebanii. Turczch to osada w rejonie Achalciche, który graniczy z Armenią.

Kiedy tam przebywałem, w rejonie nadal stacjonowały rosyjskie wojska. Ciekawe, że lokowały się nie tam, gdzie żyli Gruzini, a właśnie na terenach, gdzie większość mieszkańców stanowili Ormianie, Adżarowie, Osetyjczycy i Abchazowie.

Sądzę, że przewroty, jakie obserwowaliśmy w 2008 roku, czy w latach wcześniejszych to akcje planowane z zimną krwią jeszcze w okresie rozpadu ZSRR, a może i na długo wcześniej.

Z pobytu w Turczchu zapadło mi w pamięci tylko parę epizodów. Kiedyś ksiądz zaprosił mnie do łaźni, a ja nie wiedziałem, jak się w niej zachować. Zamiast polewać gorące kamienie, żeby zapełnić pomieszczenie parą, kilka razy oblałem plecy ciepłą wodą i... wyszedłem.

Uwagę poświęcałem głównie nauce liturgii i posłudze w kościele. Pamiętam scenę chrztu podrosłego chłopca. Trwało to dość długo. Jak mi się zdało, wedle miejscowego obrzędu chłopiec podnosił nogawki, żeby kapłan pomazał mu, prócz głowy i rąk, również pięty i kolana.



Elista – znaczy piasek. Przez półtora roku przyjeżdżałem tu w każdy weekend. Choć nadal mieszkalem w Batajsku, to moja największa i ulubiona parafia znajdowała się w buddyjskiej Kałmucji, w republice, która jest reliktem Złotej Ordy i wspólnych wędrówek plemion tureckich, tatarskich i mongolskich. Dwie noce spędzałem w autobusie, aby pobyc w Eliście 12 godzin. Połowę tego czasu zajmowały wędrówki po urzędach i bratnich kościołach, dzielenie się wiedzą, doświadczeniem i zwykłe obwążowanie.

W Kałmucji w miarę dobrze poznałem się z mormonami, adwentystami i z miejscowym mnichem prawosławnym. Taka była elita duchowa miasta. Mnich walczył z kim się dało i jak się dało, używając w tej podjazdowej wojnie telewizji i prasy. A sam borykał się z codziennością w swoim klasztorze – składzie kilku drewnianych klitek. Budowa cerkwi z białej cegły utknęła w martwym punkcie, nawet honory i dystynkcje biskupie niewiele zmieniły w sytuacji mnicha. Teraz zapewne wszystko się poprawiło. W epoce Putina prawosławie stało się państwową ideologią; nikt nie szczędzi grosza na projekty kapłanów tego wyznania. Ja

jednak jeszcze pamiętam te romantyczne czasy, kiedy uboga plebania Zosimy stała przede mną otworem, a w jednej z cel pozwolono mi nawet prywatnie odprawić mszę świętą w obecności młodszego mnicha i zakonnicy o imieniu Olimpiada...



Zwykle z samego rana szedłem do domu rodziny Morozowiczów. Mieszkali w czteropiętrowym bloku, chyba na drugim piętrze. Rodzice wstawali, robili śniadanie, szli do pracy a mnie pozostawiali pod opieką niepełnosprawnej córki. Ola, dziewczynka z piątej klasy cierpiała na paraliż dziecięcy. Zachęcała, bym po podróży trochę odpoczął, pospał. Budziła mnie, gdy trzeba było iść do jakiegoś urzędu wedle grafiku, jaki z nią wcześniej omówiłem. Potem o 15 spotykaliśmy się na mszy świętej, na którą do dzierżawionego pomieszczenia teatru przywoził ją starym „zaporozcem” zatroskany tato. Nie czuło się w nim entuzjazmu, ale też nie okazywał irytacji. Znosił wiele, by sprawić radość córce inwalidce i małżonce Rosjance, która przyjęła katolicyzm za własne wyznanie i z każdym tygodniem coraz aktywniej włączała się w życie parafii. To były dwie najbardziej szczerze parafianki w mieście. Ola miała jeszcze starszą siostrę Kasię, podlotka. Choć brała ona udział we mszach, widać było, że zajmuje ją zupełnie inny świat. Ola, która z trudem mówiła, cieszyła się z każdego przyjazdu i prawdziwie wyczekiwała na mnie, jak na kogoś z rodziny. Była uzdolnionym dzieckiem. Jeden raz odwiedziła Polskę.

Niedawno dostałem od niej przez internet kilka listów i zorientowałem się, że nieźle radzi sobie w sieci. Morozowicze klepali straszną biedę. Dawno nie widziałem ludzi tak wychudzonych, a przy tym tak szczerych, gorliwych. Wspomnienia z Kałmucji przywoziłem do Uzbekistanu, bo tutaj w wielu okolicach ludziom również nie starcza na życie. Teraz tylko dygnitarze i klasa cwaniaków może sobie pozwolić na wszystko. Pozostali nierzadko jedzą swój chleb, popijając łzami.



We wsi Wesołoje mieszkała rodzona siostra Edwarda Morozowicza, po mężu Zielińska. Dostałem jej adres i jakiś czas zatrzymywałem się tam w każdy poniedziałek. Przede mną do wsi docierał Kałmuk, który chciał zostać franciszkaninem. Ochrzczony we Lwowie, sporo czasu spędził w Lublinie. Korzystając ze znajomości pośród dziennikarskiej braci i jako kolega kursowy obecnego prezydenta Iliumżynowa, zrobił w Republice sporo pożytecznego szumu na rzecz kościoła.

Zielińska miała dwoje wnucząt metysów. Lubiłem te dzieciątka i z czasem przestałem dostrzegać egzotykę w skośnych oczach, czy szerokich kościach policzkowych. Kałmucy przez długie lata unikają zmarszczek; wiek człowieka można ocenić jedynie po tym, że cera staje się ciemniejsza, a twarz bardziej szeroka. Jednak na pierwszy rzut oka oni wszyscy są zawsze młodzi.

Do Zielińskich w wiosce przyłączyli się z czasem Łagowscy i Filipy. Pomimo polskiego nazwiska mąż Zielińskiej był Ukraińcem z okolic Lwowa, rodzina Łagowskich pochodziła z Podola a Filipów z Zakarpacia. Ich domy zawsze dla mnie otwarte, zamieniły się w tymczasowe plebanie.



Tymczasową plebanię miałem też w sąsiedniej osadzie Winogradne, wiosce o przestronnych traktach, w której każdy gospodarz był posiadaczem dużej działki.

Wydaje się, że tak właśnie planowano kozackie chutory. Niemcy, którym pozwolono w latach 50. powrócić z Azji Środkowej, zorganizowali sobie tutaj „mały raj” – skansen dobrobytu i pobożności. Niemal przy każdym domostwie stał motocykl z przyczepką, jak ze starych filmów. Nie wiem, czemu te motocykle malowano na kolor jasnobłękitny? Podobną barwę miały też ogrodzenia i bramy wielu domów. Zaś domy kolchozowe – na jedno kopyto: z czerwonej cegły lub z gotowych elementów, w zależności od epoki w jakiej powstawały. Na każdym podwórku wiele drobiu a u bogatszych – również świnię i bydło rogate. Ludzie bezpłatnie dzierżawili tzw. „dzielanki”, ponieważ przez długie lata nie było prawa pozwalającego na handel ziemią. Nie mieli jednak podstawowych maszyn rolniczych. Wszystko to nadal należało do kolchozów i było rozkradane lub rdzewiało. Fabryki sprzętu rolniczego dotknął kryzys, więc nowych maszyn, dostosowanych do pól mniejszych niż kolchozowe – nie było. Każdy pracował, jak mógł, ale to był rzeczywiście czas trudny dla ludzi. Bardzo trudny był też dojazd do odległego o 12 km miasta drogami bez asfaltu, gliniastymi, żwirowanymi; szczególnie w jesieni i na wiosnę problemem było się tu przedrzeć.

Hegemonia wyznaniowa należała do baptystów, którzy mieli tu sporych rozmiarów dom modlitwy. Nie wszyscy jednak dali się wciągnąć w sferę wpływów tej wspólnoty.

Bliska stała mi się niemiecka rodzina z Saratowa. Byli biedni, ich domy zaniedbane i tragiczne we wspomnienia, a ja czułem się tam jak na ulicy Targowej w Skrwilnie. Wśród tych saratowskich Niemców najbardziej zaprzyjaźniłem

się z trzema kobietami, które wspólnie niosły ciężar cierpienia. Wszystkie były piegowate i rude; tylko w ten sposób przypominała o sobie ich niemiecka rasa. Babcia, dwie córki i dwie wnuczki musiały się zmierzyć z konsekwencjami przestępstwa, jakie popełnił mąż jednej z córek. Ukrywał się przed milicją za popełnione zbrodnie, ale nocami odwiedzał krewnych.

Co wypadło im przeżyć, to sobie trudno nawet wyobrazić! Jedna z dziewczynek, która na jakiś czas doznała paraliżu ręki, opowiadała mi, że śniła się jej nieustannie szkielety... Domek babci był drewniany, z podwórkiem pełnym błota. Obie córki wychowując po jednej dziewczynce, żyły samotnie w budynku wprawdzie ceglany, ale też zapuszczonym jak w PGR.

Staralem się, jak umialem nieść do ich domów nadzieję, choć sam jak gąbka wciągałem do środka ich przygnębienie. Dzieci tych dwu matek oraz córeczka państwa Potockich były w podobnym wieku i jakoś ze sobą spokrewnione. Przygotowywałem wszystkie trzy do Pierwszej Komunii, którą uroczystie przyjęły w Batajsku.

Po roku oddałem tę kałmucką parafię franciszkanom a za kilka lat, w 1999 roku miałem tam pożegnalne rekolekcje. Dowiedziałem się wtedy, że ukrywający się przestępca zamordował siostrę swej małżonki.

Była piękna wiosenna pogoda, kiedy szedłem z dziewczętami na cmentarz. Stały się już ślicznymi podlotkami i przyjaźnie gawędziły ze mną, jak z rodzonym ojcem. Miałem wrażenie, że ta tragedia pozostała dla nich w przeszłości. Nawet obawiałem się, czy one nie znieczuliły się na zło, jakiego były świadkami i uczestnikami. Podobnego dramatu i takiej nędzy, w dostatniej skądinąd niemieckiej wiosce, nie mogłem się wcale spodziewać.



Pierwsze spotkania w Winogradne odbywały się u rodziny Potockich. Pani domu była niemieckiego pochodzenia, a jej mąż miał korzenie polskie. To był porządny dom przyzwoitych gospodarzy. Ceglany budynek a na dużym podwórku stado kaczek, symbol dostatku. Ten dom swoją konstrukcją i szczególnym zapachem błota i amoniaku z odchodów drobiu, przypominał mi domostwo krewniaków z Trzebiegoszczy pod Lipnem. A więc i tutaj nie było mi obco.





Wszystko, co opowiedziałem o miejscowościach Winogradne, Wesoloje czy o Eliście można w jakimś stopniu odnieść do Baszanty, wielkiej rejonowej wsi z prawami miejskimi. W tamtych czasach 80% mieszkańców deklarowało niemieckie pochodzenie. Było też sporo Polaków; w nędznych warunkach mieszkała pani Ostrowska rodem z Podola, lepiej się miały panie Szotowa i Jabłońska.

Jakiś czas msze św. były odprawiane w niemal całkowicie rozwalonym pałacu, a jako plebanię traktowałem murowany z czerwonej cegły domek babci Szotowej. W domu Szotów – ubikacja w środku, ale wodę do splukiwania trzeba nabierać w wannie. Ogrzewanie gazowe jak w mieście, ale zamiast kaloryferów – labirynt grubych rur o przekroju 10 centymetrów. Jedni chwala, że tego wystarczy do ogrzania domu, inni natomiast komentują, że to marnotrawienie gazu, bo całe ciepło uchodzi w powietrze. Szotowie mieli też kilka krów. Sami separowali mleko w tzw. centryfudze i często bywałem obdarowywany śmietaną gęstą jak masło.



W Wołgodońsku rolę plebanii pełniło niemieckie centrum „Wiedergeburt”. Niemcy to ludzie gospodarni. Na strychu 9. piętrowego budynku całkiem fajnie urządzili kilka obszernych pomieszczeń. Znosili tam, co się dało: i meble, i naczynia od niemieckich repatriantów, którzy z dnia na dzień opuszczali Rosję. Spokojnie można było tam ulokować na nocleg kilka osób.

Z początku urzędowałem tam ja, potem coraz częściej korzystała z pomieszczenia siostra Inga, która solidnie zajęła się katechizacją dzieci. Z czasem miasto dało nam działkę oznaczoną numerem 1A przy ulicy Czernikowa. W czasach sowieckich planowano tam basen i klub szachowy, nawet wylano głębokie fundamenty, ale nikomu się to nie przydało. Działka w centrum miasta była przedmiotem zazdrości prawosławnego księdza, który mocno sprzeciwiał się naszej obecności. Mieliśmy jednak za sobą przychylnego burmistrza, więc stał się mały cud. Otrzymaliśmy działkę lepszą niż jakakolwiek wspólnota wyznaniowa w mieście! Wokół – największe osiedle 9. piętrowych domów. I pustkowie, na którym ekipa z Bawarii zbudowała nam drewnianą kaplicę, a miejscowi Niemcy postawili sporych rozmiarów plebanię, wymarzone miejsce do życia i pracy. Nie zdążyłem już w niej zamieszkać, bo wymagała jeszcze wykończenia. Zajął się tym

śp. ksiądz Józef Valabek ze Słowacji, który spędził na parafii cały rok. A potem udał się na Anapy nad Morzem Czarnym, gdzie bardzo młodo zmarł na zawał serca.



Opowieść z Wołgodońska mógłbym powtórzyć w odniesieniu do Stancicy Leningradzkiej. Tutaj jednak, zamiast niemieckiej diaspory byli Ormianie, a także kilka polskich rodzin, które emigrowały z Kazachstanu. Stanica przypominała Baszantę, ale była znacznie bardziej zadbana. Przez jakiś czas zatrzymywałem się i odprawiałem msze św. u pani Arevik na przedmieściach. Potem msza św. odbywała się po sąsiedzku, u rodziny Michalskich. Tam spędziłem tydzień po wypadku samochodowym. Pan domu, który był weterynarzem woził mnie na zabiegi do miejscowego szpitala. Miałem liczne rozcięcia, zadrapania od szkła, cztery szwy i obszerną „hematomę” czyli mały wylew krwi do mózgu. Michalscy byli troskliwi, choć niewylewni. Pochodzili z Zielonego Gaju, w którym pracował ksiądz Jan Paweł Lenga, późniejszy arcybiskup Karagandy i całej Azji Środkowej, obecnie już biskup emeryt.

W Leningradzkiej również otrzymaliśmy działkę pod kaplicę. Powstała drewniana budowla z ładnym wykończeniem w środku. Po kilku latach niestety ją spalono. Rolę plebanii pełniła posesja pani Stanisławy, u której wynajmowaliśmy pół domu.

## „Za chlebem”

W Rosji każdy kapłan utrzymuje się jak potrafi. Ofiary są mizerne, niewielka ilość parafian... Toteż biskupi i księża pragnąc przeprowadzić szerszą działalność – remonty, prace budowlane czy akcje humanitarne, wciąż podróżują do bogatszych krajów katolickich. Najczęściej do Polski.

Nasz biskup z Moskwy powiedział pewnego razu dosadnie, że maszynki do robienia pieniędzy nie ma i żebyśmy o środki na utrzymanie starali się sami.

Wysyłałem na cały świat wiele listów. Pisałem o swej pracy i potrzebach, prosiłem o wsparcie. Jeden z biskupów z Indii otrzymawszy list ode mnie bardzo mnie zaskoczył, bo przekazał pieniądze na moje potrzeby przez nuncjaturę w Moskwie.

Ks. Franco Cassera to kapłan, który na dwa lata przed śmiercią wziął mnie „pod opiekę”, a umierając przekazał swemu młodszemu bratu ks. Mario, również kapłanowi, by ten mnie prowadził dalej i wspierał na misjach.

Do Włoch nie jeździłem sam. Jeden raz towarzyszyła mi siostra zakonna, dwa razy księży sałezjanie. Przy pierwszej podróży zawsze miałem do pomocy kogoś, kto nas woził po parafiach i tłumaczył. Później, gdy byłem z ks. Edwardem, potrafiłem już sam parę słów po włosku powiedzieć do ludzi w kościele i prywatnie.

Podczas pierwszego pobytu w gościnie u ks. Franco Cassera mieszkałem w centrum Russia Christiana w Seriate, na przedmieściach Bergamo. Przy okazji zbierania środków na utrzymanie misji w Rosji poznałem kilkanaście wiejskich parafii i diecezjalne miasto Bergamo. Odwiedziłem tam, między innymi, Seminarium im. Jana XXIII – u wejścia spotkał nas miedziany pomnik tego lubianego papieża. Z don Franco dotarliśmy również do Wenecji, Brescii i Mediolanu.

Ks. Franco był zbyt wrażliwy – w trakcie pierwszego spotkania ze mną w Rosji rozplakał się. Robił, co tylko mógł, starał się spełniać wszystkie moje prośby. Wysłał wiele potrzebnych rzeczy – lekarstwa, zabawki, odzież, maszynę do kopiowania tekstów. Cała parafia była pełna podarków z Włoch. Mario również przyjechał do Rosji dwa lata po jego śmierci. Przebywał u nas tylko dwa dni, ale zobaczył, jak nam się żyje i pracuje. Po paru latach sam wyjechał do Birmy, czyli do Myanmaru, gdzie pracuje jako misjonarz w ukryciu. Oficjalnie jest pracownikiem Czerwonego Krzyża.

Przychodziły również na moje nazwisko „kwitki” czyli czeki. Kilka, ku memu zaskoczeniu, przyszło również z Meksyku. Okazuje się, że tamci biskupi, do których trafiały moje listy, odnieśli się do tych próśb poważnie, z szacunkiem. To od nich najczęściej otrzymywałem czeki. Widocznie tam to była rzecz normalna. Z początku nie bardzo wiedziałem, co z nimi robić, więc przekazywałem biskupowi. Część udało mi się później zrealizować we Włoszech, kiedy byłem w gościnie u don Franco. W Rosji nie było z nich żadnego pożytku.

W 1997 roku odwiedziłem ponownie Włochy, w tym również Rzym i Turyn. Po raz pierwszy w życiu byłem w tych dwu świętych miastach i przywozłem stamtąd moc wspomnień. Wtedy to spotkałem ks. Mario, który nam przekazał sporo pieniędzy na mocy testamentu swego brata.

Jak widać, prośba biskupa, żeby go nie niepokoić bardzo na mnie podziałała. Teraz mogłem utrzymać się sam i jeszcze wspierać klasztor siostr. Byłem w jakimś sensie z siebie dumny. Po pięciu latach pobytu w Batajsku kątem u siostr, nareszcie wykupiłem posesję w Azowie, gdzie mogłem zamieszkać i spokojnie pracować.

Do Włoch wozilem w roku jubileuszowym młodzież z Syberii. W 1997 roku odwiedziłem również Neapol, Genuę, Rimini, a w roku 1999 Padwę. W 2007 roku dotarłem do Asyżu. Podczas każdego z pobytów zdarzało mi się spotykać

ludzi, którzy pamiętali wojnę, bo stracili wtedy wielu bliskich i mimo, że stracili ich w Rosji, to zachowali niepojętą sympatię do tego dalekiego dla nich kraju. Mentalność Włochów i Rosjan w wielu punktach jest podobna.



W roku 1995 franciszkanie sprowadzili relikwie świętego Antoniego, a biskupi cudowną figurę Matki Bożej Fatimskiej, która miała podróżować od dekanatu do dekanatu, jakby dublując nawiedzenie Matki Bożej Częstochowskiej. Ja w tym czasie odbywałem nowicjat u franciszkanów, ale przerwałem tę próbę w połowie. Pozostawione w Rosji parafie trzeba było ratować przed marazmem a nawet całkowitym upadkiem.

Aby je utrzymać, konieczne były środki finansowe i ja je zdobyłem w Hiszpanii. Zaproszenie wystosowali klerycy, którzy odwiedzali mnie dwukrotnie w Rosji. Ale nie doszłoby ono do skutku, gdyby nie brat Emilio Benedetti, jezuita, który znał moją sytuację od środka, bardzo się przejął i opowiedział w szczegółach sugerując, co można dla mnie zrobić. Do Hiszpanii trafiłem dopiero w 1996 roku, ale przez następne 3 lata jeździłem tam co roku regularnie z podobną misją jak do Włoch. W tym samym czasie inni moi koledzy z Rosji zdobywali środki na przetrwanie głównie w Polsce. Mnie pomogła znajomość języków i naturalny ciąg do przygód. Niezle poznałem Madryt oraz – pielgrzymując do Santiago de Compostella – Asturię i Galicję. Kwestując, byłem w Avila, Toledo, Valladolid, Walencji oraz Burgos.

Po powrocie do Rosji czekało mnie nie lada zadanie. Moje parafie miała nawiedzić ta sama Fatimska Figurka, która rok wcześniej pielgrzymowała po polskich dekanatach. Oprawa była skromniejsza niż w Polsce, ale skutków nie dało się przecenić. To nawiedzenie dało moim parafianom więcej, niż jakiegokolwiek pieniądze pozyskane w Hiszpanii.



Do Brukseli zaprosił mnie brat Emilio Benedetti, jezuita. Byłem u niego zimą 1997 roku. To właśnie w Brukseli dostrzegłem, że procesy wywłaszczania kościoła odbywają się w sposób dobrowolny. W tym samym czasie, gdy myśmy sobie wypruwali żyły, by odzyskać w Rosji stare i budować nowe kościoły, Belgowie sprzedawali stare i przerabiali je na biura.



Po raz pierwszy w życiu odbyłem wymarzoną podróż do Niemiec jesienią 1996 roku, z salezjaninem księdzem Edwardem. Wprawdzie w pierwszym roku kapłaństwa dwukrotnie przejeżdżałem tamtędy tranzytem, ale teraz to była podróż docelowa. Było to trudne, ale zarazem owocne podróżowanie. Odwiedziliśmy zarówno Freiberg na południu, jak i Koenigstein na północy. Byliśmy w Dortmundzie i otarliśmy się o Essen. Żaden z nas nie był wcześniej w tych okolicach, więc uczyliśmy się od zera, jak się poruszać w tym kraju.

Po tej pierwszej udanej pielgrzymce przez następne 3 lata, przynajmniej raz w roku, wspólnie odwiedzaliśmy Niemcy.

Zadziwił nas łagodny, dużo cieplejszy niż w Polsce klimat. Robiły wrażenie perfekcyjne i bezpłatne autostrady oraz stopień dewastacji Wschodnich Niemiec. Chwilami miasta NRD-owskie sprawiały wrażenie opuszczonych...



W Niemczech istniały dwie duże organizacje humanitarne: Renovabis i Kirche im Not. Jakiś czas minął, zanim zrozumiałem, że tego rodzaju organizacje reagują tylko na prośby podpisane przez biskupa i zatwierdzone przez kolegium pracowników danej fundacji.

Trzykrotnie odwiedzałem te organizacje wspólnie z salezjanami – ks. Edwardem i ks. Jurkiem. Podróże do Niemiec samochodem, zwłaszcza z ks. Edwardem, były dla mnie jak rekolekcje. Jeden raz mieliśmy okazję koncelebrować i mieszkać na malutkiej plebanii w miejscowości Wehingen. Podziwiałem, jakie te wszystkie plebanie są sterylne i nowoczesne podobnie jak we Włoszech. W Polsce tego przedtem nie widziałem, a tym bardziej w Rosji.



Gdy trafiłem do Rosji, często na swej drodze napotykałem żebraków i oszustów. W jakimś sensie sam byłem żebrakiem, bo z ofiar parafian nie sposób się było utrzymać.

Największe oszustwa, jakich doświadczyłem wiązały się z kupnem domu i samochodu dla parafii. Zanim się pojawiłem, mój starosta kupił dla parafii dom za 200 dolarów i, jak się domyślam, dużo więcej wziął od księdza biskupa na te

transakcje. Ksiądz biskup był bardzo zdenerwowany. Dał kolejne pieniądze na remonty, ale gdy przyjechałem, okazało się, że żadnych remontów nie przeprowadzono.

Starosta codziennie przekonywał mnie co do konieczności kupna samochodu, ale ja takich środków nie miałem. Powiedział więc, że wyremontuje swoje auto i odda dla parafii. Sporządził listę zakupów potrzebnych do naprawy samochodu. Pojechałem z tym dokumentem do Wołgogradu i gdy go pokazałem biskupowi, on się rozgniewał, bo uznał to za szyderstwo. Wszystkie ceny były wzięte z sufitu i kilka razy zawyżone. Biskup otworzył mi oczy na oszustwa starosty, więc tego człowieka zwolniłem. Nie miałem jednak nikogo na jego miejsce poza siostrami, które też nie znały wszystkich cen...

Wspomniany remont domu za 200 dolarów trwał 3 lata. Ostatnią rzeczą, którą trzeba było zrobić, to rekonstrukcja garażu. Garaż miał być piętrowy i gdy odjeżdżałem na dłuższy pobyt do Polski, była umowa na 1000 dolarów. Gdy wracałem, budowląnci zażądali 7 tysięcy dolarów. To jedno z największych oszustw, jakich padłem ofiarą w tym okresie. Gdy pracowałem na Sachalinie i trwała budowa kościoła, oszustwa i przekręty były dużo większe, ale ja już byłem bity wiele razy i jakoś się przyzwyczaiłem, że Rosjanie obcokrajowców po prostu muszą oszukiwać, bo tak zostali wychowani.

## Zatruty kraj

Kleryk Siergiej, którego trzy razy kierowałem do seminarium, za każdym razem sprawiał mi coraz więcej rozterek i bólu, choć nie przeczę, że były też chwile nadziei i radości.

30 sierpnia 1993 roku posłałem go po raz pierwszy do Moskwy samolotem razem z dwoma kandydatami, Eugeniuszem i Mikołajem. Tylko ten ostatni został kapłanem i ma się świetnie jako przełożony rosyjskich franciszkanów. Siergiej wytrzymał jakieś 7 miesięcy i po Wielkanocy wrócił.

Po dwu latach zjawił się u mnie znowu i tym razem, żeby startować do seminarium, musiał przejść przez sito proseminarium w Astrachaniu. Tutaj spisał się lepiej. Przetrwał cały rok, choć potem przyznał się, że wieczorami klerycy sporo wódki pili, a udawali świętoszków.

Trzecia próba była już w Białymstoku. Pojechał tam wbrew nadziei i przetrwał znów tylko 7 miesięcy. Po tej trzeciej przekonałem się na jego przykładzie,

że pogodzenie świętości i narkotyków jest niemożliwe. One ciągną człowieka za szyję w dół i bez pomocy łaski nie sposób się z tego wyrwać. Siergiej nie dał szansy Panu Bogu i po trzykroć wracał do błota, z jakiego próbowałem go wyciągnąć. Byłem dla niego za miękki i zbyt opiekuńczy. Widziałem w nim siebie samego – Jarka z czasów włóczęgi i hippisowania. Musiały jednak być między nami jakieś różnice, bo do mnie żaden kapłan tak wytrwale nie wyciągał ręki, jak to potem zrobiłem ja sam. Musi być przynajmniej remis; Samarytanin ma zrobić swoją robotę, ale poturbowany Żyd nie może powtórnie ryzykować pobicia.



Burzliwe były losy Igora Baranszczykowa. To profesjonalny muzyk, który jako perkusista grał w wielu rosyjskich zespołach rockowych. Biznes estradowy stał wtedy w Rosji słabo i nie dawał spodziewanych dochodów. Igor wciągnął się w handel narkotykami a nawet bronią. Z czasem sam zaczął pić i ćpać. Został aresztowany i groził mu duży wyrok. Bardzo prosił Boga, by wyrok mu zmniejszył. Niespodzianie sprawę umorzono i po 8 miesiącach Igor znalazł się na wolności. Pojechał na Ukrainę śpiewać ułożone w więzieniu piosenki o Bogu, a stamtąd trafił nad Don. Zaprzyjaźniliśmy się w 1996 roku w Batajsku pod Rostowem. Igor jest bardem Jezusa i przyczynia się swymi występami do wielu nawróceń.

W mojej parafii pod Rostowem, zarówno w Batajsku, jak i w okolicach było sporo młodzieży z tzw. grupy ryzyka. Znajomość z byłym narkomanem, który wyrwał się z uzależnienia była ogromnie cenna – miał sporo do powiedzenia mojej dzieciarni.

Mieliśmy na tyle dobry kontakt i wspólny język, że chwilami podejmowałem się pracy kierowcy, byle tylko Igor mógł dotrzeć do najodleglejszych zakątków moich parafii. Jeździliśmy po ośrodkach rehabilitacji i szpitalach dermatologicznych, bo przy każdym z nich był oddział dla alkoholików i narkomanów.

Bywaliśmy razem w domach starców i sierocińcach. Kilkakroć dotarliśmy do więzień i do poprawczaków. Igor odwiedzał mnie na Kaukazie, Syberii, na Ukrainie i w Taszkencie. Mimo, że mocno się różnimy, dopełnialiśmy się w sposób wyśmienity. On, jako gitarzysta i świadek nawrócenia, ja jako kierowca i pasterz środowisk trudnych czułem się świetnie w takim tandemie. Gdy Igor odjeżdżał, jakiś czas mogłem działać samodzielnie.

Na Ukrainie Igor dopomógł w przeprowadzeniu pierwszej pieszej pielgrzymki Donieck – Mariupol. Każda kolejna szła dzięki tym pierwszym trudnym

doświadczeniom. Igor był silny jak koń, nie wypuszczał gitary z rąk od rana do nocy. Takie były jego zobowiązania z więzienia i takie też są moje.



Dopóki nie przyjechałem do Rosji, nie wyobrażałem sobie, jak wielu mężczyzn w tym kraju ma pokiereszowane życie przez lata spędzone w więzieniu. Dostyc wspomnieć, że charakterystyczne dla tzw. zeków czyli dawnych więźniów, są liczne tatuaże na dłoniach, szyi czy nawet na powiekach. Zdarzało mi się spotykać pastorów a nawet prawosławnych księży z takim dekoracjami. Dodam, że mowa o czasach, kiedy moda na tatuaże nie istniała i zakładów proponujących wykonanie artystycznych ozdób nie było.



Wielkanoc Roku Jubileuszowego – spotkanie na obrzeżach miasta w dużym zakładzie karnym, który był ogrodzony drewnianym płotem o przynajmniej 4 metrach wysokości. To się naprawdę kojarzyło z czasami carskimi. Kilkakrotnie zatrzaśkiwały się za mną różne metalowe zakratowane drzwi. Przeszliśmy kilka dziedzińców, bo na terenie było wiele budynków, potem wprowadzono nas do dużej hali, w której siedziało bez kajdanek około 200 młodocianych przestępców. Najpierw pozwolono mi przemówić na scenie. Pokazałem przyniesione przez nas paschalne jajka i wytłumaczyłem ich znaczenie, a potem wyszedł z gitarą nawrócony muzyk Barancykow. On miał tym chłopakom dużo więcej do powiedzenia – o narkotykach, wódce i o szacunku do starszych, zwłaszcza dla mamy. Miał na ten temat kilka fajnych piosenek.



Jednym z narkomanów, którym się opiekowałem w Rosji i który do dziś dzielnie trzyma się w abstynencji był Iwan, kazachstański Niemiec. Przyszli go do mnie z Moskwy bracia franciszkanie prosząc, bym mu się przyjrzał. Chłopak był kiedyś w małżeństwie, ale po tym, jak trafił do więzienia za nieumyślne morderstwo, stracił rodzinę i dom. Do Moskwy przyjechał bez niczego. Jego mama w międzyczasie repatriowała się do Niemiec, a on do Niemiec jechać nie chciał. Gdy Igor przyjeżdżał do nas z Moskwy, Iwan pomagał wszystkim, jak potrafił.



Czasami również składał świadectwo swojego nawrócenia i wyzdrowienia z wielu chorób, jakimi sam siebie obdarzył przez „siedzenie na igle”.



Edik to metys, czyli dziecko Rosjanki i Koreańczyka. Bardzo sympatyczny chłopak, podobnie jak jego siostra Marina. Ich losy były mocno zagmatwane. Marina trafiła „pod opiekę” największego mafioso w mieście. Mimo, że była nieletnia, pewien narko-dealer uczynił z niej swoją konkubinę. Rodzice nie mogli nic z tym zrobić. Po jakimś czasie udało jej się zbiec. Kontaktowała się z naszymi siostrami, rozważały możliwość ukrywania jej w klasztorze. Nic z tego jednak nie wyszło. Rodzice odesłali ją do krewnych w odległym Saratowie czy w Samarze.

Jej brat Edik mieszkał jakiś czas pod moją opieką. Miał dziwne zachowania. Lubił opowiadać swoje dzieje, ale często zasypiał w połowie historii jakimś dziwnym snem. Gdy się ocknął, kontynuował z miejsca, w którym skończył. Rehabilitowałem go „po omacku”, tak jak kleryka Siergieja, poprzez pracę. Któregoś dnia odszedł bez słowa. Później jego koledzy przyszli do mnie, bym go ratował i za niego poręczył, bo milicja zabrała go do poprawczaka. Zrobiłem, co mogłem. Oddział Kultury zgodził się na moje poręczenie, ale nie zgodziła się milicja, bo w tym czasie ktoś zgłosił fakt kradzieży i nie był to już pierwszy przypadek włamania z udziałem Edika. Mam tylko nadzieję, że więzienie pomogło mu się podnieść, a nie wykoleić.



Ostatnie dwa lata na Kaukazie spędziłem w Azowie na terenie posesji, w której mieszkał notoryczny alkoholik i narkomani. Domek z cegły stał przy ulicy Proletarski Spusk, róg Jarosławskiego, dosłownie 500 metrów od rzeczego portu i 100 metrów od portu morskiego. Głównym zajęciem portu był eksport złomu, więc setki ciężarówek przejeżdżały obok nas i parkowały po sąsiedzku. Nocą był straszny hałas, do którego musiałem przywyknąć. Naprzeciw parafii stała fabryka piwa, skąd czasami dochodził zapach chmielu.

Pomieszczenia w budynku były niewielkie. Połączyliśmy dwa pokoje, burząc ściankę działową i w ten sposób powstała kaplica. W trzecim, długim jak kiszka mieszkał stróż, no i ja. Gdy na tym samym dziedzińcu dokupiliśmy dwupokojowe mieszkanie, przybył nam jeszcze jeden stróż.

Jakiś czas moją parafię mieli ochraniać dwaj chłopcy z Batajska. Zamiast im pomóc, chyba zaszkodziłem. Jeden z nich po pijanemu zaatakował inwalidę. Pobity człowiek zgłosił fakt na milicji a po kilku dniach zmarł. Chłopiec znalazł się w poprawczaku. Drugi trafił do franciszkanów w Moskwie z przeznaczeniem na brata, ale jego kariera szła wedle schematu kleryka Siergieja. Chłopiec nazywał się Tolik i boję się, że po powrocie od franciszkanów też się wykoleił. To był przyrodni brat Edika, Cygan.



W 1997 roku w Rimini poznałem don Oreste – charyzmatyczny staruszek, wyciągał z błota prostytutki i narkomanów i gromadził wokół siebie wielu wolontariuszy. Jedna z wolontariuszek pracowała w Wołgogradzie i z pomocą kilku nawróconych narkomanów z Włoch rehabilitowała rosyjskich uzależnionych. Jeździłem do nich kilkakrotnie z Barancykowem i z Iwanem. Prosiłiśmy, by otwarli filię w Azowie, ale nie mieli na to sił i natchnienia.

Moi parafianie zaczęli działać sami, na intuicję. Gdy tylko zaczęła się praca z narkomanami, dałem do dyspozycji samochód i pomieszczenia parafialne. To był ten sam domek, w którym wykoleili się moi dwaj ministranci.

Dużo potu i pieniędzy kosztowało nas wywłaszczenie narkomanów i wykup, w kilku etapach, ich posesji. Kto z dawnych klientów tej meliny przychodził po narkotyki, trafiał w ręce Iwana albo Igora, a najczęściej Leny, parafialnej starościny. Ta dziewczyna miała duży talent organizacyjny. Gdy się nie udało w Wołgogradzie, nawiązała kontakt z protestantami ze Słowiańska w Donbasie i parafialnym mikrobusem wozila pacjentów w najtrudniejszym stadium uzależnienia. Jedną z pacjentek była córką prokuratora obwodu, dzięki temu oddano do dyspozycji katolików dawne sanatorium koło Azowa.

Po moim wyjeździe na Syberię, dyżuruował tu jakiś czas kapucyn o. Dezor, a potem karmelici. Nie było stałego księdza, więc parafianie żyli jak chcieli. Z czasem zamieszkało tu kilkoro narkomanów, którzy próbowali porzucić nałóg. I paru znalazło szczęście.

Jednak po trzech latach dziekan z Taganrogu zdecydował, że parafię trzeba sprzedać i działalność centrum zamrozić. Ostatecznie tak się stało, a nowy proboszcz, Argentyńczyk wykupił posesję w centrum Azowa. Idea jednak nie umarła, miasto przejęło ośrodek i istnieje on do dziś. Bogu dzięki!

W tym czasie byłem na Sachalinie i jak potrafiłem, tak dalej zajmowałem się duszpasterstwem nietradycyjnym. Z pomocą Baranczykowa odwiedzałem poprawczaki i więzienia, domy starców i sierocińce.

Spotkało mnie za to wielkie wyróżnienie... Pan Putin pomieścił mnie na czarnej liście katolickich księży prozelitów i dał polecenie, aby nie wpuszczać mnie do Rosji przez wiele lat.

## Rostów – Kazań – Ałgona

To, że drzemały we mnie ambicje „śpiewaczka”, stało się jasne po pielgrzymce z Rygi do Ałgony. Mając przed oczyma śpiewnik młodzieży z moskiewskiego kościoła św. Ludwika próbowałem wedle nut odtworzyć to, co myśmy tam w drodze śpiewali. Próbowałem nawet brzdąkać na gitarze.

Dobrze, że na pielgrzymce była siostra od grania i nie musiałem z nią konkurować. Tym niemniej pragnąłem jej pomóc, więc tłumaczyłem wszystko pod rząd z polskiego na rosyjski. Opatrznościowo, mój organista był rosyjskim filologiem i jakiś czas trzymał rękę na pulsie, nie pozwalając drukować niedopracowanych kawałków. Jednak śpiewnik wciąż rósł, wręcz pękał w szwach. Przekładów ze zbioru siedleckiego było w nadmiarze; przetłumaczyłem nawet Godzinki i Gorzkie Żale.

W Rostowie korzystano z tych tekstów jeszcze długo po moim odejściu z parafii. Niespodzianie, do śpiewniczka sięgnął także ksiądz Andrzej Morawski w Siemionowie i w Krasnodarze.

Być może niektóre pieśni w moim tłumaczeniu dotarły do Soczi lub do Moskwy, nie sprawdzałem, jaki z tego pożytek. Cieszyłem się, że mam zajęcie, bo wielu księży, trafiając na Wschód, ma trudności z wypełnieniem wolnego czasu, którego z braku tłumów w kościele jest w bród.

Przez ten śpiewnik dostałem po uszach od arcybiskupa Tadeusza Kondrusiewicza, który był wyczulony na niektóre nieudane tłumaczenia. Nalegał, by wszystko było scentralizowane i byśmy korzystali z tekstów „po cenzurze”, czyli z jego *imprimatur*.

Jednak w tych czasach na prowincję ze stolicy docierało bardzo mało materiałów drukowanych, a potrzeby były palące. Ludzie na Wschodzie lubią śpiewać i bez tego nie ma co startować.



W Rostowie napotkałem kilku mężczyzn, którzy od lat słuchali Radia Watykan. Twierdzili, że słuchając właśnie tej stacji doszli do wniosku, że katolicyzm to jedyna prawdziwa religia. Jeden z nich miał nawet brata kapłana prawosławnego, a mimo to, jak tylko odnalazł nasz kościół, zaczął do niego gorliwie uczęszczać. Inny, o imieniu Aswadur był Ormianinem z monofizycznej denominacji, lecz dzięki rozgłośni watykańskiej określał swe wyznanie jako katolickie. To byli najbardziej oddani katolicy w parafii.

Podobnego katolika wychowało Radio Watykan w Taganrogu. Mimo, że nadeszła wolność wyznaniowa i wieści o kościele można było znaleźć również w innych źródłach, on pozostawał wierny Radiu Watykan i opowiadał najnowsze zdarzenia z serwisu również o parafii naszej czy okolicznych. Od niego się między innymi dowiedziałem, że prezydent Kałmucji wybiera się na audiencję do papieża. Tak się zaczęły moje regularne wycieczki do Kałmucji, w efekcie czego są tam teraz trzy parafie.



Nad Donem widziałem rodziny wypędzonych z Kaukaskich Republik. Przez pół roku zimą i wiosną 1993 roku, na niedzielne msze św. przychodziła rodzina bezdomnych Ormian, którzy uciekli z Azerbejdżanu. Cały ten czas oddawałem im niedzielną tacę, bo potrzeby pięciorga dzieci były niezmierne. Siostry lamentki przygotowały je do spowiedzi i komunii św. ale potem dzieci znikły, bo i my zmieniliśmy adres. Parafia w Rostowie nad Donem przez cały rok mojej posługi także była bezdomna...

Również w sąsiednim Batajsku do kaplicy sióstr przychodziły na katechizm dzieci z wielodzietnej rodziny. Zajęcia zaczynały się śniadaniem a kończyły obiadem. Ta grupa również przyjęła komunię św. w sierpniu 1996 roku.



W Rosji jest przesąd, że na ślub parze młodej nie wolno darować krzyża. Ikonę natomiast – jak najbardziej. Niektóre ikony ślubne wędrują z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie. Wystawiane są najczęściej w największym pokoju we wschodnim narożniku pod takim kątem, by powstało wrażenie, że się pochylała nad mieszkańcami domu i ich losem. W wielu domach pod taką ikoną wisi wieczna lampka. Obecnie ikony można też spotkać w urzędach, nawet u burmistrza. Wchodząc do mieszkania gość czy właściciel kieruje się na wschód i kłania się

w pas ikonie. Jeśli leży ona na ambonce w cerkwi, to należy przyłożyć do niej czoło, a potem pocałować i znowu się pokłonić, robiąc znak krzyża. To dość uroczysta ceremonia, Rosjanie zachowują się podobnie przed bramą cerkwi, gdy mają zamiar wejść na teren kościoła i gdy go opuszczają.



Kiedy papież Jan Paweł II odwiedzał Fatimę w maju 1982 roku w rocznicę zamachu, wziął stamtąd ikonę Matki Bożej Kazańskiej. Ikonę wywieźli z Rosji emigranci, by uchronić ją od bolszewików. Gdy ktoś z nich zbiedniał, wystawił obraz na licytację i wtedy kupili go katolicy, Amerykanie z tzw. Blue Army, czyli z ruchu modlitwy fatimskiej za Rosję. Ikonę kazańską przekazano do Fatimy w latach 50. Tam wzniesiono dla niej bizantyjską świątynię, gdzie była czczona do 1982 roku. Papież zabrał ją z zamiarem przekazania do Rosji i trzymał w prywatnym apartamencie, modląc się do Boga o taką możliwość.

Ufał do końca. A kiedy władze rosyjskie dały do zrozumienia, że nie ma szans, by osobiście dostarczył ikonę do Rosji, tuż przed śmiercią w sierpniu 2004 roku odesłał ją poprzez swego legata do Kazania. Przez rok prawosławni nie wiedzieli co począć, bo cerkiew w Kazaniu nie była zwrócona wierzącym. Nagle stał się cud! Władze przychylnie rozpatrzyły prośbę o zwrot świątyni i po wykonaniu niezbędnych remontów pomieszczono papieską ikonę w prawej nawie obok ikonostasu. Wierni okrzyknęli obraz ikoną watykańską i chodzą do niej tłumami. Taka paradoksalna jest ta Rosja. I ta zachwycająca Matka Boża, która do niej często jeździ...



O tym, że luteranie czczą Matkę Bożą, mało kto wie. Owszem, nie jest to fakt oczywisty. Tym niemniej, pastorzy w Skandynawii już od dłuższego czasu wstawiają ikony do luterzańskich świątyni, próbując ożywić swe opustoszałe kościoły i jakoś je „rozgrzać”. Natomiast na Łotwie od dawna katolicy z luteranami mają tak dobre relacje, że się odwiedzają w swoich kościołach i uczą się od siebie wzajemnie. Na przykład ostatnie święcenia biskupie w Rydze zebrały takie tłumy, że zmieścić ich w katolickiej katedrze się nie dało i wszyscy poszli do wielkiej katedry luterńskiej.

W pielgrzymce do latgalskiego katolickiego sanktuarium widziałem, jak luteranie odmawiają modlitwy na różańcu. Wędrówka trwała 10 dni i połowa pielgrzymów to byli luteranie właśnie. Coś dobrego zaczyna się dziać na Wschodzie między katolikami i protestantami. I nie dlatego, że my chcieliśmy kompromisu w sferze kultu Maryi, ale na odwrót. Protestanci na Łotwie zaakceptowali naszą miłość do Maryi i poszli razem z nami do odległej Agłony.

Szedłem do Maryi w tym sanktuarium w 1992 roku. Wtedy zaczęła się moja przygoda misyjna, która skutecznie trwa do dziś...



Pierwsze lata jako neoprezbiter spędziłem w obłokach, żadne złe myśli nie mąciły mi radości kapłaństwa. Byłem z siebie dumny, bo w seminarium unikałem całkowicie alkoholu i dość szybko rzuciłem palenie. Jednak próba sił miała wkrótce nadejść. Na misjach, w ekstremalnych warunkach załamał się niejeden twarządział.

W trzecim roku kapłaństwa zdarzyło mi się potknięcie... Na parafii, do której trafiłem w Rosji, pracowała grupa bardzo oddanych siostr. Byłem ich kapłanem i ze wszystkich sił starałem się z nimi współpracować w zgodzie. Ponieważ jednak każda inaczej patrzyła na sprawę misji i miała własne pomysły, nie potrafiłem tego pogodzić. Uległem kaprysom pewnej zakonnicy i nie umiałem tego ukryć ani pohamować. Zanim się spostrzegłem, okazało się, że zaniedbuję misję, żeby tylko wszystko było tak, jak ona to widzi. Ustawiałem pracę w parafii i wyjazdy misyjne w ten sposób, żeby z nią przebywać jak najdłużej. Potrafiłem to dobrze umotywować jej wiedzą i talentami w katechizacji. Owszem, to dawało pewne dobre skutki; Pan Bóg pisze prosto na krzywych liniach. Biskup był zadowolony, że współpraca z siostrami mi się układa a parafie rosną i jest ich wiele. Inne siostry jednak wyczuwały, że coś jest nie tak, dyskretnie uwagi robił mi kolega salezjanin. Ja to też czułem i sam usunąłem się w cień, musiałem podjąć męską decyzję i uzdrowić ten bałagan. Wyjechałem do Polski, zgłosiłem się do franciszkanów, żeby odbyć nowicjat i zmienić swój status z diecezjalnego na zakonnik. Ufałem, że w zakonie będę sprawniejszy jako misjonarz i że się łatwiej ustrzegę od pokus. Tymczasem dwaj bracia, którzy przyszli na moje miejsce, w krótkim czasie – jeden za drugim – opuścili zakon. Myślę, że to wszystko było potrzebne, aby mnie przestrzec przed kolejnymi pomyłkami.

Wróciłem na parafię i dalej się gubiłem w różnych sytuacjach. Trzymałem się od tej pory kolegów salezjanów, bardziej przyjaźniłem się z nimi niż z siostrami. Byłem zbyt miękki i za mało doświadczony, by posługiwać jako kapelan u sióstr, każda sprzeczka w klasztorze wydawała mi się końcem świata. Wmawiałem sobie, że bez sióstr te misje mogą się zawalić. Salezjanie wyczuli mój problem i również się starali, bym nie zagubił powołania. Wspólnie jeździliśmy do Włoch i do Niemiec, załatwiając mniej lub bardziej pilne sprawy materialne. Przeżyłem jeszcze niejedno nieszczęście: rozbiłem dwa razy parafialny samochód, ponownie dałem się wciągnąć w intrygi siostrzane. Aż znalazłem względny spokój na Syberii, dokąd w trybie pilnym wyniosłem się na własną prośbę w roku 1999.

## Syberia – Daleki Wschód

Na Syberii pracowałem w latach 1999-2002. Pod koniec pobytu znalazłem się na czarnej liście obecnego patriarchy moskiewskiego.

W roku 2002 Jan Paweł II podniósł do rangi diecezji 4 apostołskie administratury, które stanowiły załączek struktur odnawianego od zera kościoła katolickiego. Przed rewolucją istniała archidiecezja mohylewska z siedzibą w Petersburgu, była też diecezja saratowska obejmująca południową Rosję. W trakcie rewolucji i tuż po niej powstały jeszcze: egzarchat dla katolików wschodniego obrządku (oficjalnie: Egzarchat Starowierców Zjednoczonych ze Stolicą Piotrową), wikariat apostołski w Tomsku z siedzibą w Mandżurii oraz diecezja Władywostocka.



Pracując na Sachalinie swe rozterki często powierzałem Matce Bożej Toyoharskiej. (Toyohara – tak Japończycy nazywali niegdyś nasze miasto Južno-Sachalińsk). Kościół sporych rozmiarów a raczej katedrę, bo to stolica prefektury apostołskiej, czyli mini diecezji, zbudowali w czasach japońskich bernardyni z Krakowa: o. Gerard Piotrowski i prefekt o. Herman.

Sowieci zniszczyli Kościół i na jego miejscu zbudowali siedzibę straży pożarnej oraz KGB.

Została nam z tej katedry jedynie wspomniana ikona Niepokalanego Serca Matki Bożej. Wymodliliśmy sobie w malutkiej kaplicy na przedmieściach tę łaskę, że po 10. latach od wznowienia parafii przez koreańskich księży w 1991 roku, udało się wybudować nową katedrę i poświęcić ją w sierpniu 2001. Nowy obraz Wniebowzięcia przywiózł na poświęcenie ksiądz biskup Mazur. Stary wizerunek pozostał w kaplicy, która służy siostram Matki Teresy z Kalkuty.



Amerykańscy misjonarze, którzy od 20 lat pracują we Władywostoku przywieźli ze sobą z USA ikonę, którą wykonała specjalnie dla tej misji pewna emigrantka, zakonnica rosyjskiego pochodzenia. Włożyła w tę pracę całe swe serce. Ikonę nazwano: Władywostocka. Ona również wspierała modlących się o zwrot katedry i o jej restaurację, która szła powoli, ale solidnie. Obecnie katedra we Władywostoku to jedyny zwrócony katolikom kościół na Dalekim Wschodzie.



## Czyta TV

Na Syberii powróciłem do starych wypróbowanych metod poszukiwania parafian i promocji katolicyzmu. W listopadzie 1999 roku parafię odwiedził ksiądz biskup. Na mszy, w której uczestniczyło ponad 50 osób, była również telewizja. To miało swój plus i minus. Był tam pewien wykładowca z uniwersytetu, któremu jako potomkowi Polaków, biskup wręczył ikonę Matki Bożej Częstochowskiej. Krewni ujrzawszy go na ekranach wystraszyli się o jego karierę i prosili, by już nigdy więcej nie kontaktował się z „obcokrajowcami”. Nie wiem, czy posłuchał tej porady.

Po dwu miesiącach przyjechałem do Czyty z relikwią Krzyża Świętego, którą na jeden miesiąc przekazał mi dziekan Irkucka ks. Ignacy Pawlus. Mój starosta zaproponował, bym pokazał relikwię św. Krzyża dziennikarzom i opowiedział, co to takiego jest. Święty obiekt miał być w Czycie kilka dni i wystawa w muzeum dawała szansę wielu mieszkańcom na zetknięcie się z nim. I rzeczywiście – w styczniu 2000 roku do muzeum przyszło kilkaset osób na prezentację relikwii, a wystawę innych religijnych eksponatów można było jeszcze oglądać przez całe pół roku.



Podczas kolejnej wizyty w Czycie, biskup miał więcej czasu i mógł się odpowiednio przygotować. Poszliśmy do studia TV gdzie nagrano z nim dłuższy wywiad. W Czycie oddałem pierwszeństwo biskupowi i sam nie rwałem się do gadania. Docenił to i przyznał się, że przedtem na Białorusi nikt go do studia nie zapraszał, a również w Irkucku takich sesji nagraniowych nie robiono. Z czasem ksiądz biskup wykorzystał te moje doświadczenia z Czyty, Sachalinu, Kamczatki i sam zaczął zapraszać dziennikarzy do siebie do kurii. Niestety, myślę że i to zostało źle zrozumiane przez władze i wysiłki, by nas obu usunąć z Syberii powiodły się w 2002 roku...

## Kamczatka – „niuans”

Na Kamczatce, podobna jak w Czycie, wystawa poświęcona relikwii Krzyża Świętego tym razem miała miejsce w czytelni biblioteki wojewódzkiej. Przy okazji poznałem tam panią Jadwigę, starszkę aktorkę polskiego pochodzenia,

kijowiankę. Dowiedziawszy się o naszym istnieniu, wielokroć przychodziła do parafialnej kaplicy na ulicy Sowieckiej, niczym Nikodem – pogadać i popłakać. Jadwiga była znana z autorskiego telewizyjnego programu dla dzieci. Program oparty był o elementy biblijne i działał pod ideologicznym przykryciem prawosławnego biskupa, który był człowiekiem apodyktycznym i antykatolikiem. Gdyby się dowiedział o jej kontaktach z nami, mógłby zniszczyć jej program i pozbawić środków do życia.

W sposób „tajny” zostałem przedstawiony młodemu dziennikarzowi o nazwisku Iwanow. Po programie emitowanym na żywo przyznał, że po raz pierwszy w życiu w takich okolicznościach nie miał tremy, nie martwił się kwestią, o co można zapytać, a o co nie.

Pozostał jednak jeden niuans, którego skutków żaden z nas nie przewidział. W trakcie audycji powiedziałem, że w 998 roku nie istniało prawosławie, tylko jeden chrześcijański-katolicki kościół. Podział nastąpił dopiero w 1054 roku, *ergo* chrzest Rusi miał miejsce w czasach katolickich i należy go rozpatrywać jako katolicki chrzest, a nie prawosławny. To rozjuszyło brać prawosławną. Biskup napuścił na mnie kogo się tylko dało: kozaków, żołnierzy, pracowników muzeum, prawosławnych księży i niektórych urzędników. Otrzymałem kilkanaście rozszoszczonych listów, przy czym wszystkie one włożone były do kopert wypisanych jednym charakterem pisma. Ja to potem kilkakroć demaskowałem, a prawosławny biskup Ignacy jeszcze bardziej się obrażał. Moje podejrzenia potwierdziły się rok później, gdy nasz biskup spotkał się z nim. Wtedy on wręczył kopie tych protestów; okazało się, że wszystkie były u niego. Bardzo konsekwentnie „najeźdźał” na mnie, niczym na chłopca do bicia. Co było robić? Przeprosiłem go i pocałowałem w bucik!

Po spotkaniu mój biskup wyglądał na zrelaksowanego i spokojnego. Nie dał się oszukać ale pojął, jak wyglądają na miejscu nasze relacje. Nie po Bożemu nam się układało. Oj nie! Za jakiś czas, ten sam prawosławny biskup Ignacy oskarżył w prasie Papieża o to, że wspierał i faszyzm i komunizm, byle rozsiewać katolicyzm w Rosji. Parszywe to były słowa, niegodne biskupa, ale padły.

Ten konflikt o katolicyzm chrztu Rusi był kolejnym argumentem, by mnie deportować z Rosji.



Biskup Jerzy to solidnej budowy wysoki mężczyzna z pogodną twarzą i umysłem szachisty. Zawsze był ostrożny, a mimo to nie ustrzegł się represji ze strony władz rosyjskich. Pochodzi spod Jarosławia. W zakonie werbistów pełnił rolę prowincjała na terenie całego dawnego ZSRR. Miał wiele niesamowitych pomysłów i marzeń. Chciał, między innymi, z terenu Irkucka nawiązać relacje z katolickim kościołem w Chinach i ewangelizować sezonowych robotników oraz chińskich emigrantów, których we Wschodniej Syberii jest moc. Praca w Chinach jest głównym charyzmatem werbistów, więc nie ma się czemu dziwić. Po wydaleniu z Syberii los rzucił bp Mazura na...Mazury, nad polskie jeziora, skąd tylko rzut kamieniem na Litwę i Białoruś, gdzie stawiał pierwsze kroki jako „Misjonarz Wschodu”.

Jeden z najbardziej życzliwych dla mnie hierarchów, nazwał mnie kiedyś „parowozem misyjnym, który czasami miewa zadyszkę”. To brzmiało jak proroctwo, bo właśnie na Ukrainie, a tym bardziej później w Uzbekistanie zdarzało mi się, że musiałem przysiąść i odsapnąć przed kolejną pracą. Biskup Mazur ostrzegał mnie, że mam zbyt ostry pazur i że rysuję zbyt odłotowo. Gdy mnie odwiedził na Sachalinie powiedział: „nie rób Jarek fresków w kaplicy, bo ludzi powystraszasz!”-



Na Kamczatce mieszkałem na ulicy Sowieckiej 16/16. Stary drewniany dwupiętrowy dom podobny raczej do baraku, zbudowany został przez japońskich jeńców w czasach stalinowskich. W naszych dwu pokojach z niewielką kuchnią i łazienką mieściło się niegdyś Towarzystwo Diabetyków. To u nich najpierw dzierżawiliśmy, a potem kupiliśmy wspomniane mieszkanie. Miało niewiele wygód, ale piękne widoki z okna – na zatokę i na tzw. „Sopkę Miłości”(górkę zakochanych).

W moich czasach, czyli w latach 1999-2001 na Kamczatce było kilka polskich statków. Na jednym z nich nawet kolędowałem, chociaż dla takich wizyt potrzebne były specjalne eksterytorialne przepustki. Bałagan w mieście i w porcie panował w tym czasie niezwykle, więc sobie spacerowałem niczym nieskrępowany – nie tylko w Pietropawłowsku, ale też w zamkniętym miasteczku Klucze, pod największym wulkanem świata, gdzie Rosjanie mają setki tajnych obiektów. Z czasem okazało się, że każdy mój krok był śledzony. Moja praca i niemal 30

rejsów na Kamczatkę zostały odnotowane i ukarane wydaleniem z terytorium Rosji. Nie powiem, żeby ten czas był dla mnie lekki. Tym niemniej byłem młody, a wędrówki po mieście miały charakter pielgrzymek. W każdy dzień odszukiwałem jakiś nowy trop i nowych parafian, którzy obecnie stanowią rdzeń wspólnoty św. Tereski. Wystarałem się dla kościoła w tej parafii o kamień węgielny pobłogosławiony przez Jana Pawła II. Przygotowałem wizytację biskupią. Zaznajomiłem się z miejscowymi mediami, rządcami (gubernator i burmistrz) oraz klerem, zarówno prawosławnym, jak i protestanckim.

Mieszkało mi się tam skromnie, ale sympatycznie. Na Sachalinie miałem zawsze kogoś na głowie (kucharka, starosta, stróż). Na Kamczatce urzędowałem jako gospodarz we własnej osobie. Mimo trudności, w moich wspomnieniach pozostała jako jedno z lepszych miejsc na świecie.

## Spotkanie z „Tatusiem”

Papież marzył całe życie o wizycie w Rosji i w rzeczy samej odwiedzał często „rosyjskie imperium”, czyli te części dawnego ZSRR, którym udało się realnie osiągnąć autonomię względem Moskwy. Odwiedziny w Kijowie czy w Astanie odbywały się w 10. rocznicę niepodległości tych dwu krajów, co często podkreślano.

Katolicy z Rosji, nie mając innych możliwości spotkania ze swym pasterzem, pielgrzymowali do tych pobliskich republik. Gdy chodzi o Syberię i pięć państw Azji Środkowej, to najprościej było przyjechać do Astany i myśmy tak uczynili. To było prawdziwe spotkanie z „Tatusiem” albo „Wujkiem”, który, mimo starości i zmęczenia, przybył do swych dzieci nie czekając, kiedy im samym uda się do Watykanu wyrwać.



Jedynie, jak dotąd, moje odwiedziny Kazachstanu udały się dzięki papieżowi Janowi Pawłowi II. Jechałem z Nowosybirsk z wieloma dostojnikami, kolegami księżmi i biskupami Irkucka i Nowosybirsk. Miałem w tym czasie wydany w Czycie rosyjski zielony paszport uprawniający do stałego pobytu. Pracowałem na Sachalinie, więc droga do Czyty zajęła mi trochę czasu. Choć leciałem samolotem, nie dało się dotrzeć tam w jeden dzień. Na przesiadkę w Chabarowsku czekałem z noclegiem, w Czycie też musiałem przenocować.

Właściciele takich dokumentów muszą prosić o wizę wjazdowo-wyjazdową z Rosji. Załatwiałem ją dwa dni, potem samolotem dotarłem do Irkucka. Znowu nocleg i przelot do Nowosybirsk. Tam kolejny nocleg; zatrzymałem się w odległej dzielnicy u „brązowych” franciszkanów. Zdążyłem się zapoznać z wieloma parafianami, z proboszczem a nawet z kucharką. Wiele osób rozpoznawało mnie dzięki gazecie „Smile”, która rozeszła się po całej Syberii oraz dzięki opowieści o poświęceniu kościoła na Sachalinie, jaką sympatycznie zrelacjonowała telewizja „Kana” z Nowosybirsk. Połączyłem sobie po mieście, jak nigdy przedtem i tak doczekałem się chwili wyjazdu. Wyjazd był po południu, autokarami. Wieczorem dotarliśmy do granicy z Kazachstanem. Jednego niemieckiego kapłana z zielonym paszportem wysadzili na granicy i nie wpuścili, bo sobie nie wyrobił tej wizy, którą ja załatwiałem w Czycie.

Żał mi go było, widocznie nikt go nie poinformował. Tam, na granicy pośród stepu – żadnej osady. Nie wiem jak sobie poradził; czy spędził noc z celnikami w tej małej budce ze szlabanem na wirtualnej granicy bez zasieków? Możliwe, że poszedł pieszo kilkanaście kilometrów do najbliższej osady, albo łapał autostop...

Jechaliśmy półtorej doby i tyle samo wracaliśmy. Po pierwszej dobie podróży, w przeddzień przyjazdu papieża, zatrzymaliśmy się na obiad i na mszę świętą w Pawłodarze. Przybyliśmy nad ranem do obozu, w którym stały namioty dla pielgrzymów. Była tam bezpłatna kuchnia obsługiwana przez mężczyzn w narodowych fufajkach i białych wysokich czapkach z wełny przypominających mitrę biskupią. Na każdym kroku czekały nas niespodzianki, to było bardzo miłe. Tam w obozie pozostały autokary, a nas dowieziono specjalnymi autobusami miejskimi do centrum. Wszędzie widzieliśmy wielkie standy z wizerunkiem papieża i napisami po rosyjsku i po uzbecku witającymi dostojnego gościa i informującymi o wizycie, wszystko w żółto-błękitnych tonacjach. Zdziwiła mnie gorliwość, a nawet przesada w pompatyczności spotkań, jakie zaplanowano dla papieża w Astanie.

We mszy świętej uczestniczyło około 200. kapłanów i podobno 30 tysięcy wierzących z całego Kazachstanu, dwa czartery z Uzbekistanu, ponad sto osób z Turkmenii oraz duże grupy z Kirgizji, Tadżykistanu i z Rosji, a zwłaszcza z Syberii. Ja byłem w grupie z Nowosybirsk. Jechały cztery autokary po 45 osób, czyli 180, oraz po jednym autokarze z Omska i z Tomka.

Podczas lądowania samolotu papieskiego w Astanie było pochmurno i chłodno; kilka tygodni bez przerwy padały tu deszcze. Gdy tylko papież postawił stopę na

ziemi, przez szczelinę w chmurach od razu przebiło się słońce. Wszystkich nas to słońeczko rozgrzało. Kordon milicji na trasie przejazdu papieża był niesamowicie długi. Kilka kilometrów stali szpalerem jeden obok drugiego, po obu stronach ulicy. Musiało ich być kilka tysięcy. Żaden samochód nie jeździł tą trasą od samego rana, autokarów nie wpuszczano do centrum ze względów bezpieczeństwa.

W prowizorycznej zakrystii w podziemiach katedry setki księży ubierało się, witając i miło gawędząc. Ja trzymałem się z o. Lucjanem z Samarkandy i z ks. Bernardo Antoninim, rektorem seminarium z Karagandy oraz z redaktorem „Katolickiej Gazety Syberyjskiej” ks. Andrzejem, który mnie namawiał, by pozostać na dzień następnny, na osobistą audiencję z Papieżem. Nie posłuchałem go. Chciałem wracać z grupą i do dziś żałuję. Byliśmy w Astanie tylko jeden dzień. Po mszy, z Andrzejem, z pracownikami „Kany” oraz z ks. Witoldem Kowali, dziennikarzem z ukraińskiego „Ostroga”, poszliśmy do centrum prasowego. Potem było spotkanie Papieża ze studentami, które obserwowaliśmy na telebimach, a następnie – powrót do obozu, czekanie na wizy i wyjazd o północy.

Na przejściu granicznym w budce, przy której zatrzymano niemieckiego księdza, nie było nikogo i nie miał nam kto wbić pieczętki do paszportów. Rosjanie się nie przejmowali, ale mnie potem milicja rosyjska długo za to prześladowała, że ja niby przez zieloną granicę do Rosji się przedarłem. Trzeba też było zwrócić w Czyście wjazdową wizę, a ja i tego nie dopatrzyłem. Taki byłem rozanielony tym trzecim i ostatnim w moim życiu spotkaniem z Papieżem...

Ogółem – 4 dni w podróży z Nowosybirska do Astany i z powrotem. Przejechaliśmy odległość dwa razy większą niż z Polski do Rzymu, ale nastrój wszyscy mieliśmy w autokarach podniosły. Jak wspomniałem, niektórzy nie chcieli wracać do Nowosybirska...

Mnie jeszcze, według planu, trzeba było jechać 4 dni i 4 noce pociągiem z Nowosybirska do Chabarowska. Pociąg jednak miał 8 godzin spóźnienia z tego powodu, że jakiś inny się w okolicy wykoleił i wydłużyło mi się to podróżowanie dodatkowo o jedną noc. Prosto z pociągu poszedłem do parafii w Chabarowsku opowiadać swoje wrażenia. Świeciło nadal piękne wrześnie słońce.

## Organy

Koncertów organowych słyszałem w życiu niewiele. Paradoksalnie, zacząłem się tym interesować na Syberii. Tam właśnie zrozumiałem, jak wielkim atutem

kościół są organy, i jak bardzo sowieccy ludzie kochają ten instrument. W Polsce w każdej wiosce są organy i nikt tego specjalnie nie ceni, a w Rosji tylko w wielkich miastach wojewódzkich, i cieszą się one niezmiennym zainteresowaniem.

To właśnie dzięki organom ocalało kilkanaście kościołów. Zamieniano je na kluby muzyki organowej lub na filharmonie. Wszędzie, gdzie władze próbowały jakiś kościół zniszczyć, od razu zjawiała się grupa melomanów, która kościół broniła i on istniał, choć w zupełnie innym charakterze. Tak na przykład przetrwał kościół w Kijowie na Krasnoarmiejskiej ulicy, kościół w Jałcie czy czerwony kościół w Mińsku. Na Syberii, jako filharmonia działał kościół w Krasnojarsku i w Irkucku.

Po upadku komunizmu, gdy jakaś wspólnota prosiła o pozwolenie na wybudowanie kościoła w mieście to przedstawiciele władz się dopytywali, czy będą tam koncerty organowe. Pozytywna odpowiedź była ważnym argumentem ku temu, żeby pozwolenie na taką budowę uzyskać.

Promocje koncertów odbywały się też w nowej katedrze w Irkucku. Ja sam odzyskałem wielu katolików dzięki koncertom w miasteczku Jenakievo, na które przychodziły setki ludzi, a wśród nich zdarzali się potomkowie dawnych parafian. Uczestnikom koncertów nie przeszkadzało, że kościół jest nadal w ruinie. Siedzieli zasłuchani, bo akustyka była niesamowita.



Na Sachalinie miałem trochę czasu na oglądanie filmów, bo na codzienne msze święte w tygodniu nikt nie przychodził. Dużo podróżowałem po okolicy i nawet miałem msze wyjazdowe na Kamczatce i w Czycie na Zabajkału, ale mimo to zdarzały się dni, a zwłaszcza wieczory, kiedy to w pustym domu na skraju miasta nie bardzo wiedziałem do kogo usta otworzyć i czym zająć czas.

Pomogła spora filmoteka, jaką zgromadzili księża Koreańczycy, moi poprzednicy, którzy zapewne zetknęli się z podobnym problemem. Dość bogata kolekcja chrześcijańskich filmów była również w Chabarowsku. W tym mieście zatrzymywałem się w drodze na Kamczatkę i do Czyty. Mimo upływu czasu i 10 lat kapłaństwa filmy religijne nie przestały mnie nużyć. Inna sprawa, że wiele z nich zrobiono nie po to, by uczucia religijne wzmocnić, lecz by je obrazić. Taki był Hollywood końca drugiego tysiąclecia.



Na Syberii poznałem co to internet. Poznałem z dużym opóźnieniem; był rok 2000 kiedy doszedłem do minimalnej wprawy. W internecie, jak wiadomo, są rzeczy dobre i złe. Długi czas trzymałem się dzielnie. Ale w kancelarii, gdzie stał komputer, prócz mnie urzędował starosta Koreańczyk i gdy wyjeżdżałem na tydzień do Czyty lub na Kamczatkę, on oglądał sobie w internecie kobiece akty. Stroniczka z obnażonymi Koreankami otwierała się automatycznie, więc trafiłem na nią niechcący i w porę nie wyłączyłem. Dodam, że w tym momencie zbliżałem się do czterdziestki.

Mawiają, że w „starym piecu diabeł pali”; piszę to ku przestrodze, również dla kolegów kapłanów... Grzech nieczystości znowu zagościł w moich myślach. Przyszedł do mnie w młodości z broszurki japońskiej i wrócił bumerangiem na Sachalinie, który przed wojną był japońską wyspą.

Druga sprawa, jaka burzyła mój spokój, to upodobanie w towarzystwie świeckiej misjonarki, również rodem z Japonii. Dziewczyna pomagała w parafii jako organistka, była sympatyczna, prosta i uczynna. Podobnie jak wcześniej przywiązałem się do sióstr, tak i teraz nie potrafiłem się bez niej obejść.

„Pomoc” nadeszła ze strony pana Putina, który 9 września roku 2002 wygnał z Rosji 5. kapłanów, w tym również jednego biskupa i autora tych słów...

## Radiocerkiew – TV Kana

Kiedy przyjechałem na Daleki Rosyjski Wschód dowiedziałem się, że na Syberii w Chabarowsku działa międzywyznaniowa rozgłównia pod nazwą Radiocerkiew. Zaproszono mnie tam, i gdzieś na przedmieściu miasta w przestronnym budynku wyposażonym w nowoczesny sprzęt, miałem audycję na żywo. Redaktorka prowadząca była młodą i sympatyczną osobą. Ludzie chętnie dzwonili i zadawali mi różne pytania, niektóre obraźliwe. W takich momentach obruszałem się, mówiąc, że jestem w radio gościem, a gości się nie obraża i zawstydziałem w ten sposób nachalnych krytyków Kościoła Katolickiego.





Księżda Wojtka Drozdowicza średniemu pokoleniu Polaków raczej nie trzeba przedstawiać, młodzież natomiast może nic nie wiedzieć o późniejszym proboszczu parafii na Bielanach w Warszawie.

Autor powiedzonka: „kocham antyklerykałów” twierdzi, że antyklerykalizm może pomóc Kościołowi oczyszczać się i doskonalić. W stanie wojennym był jednym z największych oponentów reżimu. Później z humorem prowadził program telewizyjny „Ziarno”. Po kilku latach ksiądz Drozdowicz zniknął z telewizji i z Polski. Nie było go sześć lat. W tym czasie w okolicach Irkucka, a potem kolejno w Krasnojarsku i Nowosybirsku eksperymentował w dziedzinie telewizji, tworząc wspólnie z klaretynkami własne, niezależne katolickie studio telewizyjne – TV Kana. Studio ma już przeszło 15 lat i ponad sto regularnych „miesięczników” – wydanych kaset wideo, a potem płyt DVD, które trafiały do wszystkich katolickich parafii w Rosji i nie tylko tam.

Projekt katolickiej telewizji bardzo się spodobał jezuickiemu biskupowi Werthowi i dlatego przejął go razem z twórcą, ks. Drozdowiczem. Ksiądz Wojciech kilka lat był równocześnie proboszczem w Nowosybirsku i dyrektorem Telewizji Kana. Po jego odjeździe Kaną kierował brat Damian Wojciechowski, a po nim rodzony brat biskupa Wertha, również jezuita. Obecnie projektem kieruje jezuita ormiańskiego pochodzenia, który ukończył studia specjalistyczne w dziedzinie mediów i zapewne świetnie sobie poradzi, mimo że studio nadal znajduje się w dość skromnych pomieszczeniach przy jezuickim klasztorze. Ale wiem, że już szykuje się przeprowadzka do katolickiego centrum wznoszonego obok katedry nowosybirskiej.

Telewizja Kana wychowała grupę wolontariuszy. Spośród nich ciepło wspominam wieloletnie redaktorki – Olgę Skwirską i Natalię Kandudinę.



Olga Skwirska – sympatyczna, filigranowa dziennikarka z Nowosybirka to długoletnia „twarz Kany”. Miałem z nią chwilowy kontakt w Astanie, krótko po nagraniu materiału z poświęcenia kościoła na Sachalinie. Przyjechała z moim znajomym kamerzystą i gdy się spotkaliśmy niedaleko uniwersytetu po mszy papieskiej, ona uściśnęła mi dłoń i stwierdziła: „taki sam jak na filmie!” – Mam nadzieję, że to był komplement, bo rzeczywiście na filmie o Sachalinie Natalia Kandudina pokazała moją parafię i pracę z jak najlepszej strony. W jednym z materiałów padły słowa: „Ksiądz Jarosław otworzył wiele parafii w Rosji. Obecnie

jest na Sachalinie i również tam parafie powstają jak grzyby po deszczu.” – Takie materiały oraz krótkie informacje z gazety „SvetEvangelia” były pewnie gromadzone i badane przez KGB. Być może przyczyniły się do podjęcia decyzji o wydaleniu mnie z Rosji.

Krótko potem rzeczywiście zostałem deportowany, ale TV Kana nawet w takiej sytuacji nie przestawała pokazywać migawek z mojej pracy misyjnej na Ukrainie. Musiała mnie ta pani Olga chyba polubić, więc i ja jej słę wyrazi sympatii.



Jezuita brat Damian jest człowiekiem obdarzonym talentami dziennikarskimi. Przed wstąpieniem do zakonu pracował w Polskiej Telewizji, a już jako zakonnik skończył studia podyplomowe na świeckiej uczelni dziennikarskiej w Moskwie. Jeden z najbardziej kompetentnych pracowników Telewizji Kana w Nowosybirsku jest autorem filmu dyplomowego pt. „Przebacz mi Siergiej”. Ten dokument został zrobiony na podstawie opowieści Siergieja Kurdakowa, młodego chłopaka z domu dziecka w Nowosybirsku. Jako komsomolec trafił na Kamczatkę i tam zajmował się wyniszczaniem moralnym i fizycznym ludzi wierzących. Na początku lat 70. Siergiej zakochał się w pewnej pobitej studentce Nataszy. Zaczął czytać przepisywane ręcznie teksty biblijne. Wstydząc się dotychczasowego życia, postanowił opuścić ZSRR i stał się człowiekiem wierzącym. Wszystko co zaplanował, w sposób cudowny udało mu się zrealizować. Jeździł jako członek wspólnoty adwentystów po całej Ameryce ze świadectwem nawrócenia, które było policzkiem dla reżimu Breżniewa. Po kilku latach upozorowano samobójstwo; znaleziono go powieszzonego w hotelu. Siergiej napisał broszurkę „Przebacz mi Nataszo”, a brat Damian z kamerą pojechał po dwudziestu latach na Kamczatkę szukać bohaterów tej historii. Udało się znaleźć wiele osób, ale tytułowej Nataszy niestety nie. Brat Damian w tej sprawie nawet występował z apelem na centralnym rosyjskim kanale TV, prosząc o informacje o losach Nataszy, ale jego film pozostał bez głównych bohaterów.

Po kilku latach pracy w Nowosybirsku brat Damian trafił do Kirgizji, gdzie nauczył się języka i wsławił się jako kaznodzieja opowiadający muzułmanom o islamie w ich własnym narzeczu. Uważam, że to świetny pomysł, bo muzułmanie, zwłaszcza w Azji Środkowej, nie znają Koranu i z tego powodu jest wiele skrzywień w ich zachowaniach i relacji do chrześcijan.

Spotkaliśmy się tylko raz w 1999 roku w Listwiance, kiedy przyjechałem na rekolekcje kapłańskie, a on właśnie wyjeżdżał ze swoich rekolekcji, w ramach których odnawiał śluby zakonne. Już wtedy był człowiekiem znanym i popularnym w Rosji, a ja początkującym proboszczem z Rostowa nad Donem.

## Sachalin

Na Sachalinie mieszkałem w mieście Władimirowka przy ulicy Linijnej numer 13. „Ksiądz mieszka na śmietniku!” – to pierwsze słowa dziennikarki z „Rzeczpospolitej”, Wiesławy Truszczyńskiej, która tam mnie odwiedziła. Fetor był rzeczywiście wielki, bo dwie ulice dalej, na przedmieściach zwanych „Szanghajem” znajdowało się miejskie wysypisko śmieci. Przez trzy lata tak się przyzwyczailem, że już nie czułem smrodu, dlatego słów dziennikarki nie pojąłem. Jednak ona miała rację. Mieszkając w Rosji, zwłaszcza na tak dalekiej prowincji, człowiek chce czy nie chce, staje się „aborygenem”.

Higiena na Wschodzie to oddzielny temat. Na Sachalinie, podobnie jak w okolicach Rostowa, nie miałem dostępu do ciepłej wody i przyjmowanie prysznica było zawsze kłopotliwe. W wielu miastach ludzie zapomnieli, co to takiego ciepła woda. Na Sachalinie nawet zimna woda nie co dzień była dostępna.

Rosjanie uwielbiają chodzenie do bani, czyli sauny. Większość takich odwiedzin kończy się wielkim picciem lub niekontrolowanym seksem. Przez dziesięć lat pobytu w Rosji skorzystałem z bani tylko raz, w trakcie wycieczki do Gruzji. Wielokroć musiałem denerwować rozmówców ostrym zapachem potu.

Podobne trudności miałem zresztą i w rodzinnych stronach. Wioska jest wioską, kąpanie odbywało się raz na tydzień, a nie codziennie, jak w miastach. W tym sensie byłem w chwili startowej taki sam brudas, jak średni mieszkaniec Rosji.

Nie krępuję się o tym pisać, bo to są realia życia na Wschodzie. Każdy, kto próbuje oddać się tam sprawie higieny bez reszty, ryzykuje, że mu to zajmie cały wolny czas.



Domek przy Linijnej zbudowany był z żuźlowych pustaków. Miał kuchnię, łazienkę i kaplicę na dole oraz sześć małych pokoików mieszkalnych na górze. Planowali go księża z Korei, którzy byli bardzo gościnni i na wszelki wypadek mieli wiele materacy, więc mogli розміścić pokotem do 20 osób.

Przez te trzy lata miałem kucharkę Koreankę o rosyjskim imieniu Zoja, która pochodziła z okolic Uglegorska. Urodziła się tuż przed wojną i skorzystała z koreańskiego prawa, które gwarantuje obywatelstwo południowokoreańskie ludziom wywiezionym przez Japończyków i urodzonym w japońskiej niewoli. Świetnie gotowała, ale wyłącznie miejscowe potrawy. Jadałem zupki małżowe, wspaniałą kapustę pekińską w ostrej przyprawie o nazwie kimchi, smażone w oleju łopuchy, młode pędy paprotników, japońskie podkałużnice jatsubeki i wiele innych rzeczy, których nazw nie pamiętam.

Samo miasto Władimirowka liczące około 200 tysięcy mieszkańców ma układ ulic i duszę starego japońskiego miasta Toyohara. Co prawda niemal wszystkie drewniane domki, w tym również kościół z czasów japońskich, zlikwidowano. Na centralnym placu, tyłem do kolei, stoi wielki pomnik Lenina. Ale nawet kolej ma do dzisiaj tory japońskie i prawie wszystkie stacje kolejowe pamiętają tamte „imperialne” czasy.

W każdym miasteczku zachowały się ruiny zakładów papierniczych i rybnych, które działały niemal 50 lat po wojnie, póki się całkowicie nie zdezelowały. Z betonowych budowli zachował się bank Michinoku i pałac gubernatora. W czasach Gorbaczowa i Jelcyna na Sachalin przyjechało mnóstwo misjonarzy z protestanckich wspólnot i sekt. Mimo sabotażu na poziomie państwowym, ilość wspólnot jest wielka. Są koreańscy baptyści i tzw. Sun Bogym, czyli zielonoświątkowcy. Adwentyści z Korei otwarli nawet swój uniwersytet, na którym dużą popularność mają kursy językowe. Poznałem niemal wszystkich pastorów, i mimo że przyjmowali mnie z typowo wschodnią ostrożnością, powolutku udawało mi się topić lody i stawać się człowiekiem znanym w tym mieście. Zapisalem się nawet na kursy językowe, chodziłem tam niespełna rok, a pół roku uczyłem się japońskiego.

Zadomowiłem się, poznałem nawet wielu prawosławnych. Tuż przed moją deportacją, sporym nakładem sił (w tym moich własnych) powstał w centrum miasta ładny kościółek, do którego – prócz Koreańczyków – uczęszcza obecnie spora grupa „Europejczyków”. Kontakt z Koreańczykami był dla mnie dużym przeżyciem i pomógł w otwarciu oczu na kulturę Dalekiego Wschodu. Był też jednak powodem wielu nieporozumień i cierpień.

Dużo łatwiej niż ja, z Koreańczykami dogadywali się Rosjanie. Mimo europejskich rysów twarzy, ich mentalność jest podobna.

W Azji Rosjanie są uważani za swoich – fenomen, który staram się pojąć, ale nadal mi trudno. Ostatnio złapałem się na myśli, że Rosjanin, wychodząc z cerkwi, idzie tyłem jak rak i wielokrotnie nisko się kłania przed ołtarzem i krzyżem. Dokładnie tak samo jak Chińczyk, Japończyk czy Koreańczyk po zakończonej audyencji u urzędnika jakiegokolwiek rangi.



Chołmsk, czasem porównywany do Władystoku, jest malowniczo położony nad Tatarskim Zalewem Oceanu Spokojnego. W Chołmsku dzięki ofiarom księdza Benedykta Zwebra MM kupiliśmy mieszkanie dla odnowienia starej wspólnoty parafialnej.

Kiedyś w Uglehorsku poznałem Piotra Szina, który jako dziecko przebywał w tej parafii na obozie młodzieżowym i został tu ochrzczony w wieku 12 lat. Chrzczył go benedyktyński mnich z prowincji krakowskiej o. Gustaw Stysiak, kapłan bardzo wysokiego wzrostu, za którym oglądały się z zaciekawieniem japońskie dzieciaki.

Kościółek z drewna stał na skłonie wysokiej góry nieopodal straży pożarnej i obecnego urzędu powiatowego. A jakieś 300 metrów od starego kościoła, przy ulicy Swobody numer 63 mieściła się tymczasowa kaplica. Mieszkała tam jakiś czas katechetka, mieszkał tam też ks. Marcin ze Słowacji, mój następca na Kamczatce. Mieszkałem tam z rzadka i ja. W tym niewielkim mieszkanku dokonało się kilka chrztów i kilkaset połowych mszy świętych.



Co tydzień jeździłem do Chołmska, sam siedząc za kierownicą. Jechało się zaledwie 80 km, ale drogą krętą i niebezpieczną. Czasem z powodu zamieci podróże były tak męczące, że mszę świętą sprawowałem siedząc, bo nie mogłem ustać na nogach. W drodze powrotnej zajeżdżałem do Aniwy. To kolejny sachaliński port z piękną plażą, gdzie odpoczywa większość mieszkańców obwodowego miasta Južno-Sachalińska. Drobnym piaseczkiem, jak nad Bałtykiem, w morzu wraki statków. Nieopodal spadły strzępy koreańskiego samolotu, który zestrzelono pod koniec ZSRR.

Mieszkanie w Aniwie przygotowali dla mnie tutejsi Ukraińcy, grekokatolicy. Sami też zbudowali ładną wieżyczkę i urządzili kaplicę w starej połowie dawnego sklepu. Nowa połowa była zajęta przez metodystów.



Również i w Korsakowie od dawna była parafia i kościół. Pierwszy kapłan, jaki tu się pojawił w latach 1907-1909 to był przyrodnik, franciszkanin z Hakodate.

Potem przybywali kolejni księża, w tym legendarny Ślązak Angelus Kowarz z wrocławskiej prowincji niemieckich franciszkanów. Angelus mieszkał na Sachalinie ponad 20 lat; przyjechał do Korsakowa w 1911 roku, a opuścił tę misję w 1933. Napisał książkę „Sachalin, wyspa samotników”, która ukazała się po niemiecku w latach 30. Jego kościółek stał nieopodal kina i przedszkola na jednej z głównych ulic, obecnie Krasnoarmiejskiej. Na tej ulicy, 50 metrów od dawnego placu parafialnego wykupiliśmy nieduże mieszkanie. Czyniliśmy starania, żeby odszukać stary katolicki cmentarz, bo właśnie tutaj pochowano jednego z pierwszych misjonarzy, Stanisława Muchę. Wielu misjonarzy deportowali Rosjanie w 1947 roku, inni sami wyjechali wcześniej, ale ten swe kości pozostawił w Korsakowie. Jako neoprezbiter zmarł po roku pracy na misjach od niewydolności żołądka lub zatrucia. Myślę, że nie miał nawet 30. lat. Często go wspominam dobrym słowem i modłę się do niego, by mi umożliwił powrót na Sachalin. Jeśli taka wola Boża.



W Aleksandrowsku przymierzaliśmy się do kupna mieszkania w centrum miasta.

Były na to środki; gospodarz prosił zaledwie o 18.000 rubli, co w tym czasie stanowiło jakieś 700 dolarów. Do transakcji nie doszło z błahego powodu – braku krat na balkonie. Mieszkanie było na pierwszym piętrze, więc istniała obawa, że pod nieobecność kapłana może zostać splądrowane.

Były to czasy, kiedy ludzie opuszczali w panice miasto i rozprzedawali za bezcen swoje mieszkania. Trwał kryzys, nie było pracy na całej Syberii i również na Sachalinie znikwały z powierzchni ziemi całe wioski i niewielkie miasteczka. Aleksandrowsk, który w czasach carskich, a nawet po rewolucji był stolicą obwodu sachalińskiego, teraz znajduje się w upadku. Tam, gdzie stał kościółek urządzono

kino „Majak” (czyli latarnia morska), a potem zaczęto budować garaże na pustym placu pięknego zbocza obok rynku.

W Aleksandrowsku zatrzymałem się więc w domu pewnego kagebisty spod Lwowa, który miał unickie korzenie, a za małżonkę wziął lwowiankę – panią Helenę. Mam zasługę, że doprowadziłem tę parę do ślubu kościelnego, kiedy już oboje mieli grubo po pięćdziesiątce. Władek był niewysoki, krępy i dość zabawny, gdyby nie jego zawodowe zainteresowania i światopogląd. W tym wymierającym miasteczku KGB zamknęło swój punkt obserwacyjny i przeniosło do położonego na trasie kolejowej, odległego o 40 km Tymowska. Gdy wynikła konieczność śledzenia kapłana katolickiego, punkt obserwacyjny KGB wznowiono i Władek został jego kierownikiem. Po latach spędzonych na rencie odzyskał prestiż i lepsze zarobki. Mam więc dla tej rodziny i miasta pewne „zasługi operacyjne”. Coś podobnego zdarzyło się w Stanicy Leningradzkiej na Północnym Kaukazie i w okolicach Krasnodaru...



Słowo „Nogliki” oznacza podobno „smród” w miejscowym języku Niwchów. Autochtoni wyczuwali w wodzie zapach metanu i innych nieprzyjemnych gazów, dlatego dali tę nazwę rzece i miastu.

Miałem w Noglikach kilka punktów zatrzymania. Nocowałem w dwu różnych hotelach, a raz nawet w amerykańskiej bazie, na tzw. „Szelfie”, obok miejsca wydobywania ropy naftowej nad Morzem Ochockim.

Systematycznie jeździłem do Noglik objuczony workami z owocami, mąką i cukrem. Wszystkie te rzeczy na południu wyspy były dwukrotnie tańsze, więc na prośbę miejscowych kupowałem i odwoziłem do muzeum w charakterze podarków. Mieliśmy na to pieniądze z Caritasu. Robiłem to z radością, a do takich akcji zachęcała mnie pewna starsza pani z muzeum o nazwisku Lok. Z czasem zabierałem ją na nasze seminaria do Chabarowska. Była najbardziej barwnym elementem tych zajęć. Mówiła z wdzięcznością o naszych staraniach w kierunku akcji trzeźwości i odważnie uświadamiała, że Niwchowowie giną!



Jakieś 300 km na północ od Noglik jest ostatnie na wyspie większe miasto zwane Ocha, stąd widocznie pochodzi nazwa morza Ochockiego.

Z Ochy dostawałem przekazy pocztowe z pieniędzmi na msze św. za duszę pewnej katoliczki. Posyłała je prawosławna osoba, przyjaciółka zmarłej. Intrygowało mnie to i marzyłem, by odwiedzić najdalej położone na północ miasto Sachalinu.

W tym mieście byłem jedyny raz w marcu 2000. roku. Przenocowałem i cały dzień odwiedzałem różne instytucje. Dzień był śnieżny i mroźny, zasy py ponad metrowe, ale drogi odsnieżone, słońce łagodziło mróz, a na dodatek było bezwietrznie. Samo niebo uczyniło mi podarunek, bo dwa dni wcześniej w Ulegorsku był taki butan śnieżny, że nic się nie widziało na dwa metry. W redakcji miejscowej gazety znalazłem przyjaznego człowieka, rodaka z Kamieńca Podolskiego. Potem w cerkwi spotkałem życzliwego popa, który wspomniiał, że czasami zwracają się do niego katolicy pytając, gdzie jest kościół. Ośmielony pomyslnymi zdarzeniami odwiedziłem jeszcze lokalną telewizję, gdzie mnie zaproszono po południu na krótki program popularyzujący kościół. Południe spędziłem u fryzjera, bo byłem po podróży rozczochrany i zbyt zarośnięty do dawania wywiadów. Wszystko poszło nadzwyczaj gładko, ale już pobyt na lotnisku był kłęską. Podejrzliwy kontroler skopiował mi paszport i długo nie chciał puścić do samolotu twierdząc, że nie mam rejestracji, choć pokazałem mu kwitek z hotelu. Pan miał zabandażowany palec, więc to może rana dłoni powodowała dodatkową złośliwość?... Ostatecznie wyleciałem o czasie małym samolotem do Chabarowska a później dalej na Kamczatkę.



Do budynku żeńskiego aresztu trafiłem przypadkiem. Pewien dziennikarz, którego pytałem, czy ma znajomości w jakimś areszcie, bo biskup prosił nas o takie odwiedziny w roku jubileuszowym, bez chwili namysłu powiedział, że ma i chętnie załatwi mi takie spotkanie. Razem ze starostą zrobiliśmy zakupy. Wedle wstępnego wywiadu jaki zrobił mój znajomy, w areszcie brakowało najprostszycz rzeczy, takich jak mydło, proszek do prania i bielizna osobista dla kobiet. Pieniądze, jakie przeznaczył na to Caritas nie były wielkie, ale szefowa aresztu bardzo mi dziękowała. Mieliśmy też możliwość spotkania. Skierowałem do kobiet parę słów z okazji jubileuszu. Było ich ok. 50. Spotkanie rejestrował kamerą mój kolega



dziennikarz, a później migawki pokazała miejscowa telewizja. Jakiś czas potem jedna z więźniarek wyszła na wolność, odszukała mnie i kilkakrotnie z sąsiedniego miasteczka przyjeżdżała z dziećmi na mszę. Zaprosiła mnie nawet na kolędę.



Następnego roku – wielkanocne odwiedziny w poprawczaku, 80 km od Južno-Sachalińska. Z trudem przebijał się przez miękką śnieg, który na Sachalinie trzyma się do końca maja.

Towarzyszył mi starszy kapłan, rodowity Włoch Bernardo Antonini. Człowiek miał dar gawędziarski, a słaba znajomość gramatyki i silny akcent tylko ułatwiały kontakt ze słuchaczem. Spotkanie odbywało się w klasie, gdzie siedziało około 50. nastolatków, z czego większość miała niewinne twarze. Moc przeżyć. I żal, że wielu z tych chłopców nigdy nie zazna normalnego życia na wolności. Oni już zostali zaprogramowani na czynienie ludziom zła...



W tym samym czasie co na Sachalinie, pracowałem na Zabajkale. To spora odległość, bo ponad 3000 km. Brakowało jednak kapłanów, więc biskup obdarzył mnie tą odpowiedzialnością i tym samym możliwością podróżowania na okrągło tam i z powrotem. Sam zresztą żył podobnie.

Parafia przy ul. Mostowej to jedno z najbardziej udanych moich dzieł. Przez pół roku sporadycznych wizyt w Czycie wyszukałem teren starego sanatorium i zadbałem o jego przekazanie dla świeżo powstałej parafii katolickiej. Biskup był ze mnie bardzo zadowolony, ja sam z siebie również. To niemal dwa hektary ziemi w okolicach centrum miasta, malowniczo położone nad rzeką obok starego spalonego mostu, stąd nazwa ulicy. Po sanatorium ostało się wiele starych budowli, które moi następcy, ks. Romaniuk i ks. Fidermak odnowili i przerobili po kolei na plebanie, klasztor i kościół.

Czyta jest większa niż Južno-Sachalińsk, ma 300 tysięcy mieszkańców. Karmi się legendą zesłanych po powstaniu 1825 roku 80. dekabrystów, którzy sprawili, że miasto stało się wielkie i znane w Rosji. Spędzili tu około 30 lat, oddając tej ziemi cały swój geniusz.

W Czycie zwykle mieszkalem w jednym z lepszych pokoików w hotelu „Zabajkale”, w samym centrum miasta. „Po znajomości”, bo dyrektor hotelu, mój

rówieśnik Igor pochodził z Taganrogu, czyli z miasta, w którym wcześniej kilka lat pracowałem, i był mi bardzo życzliwy.

W domku sióstr na Mostowej mieszkałem tylko tydzień, tuż przed opuszczeniem Rosji na zawsze. Nie wiedziałem, że to mój pożegnalny pobyt, ale coś wyczuwałem, więc wyszło nostalgicznie. Siostry codziennie przynosiły do mego pokoiku na zapleczu banany, a ja, nie opuszczając swojej norki, uczyłem się „chińskich hieroglifów”, bo już miałem w kieszeni bilet do Japonii.

## Chabarowski Kraj

Chabarowsk to miasto mocno rozciągnięte w kierunku południowym. W kierunku wschodnim, od ulicy Murawjowa, która zaczyna się u wybrzeży Amuru, aż do lotniska idą trzy równoległe szerokie ulice. Spora aglomeracja ulokowała się na północy miasta, w stronę mostu wiodącego na zachód. Przy ulicy Murawjowa, która jest centralną i najbardziej historyczną ulicą w tym dość młodym mieście, przez kilka dobrych lat mieszkali ojcowie misjonarze z Maryknoll.

Za radą biskupa „Maryknolle” wykupili aż trzy duże posesje w tych trzech kierunkach. Była więc prężna parafia na południu i dość mocna na północy. A także centralna, która latami borykała się z zalegalizowaniem sporego domostwa kupionego na prywatną osobę.

Władze nie oddawały katolikom starego drewnianego kościoła przy ulicy Teatralnej, nieopodal centralnego placu. W tym kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, po rewolucji urządzono szpital wenerologiczny. Dziennikarze nie szczędzili nam szyderstw: „Niepokalanie Poczęta nie zechce, by się modlono w takim miejscu!”



Ojcowie misjonarze byli to starsi panowie z USA, z długim stażem misyjnym w Etiopii, Indiach, Japonii a nawet w Korei. Wszyscy oni przyjechali do Rosji na misyjną emeryturę, łącząc pożyteczne z przyjemnym. W tym czasie praca w Rosji nie była aż taką udręką. Jak byś się nie starał: młody czy stary, mądry czy głupi, żaden ksiądz w Rosji nie był w stanie zebrać w krótkim czasie więcej niż 100 parafian. Z taką ilością parafian trudno się zmęczyć. Ci starsi kapłani mieli więc raczej zabawę z egzotycznymi i wiecznie biednymi Rosjanami, którzy bez przerwy

zwracali się o wsparcie materialne. A oni wielkodusznie rozdawali pieniądze na prawo i lewo. Ja też, w jakimś sensie, byłem beneficjentem ich dobroci, bo opłacali moje rejsy na Kamczatkę i pociągi do Czyty.

Prawdziwym ekscentrykiem był ks. Edward Schoelmann – niezapomniana figura! Pracował na najtrudniejszych misjach w Afryce: w Etiopii i Sudanie. Gdy po latach trafił do Rosji miał już pod siedemdziesiątkę, ale nadal chodził w dżinsach. Był wysportowany i tryskał młodością, mimo że głowę miał siwą i łysawą, a przez swoje zwichrzone włosy przypominał mi trochę Puszkina z portretu. Wsławił się tym, że swych największych wrogów najhojniej obdarzał pieniędzmi. Wkładał banknoty między książki na oczach gości, którym potem, pod różnymi pretekstami, dawał klucze z prośbą, by tę, czy inną rzecz zabrać. To wyglądało na idiotyzm, bo sowieckim ludziom absolutnie nie wolno ufać w takich sprawach. Ale on twierdził, że cel jest wychowawczy i nie sposób go było przekonać, że to raczej pokusa. Podobno Amerykanie tak sprawdzają swoje pokojówki, że rozrzucają drobne pieniądze po kątach... Edward miał sklerozę lub tylko udawał. Mimo czterech lat starań, nie potrafił sklecić po rosyjsku prostego zdania, rozumiał natomiast niezłe. Wobec mnie był bardzo przyjacielski: zabierał do kina i na zakupy, zachęcał, bym sobie wybrał ulubione potrawy. Dał kopię klucza od domu, bym w każdej chwili mógł tam wchodzić. Godzinami potrafił sympatycznie gawędzić o rodzinnej wiosce Nada w Teksasie, skąd pochodziło aż 40. kapłanów i sióstr zakonnych. Opowiadał, jak niektórzy z nich, na feriach w domu rodzinnym przychodzili do parafialnego kościółka dzielić się misyjnymi wspomnieniami, co budziło zainteresowanie młodzieży i kolejne powołania, w tym także jego własne. Edward miał dobrze zaplanowany czas. Raz w miesiącu latał do oddalonego o 1000 km Mikołajewska nad Amurem, żeby i tam rozwinąć parafię. Posyłał na katechizację japońskie siostry i często obiecywał, że zabierze również mnie, do czego niestety nie doszło. Podobne podróże odbywał do oddalonego o 500 km Komsomolska nad Amurem i do Birobidżanu odległego o 80 km. W tych miejscowościach wykupił posesje dla parafii i pod wrażeniem moich sukcesów na Kamczatce i w Czycie podjął się rejestracji trzech wspólnot. Z początku bagatelizował konieczność rejestracji. Bogu dzięki, przynajmniej w tej jednej sprawie mnie posłuchał...



Prawdę mówiąc, biskup bardzo szanował Edwarda za dobroć, ale nie dowierzał jego praktycznym zdolnościom. Bał się, że może być oszukiwany przez parafian i pomocników, więc zlecił mi „tajną misję”. Miałem przyglądać się sytuacji

w parafii i doradzać staremu misjonarzowi, w czym tylko się da. Przyznam, że było to zadanie nie do wykonania. Doradców i pseudodoradców Edward miał w bród. Nie miał jednak talentu do odróżniania porad wrogów od porad przyjaciół. To, co mówili mu świeccy, miało dla niego podobną wartość, jak wskazówki biskupa, czy współbrata księdza. W tak trudnym kraju jak Rosja, na bezgraniczne zaufanie osobom świeckim misjonarz obcokrajowiec nie mógł sobie pozwolić, bo to kosztowało zbyt drogo. Pod koniec posługi księdza Schoelmana, przyjechał z Watykanu jego współbrat, Amerykanin McCabe. Trzeźwymi oczyma popatrzył na to, co się dzieje, przyjął moje i biskupa uwagi, a wtedy Edward nagle zapłakał, że tak okrutnie go oszukiwano... Porzucił tę misję kompletnie załamany moralnie i finansowo. On przecież potrafił przywozić prywatne pieniądze krewniaków i dyskretnie rozdawać „przyjaciołom” na kupno mieszkań, samochodów i innych „ważnych dla misji” rzeczy. One się potem okazały niemożliwe do odzyskania; parafia nie mogła ich rewindykować i z nich korzystać.

Jedyny plus tego układu był taki, że Edward i jego koledzy zaangażowali się we wspieranie moich projektów na Kamczatce i na Sachalinie. Poprosił ich o to ksiądz biskup Mazur. Nie mogli odmówić, choć czasami miałem wrażenie, że „polski styl” prowadzenia misji i budowania relacji z Rosjanami ich drażni. Oni byli zwolennikami bezgranicznej otwartości. Mieliśmy zawsze o czym pogadać, bo mimo, że byłem o ponad dwadzieścia lat młodszy, to moje doświadczenie w Rosji było o kilka lat dłuższe. Czasem przysłuchiwali się życzliwie temu, co im mówiłem, ale i tak robili swoje. Powiedzonko, że amerykańscy misjonarze produkują w Azji „ryżowych chrześcijan”, czyli takich, co siedzą w kościele za garstkę ryżu, jest całkowicie usprawiedliwione.

To droga po najmniejszej linii oporu: póki mają kasę, mają i parafian, jak się kasa kończy to i gorliwość parafian mocno spada. Tego się zawsze bałem i starałem wystrzegać. Tutaj oni nieomal mnie przekonali, że płacenie pieniędzy za każde kichnięcie to rzecz święta i sprawiedliwa i że trzeba inwestować w ludzi, a nie w budowanie zimnych ścian kościołów. Każdy jednak został przy swoim. Mnie deportowano, a oni wyjechali sami, zmęczeni molestowaniem policji podatkowej, która żądała od nich kwitków za rozdane ludziom pieniądze. Ich konta były notorycznie kontrolowane. Trzeba było widzieć ich miny po każdej wizycie na milicji...



Widziane w Moskwie, krótko po komunistycznym puczu, który miał miejsce 18 sierpnia 1991 roku. Ludzie w tym czasie byli tak zdeterminowani i zmęczeni rządami bezbożników, że nie czekając na żadne dyrektywy władz, postrącali w trybie przyspieszonym wszystkie pomniki, jakie stały wzdłuż kremlowskiej ściany, a na pustych postumentach ustawili zwykłe drewniane krzyże. W mojej wyobraźni miasto przypominało Rzym i ulice Via Apia w czasach Nerona. Najciekawszy był krzyż na cokole pomnika Dzierżyńskiego. Na tabliczce z nazwiskiem czekał ktoś namalował odręczny napis z czasów cesarza Konstantyna Wielkiego: „IN HOC SIGNUM VINCIS” (POD TYM ZNAKIEM ZWYCIĘŻYSZ).

Taki sam napis umieściłem na pożegnanie z Rosją pod wielkim metalowym krzyżem obok kościoła na Sachalinie.

## W poszukiwaniu azylu

Na jakiś czas musiałem opuścić misję na Sachalinie. Nie była to moja decyzja, ale splot wydarzeń, jakie się nawarstwiły w świecie polityki, i nie tylko tam. Misjonarz musi być gotów na różne sytuacje i w gruncie rzeczy nie mam żalu o to, że musiałem zmienić placówkę. Każdy kapłan tak ma. Jednak styl tej zmiany spowodował, że stałem się pisarzem apologetą, który broni Kościoła przed niesłusznym traktowaniem oraz przed zniszczeniem. Cały czas żyję nadzieją, że swoimi książkami wychowam grono następców, misjonarzy, którzy chętnie pójdą do Rosji a może nawet do Chin, czy krajów arabskich, w których sowiecki krypto-ateizm lub islam wydały Chrystusowi bezwzględną wojnę.



Odwiedziny w Japonii zawdzięczam panu Putinowi, który wyreżyserował prowokację pt. „Rosja nie lubi katolików”. Putin objął stanowisko premiera w 1999 roku. Tuż przedtem pokazywano go publiczności jako autora intrygi dotyczącej prokuratora generalnego, którego z pomocą służb specjalnych przyłapał na gorącym uczynku w saunie z dwiema nagimi dziewczynami. „Sowieckie porno” prezentowano w Rosji w *primetime*, a Putin gwarantował, że zdjęcia są autentyczne i zrobione profesjonalnie. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co to za nowy bohater nam rośnie. Wprowadzono go na tron na kilka miesięcy, a już na nowy rok jego ludzie wymusili na Jelcynie rezygnację ze stanowiska prezydenta Rosji. W objęciu władzy miały pomóc trzy wybuchy w Moskwie i jeden w Wołgodońsku, które władze przypisały terrorystom z Kaukazu. Nikogo jednak nie pojmano, a terroryści do niczego się nie przyznali. Wystarczyło to jednak do wznowienia wojny czeczeńskiej pod hasłem, jak się Putin wyraził: „będziemy ich łapać i moczyć wszędzie, jak trzeba, to również w kiblu”. Ten styl wypowiedzi i poziom kultury politycznej zagościł w rosyjskiej telewizji na długo. Na wiosnę 2000 roku Putin ogłosił, że zmieni „wertikalny system władzy” i surowo będzie kontrolował naznaczonych przez siebie pomocników w regionie. Nagonka, jaką zainicjował w odniesieniu do narodu czeczeńskiego, wkrótce objęła nieprzychylną Putinowi prasę i wszelakich humorystów, dla których stał się ulubionym celem. Nie było litości. Wiosną 2001 roku Putin wysłał swych ludzi do okupacji ulubionego wśród Rosjan kanału NTV. To była pokazówka, zajęto go o 4. nad

ranem, co obejrzała sobie cała Rosja. W tym czasie powoływano do więzienia najbogatszych biznesmenów z obozu opozycji. Właściciele dwu najpopularniejszych stacji telewizyjnych emigrowali, wielu biznesmenów postąpiło podobnie. Nadszedł czas porachunków w sferze wolności wyznaniowej.

11 lutego 2002 roku Watykan ogłosił diecezjami 4 apostołskie administratury katolickie, podwyższając ich rangę. Wydalono więc pięciu kapłanów i ja również znalazłem się na czarnej liście jako *persona non grata*.

## Japonia

Chabarowski kolorytu dodawała w tych czasach obecność sióstr wizytek z Montany w Kamakura nieopodal Tokio. Pewien francuski misjonarz, który po wojnie był nawet biskupem w Yokohamie, założył to zgromadzenie, gdy zobaczył, jak wielu Japończyków mieszka w okolicach Los Angeles. Oprócz USA, siostry otwały z czasem placówki na Filipinach, w Papui i wreszcie w Rosji, właśnie w Chabarowsku. Siostra Kiyoko Suwa, przyjaciółka kardynała Hamao, była mi wielce życzliwa i to ona w znacznej mierze pokryła potrzebne wydatki w czasie mego pobytu w Japonii, kraju bardzo drogiego dla obcokrajowców. Siostry ofiarowały mi na kieszonkowe 400 dolarów i jeden dzień gościły u siebie w Kamakura. Lipcowego wieczoru 2002 roku na spotkanie w domu generalnym przyszło ze sto sióstr tam mieszkających. To były przeważnie staruszki. Moim przewodnikiem i tłumaczem była wolontariuszka JLMM Shoko Takahashi. Spotkanie zajęło, razem z kolacją, ponad dwie godziny i niektóre starsze siostry były wyraźnie zmęczone, ale mimo to żywo uczestniczyły w moich opowieściach. Siostry z Chabarowska dokładnie poinstruowały mnie, o czym mam opowiadać, więc starałem się wywiązać ze zobowiązań. Nocleg miałem luksusowy. Spałem w pokoiku, który zajmował przez ostatnie lata życia biskup emeryt. Zmarł w latach 70., więc stosunkowo niedawno. Jego pokoje zamieniono na muzeum, ale praktyczni Japończycy używają ich w sytuacjach wyjątkowych jako mieszkania dla „honorowych gości”. Tego wieczoru śniło mi się, że ten biskup przyszedł do mnie i zaprosił na swój wózek inwalidzki. Długo potem rozważałem, czy było to proroctwo mego inwalidztwa, czy może zaproszenie na japońskie misje...

Następnego dnia z rana było deszczowo. Odprawiłem poranną mszę świętą wspólnie z kapłanem sióstr, młodym Koreańczykiem. Odwiedziłem mały cmentarz, na którym był pochowany ich założyciel i kilkadziesiąt sióstr.

Groby nie zajmowały wiele miejsca w klasztornym ogrodzie, bowiem zwłoki w Japonii są zawsze kremowane.



W Kawasaki mieszkalem w dzielnicy Asada, na samej granicy z miastem Yokohama. Kilometr od parafii zaczynało się wybrzeże oceanu z pięknym widokiem na sztuczną wyspę, na której umieszczono hutę. Obok, na podobnym cypelku była baza amerykańskich wojsk. Kawasaki przemierzyłem wzdłuż i wszerz na rowerze i pieszo. Orientowałem się dzięki dwujęzycznym tablicom kierunkowym, z czasem mogłem swobodnie czytać wiele „hieroglifów”.

Od Tokio oddzielała Kawasaki niewielka rzeka. Metrem i podmiejską kolejką, które są sprzężone ze sobą, docierałem z Kawasaki w dowolny koniec japońskiej stolicy w ciągu 40 minut.

W Tokio miałem swoje ulubione miejsca, jak franciszkański kościół na Roppongi, jezuicki Uniwersytet Sofia, dominikańska parafia nieopodal metro Shibuya i polska ambasada w podobnym rejonie. Mieszkalem jakiś czas u holenderskich misjonarzy przy centrum wydawniczym Orient, gdzie w pewnym okresie mieściła się siedziba japońskich świeckich misjonarzy JLMM.

Pewnego razu odszukałem sąsiedzką parafię w Yokohama, w której pracował młody kapłan chodzący o kulach. Spotykaliśmy się kilkakrotnie, a znajomi opowiadali, że na kulach zaczął chodzić z powodu wypadku motocyklowego. Inna parafia, po sąsiedzku, specjalizowała się w obsłudze Filipińczyków. Natomiast w parafii św. Wincentego a'Paulo w Asadzie, w której zatrzymałem się około dwu miesięcy, posługiwali księża z Francji ze wspólnoty Prado.

Ostatnim z dynastii kapłanów Francuzów był ksiądz Edward Brzostowski, wielki ekscentryk o posturze niedźwiedzia. Syn emigrantów, biegle mówiący po polsku, przypominał swoim wyglądem i akcentem pana Edwarda Gierka.

Wspomniana wolontariuszka JLMM Shoko Takahashi poddała myśl, bym na wypadek deportacji z Rosji osiadł u tego właśnie kapłana i próbował zapuścić tu korzenie. Ks. Edward chętnie się zgodził i nawet napisał list do moich biskupów, że chce się mną zaopiekować dłuższy czas w sytuacji, gdybym nie był wpuszczony na powrót do Rosji. Takie pogrożki usłyszałem w lipcu 2002. roku opuszczając Chabarowsk, a potwierdziły się one po 3 miesiącach. 10 września, gdy zostałem zmuszony do wyjazdu z Chabarowska, w samolocie była ze mną



jedna ze wspomnianych wyżej siostr wizytek, a ja miałem w kieszeni sporządzone przez biskupa z Yokohamy dokumenty mówiące o mojej tożsamości i chwilowych trudnościach katolickiego kościoła w Rosji.

Można powiedzieć, że do pewnego momentu ks. Edward Brzostowski bardzo się o mnie troszczył. Był grubo po siedemdziesiątce i miał spore kłopoty ze zdrowiem. Jak się szybko zorientowałem, żywił pewne nadzieje, że przyjmę jego światopogląd i włączę się w duchowość Prado, a może nawet stanę się jego następcą na parafii. To było trudne do wykonania, bo miał wysokie wymagania i już od pierwszego dnia traktował mnie jak postulanta. Ograniczał mi godziny spędzane przy telewizorze i chociaż miał internet w domu, zawoził mnie do dalekiej dzielnicy, w której był dostęp do sieci. Woził mnie na spotkania swoich znajomych komunistów, powtarzając w kółko, że mimo swojego bezbożnictwa mają wiele cech podobnych do Chrystusa i są potencjalnymi chrześcijanami w Japonii. Cierpliwie słuchałem i przyglądałem się temu dziwakowi, którego katolicy w Japonii znają z humoru i z książek. Jego znajomość japońskiego jest wysoko ceniona przez misjonarzy, dlatego jest rozchwytywanym tłumaczem i re-kolekcjonistą. Dzięki temu trafiłem z nim do Osaki na rekolekcje dla kapłanów głoszone przez siostrę Bridge McKenna.

Ks. Brzostowski po mieście poruszał się najczęściej na starym motocyklu. Ubrał się skromnie, najczęściej w japoński strój codzienny. Jadł byle co, gotował sam i sam się strzygł na łyso nie patrząc w lusterko. Prysznice, jak i pozostałe pomieszczenia były tak staroświeckie, że czułem się, jakbym trafił do przedwojennego muzeum. Mój pokój składał się z łóżeczka, półki na książki i zlewu. Inne pokoje były łączone tak, że dzięki papierowym przegródkom mogły stanowić część świątyni na dużych nabożeństwach. Jednak ostatnie lata w tej parafii i dzielnicy były bardzo kryzysowe, więc większość ścianek już na stałe zasunięto i przestrzeń kościoła ograniczono o połowę względem pierwotnej. Wielki hall zamieniono na pokój do rozmów o mszy świętej. W czasie tych rozmów piliśmy herbatę i jedliśmy japońskie słodczyce oraz słodkie ziemniaki, które parafianie spontanicznie przynosili do kościoła w ładnych pakunczkach.

Jak wspomniałem, ks. Edward często jeździł w delegacje i wtedy miałem czas na poznawanie miasta. Zaprzyjaźniłem się też z niektórymi parafianami. Codziennie przychodziła osiemdziesięcioletnia Suzuki-san, która sumiennie uczyła mnie japońskiego; przynosiła wielką lupę, żeby pokazywać w słowniku potrzebne dla wykładu hieroglify. Odwiedzała mnie również jej znajoma, protestantka

Kumiko-sam, miałem też dobre relacje z pewną Koreanką i kilkoma rodzinami powtórnymi emigrantów, Japończyków z Peru i innych krajów latynoskich. To specjalna kategoria parafian, z którymi mogłem swobodnie porozumiewać się po hiszpańsku i zadzierzgnąć bliższe więzy, bo oni byli rozluźnieni i otwarci jak wszyscy Latynosi, czym wyróżniali się na tle zdystansowanych i zamkniętych w sobie tubylczych Japończyków.



Byłem u podnóża góry Fuji na diecezjalnym zlocie kapłanów diecezji Yokohama. Powiózł mnie na tę imprezę właśnie ksiądz Edward. Seminarium trwało trzy dni i mowa była o kryzysowych sytuacjach. Na tym zlocie poznałem śp. Kardynała Hamao pochodzącego z Yokohamy, odpowiedzialnego za sprawy migracji w Watykanie. Był niewysoki, dużo palił. Wspomniał, że jest zwolennikiem zwołania III soboru watykańskiego. Przyjaźnił się z moją znajomą siostrą Suwa Kiyoko, więc gdy mu o niej wspomniałem, ładnie się uśmiechnął i obiecał, że jeszcze do mnie podejdzie i że się wybiera na Syberię. Więcej jednak nie mieliśmy okazji do rozmów. Taka pięciominutowa audyencja w biegu.



„Dom w Kudzi się ostał” – taką informację przez e-mail otrzymałem niedawno od Shoko Takahashi. Ostała się również katolicka parafia, mimo że na wiosnę 2011 roku to miasto dotknęła najsilniejsza fala tajfunu i port został zniszczony całkowicie. Podobnie zresztą jak i miasto Hachinohe, w którym spędziłem jeden dzień i odprawiałem mszę świętą u kanadyjskich urszulanek albo sióstr Sacre-Coeur... Już mnie teraz zawodzi pamięć.

Kudzi to miasto, w którym są największe starożytne kopalnie bursztynu, stąd też obecność, od niepamiętnych czasów, katolickiej diaspory. Katolicy w Japonii lubili takie oddalone miasteczka i trudne zajęcia, by w tajemnicy móc praktykować swoje wyznanie. Teraz w parafii w Kudzi mieszka stary misjonarz ze Szwajcarii, który ledwie powłóczy nogami. Ma kilkunastu parafian i sporych rozmiarów przedszkole, toteż podwórko parafialne pełne jest dziecięcych zabawek.

Domek państwa Takahashi choć filigranowy, podobnie jak reszta chaterek w mieście, przypominał mi rodzinną wioskę; większość tych drobnych zabudowań i uliczek ma coś ze „stylu gierkowskiego”. Wiele domów jest z drewna i obsypte

są pięknie plastykiem lub innymi dekoracyjnymi materiałami. Wszystko skromne i na tyle estetyczne, że czujesz, jakbyś wrócił do jakiejś bajki z dzieciństwa.



W Nagasaki odwiedziłem Nagacent, studenckie centrum (a dokładniej – akademik, w którym była kaplica) prowadzone przez 30 lat przez meksykańskiego jezuitę, o. Aguilaresa.

Każdego wieczoru po powrocie z miasta siadaliśmy z ojcem na długą pogawędkę. Mogliśmy gadać po hiszpańsku, stary jezuita wiele opowiadał o swych doświadczeniach misyjnych. Mówił, że on, jak i większość europejskich misjonarzy, doznał klęski. Naocznych objawów nawrócenia mało. Japończycy są zamknięci w sobie i nie dopuszczają obcych do sekretów swej duszy, ale widać, że jako chrześcijanie, cierpią z powodu swojej odrębności.

Ten stary misjonarz też bardzo cierpiał. To się widziało i czuło. Czuło się też wdzięczność, że ma komu to opowiedzieć.

Nagacent mieści się w nowej, północnej części Nagasaki, u stóp wzgórza, z którego rozciąga się urokliwy widok na miasto. Nieopodal mieszkają ludzie ze wspólnoty Focolari. Z Nagacent do centrum podróżowałem tramwajem. Dojazd do stacji kolejowej jest dogodny, a stamtąd już bardzo blisko do Oura, czyli do starej katedry katolickiej i seminarium. Byłem w epicentrum wybuchu bomby atomowej. Obok katedry jest rzeczka i potężny pałac biskupi. Po drugiej stronie rzeki mieści się ogród z wielkim posągami, który przypomina wychudzonego Buddę z ładnymi lokami i z koczkiem. W parku mnóstwo mniejszych pomników z kondolencjami od narodów całego świata.

Na zboczu Oura znajdują się historyczne budowle związane z tamtejszym kościołem katolickim. Co kilkaset metrów napotykałem tablice pamiątkowe, informujące że odkryte przez archeologów fundamenty to pozostałości jednego z licznych kościołów z końca XVI i z początku XVII wieku. Na szczątkach wielu z nich zbudowano świątynie buddyjskie i shinto.

W Nagasaki ogarnia katolika nostalgia za dawną misyjną świetnością, o której się tutaj nie milczy. Uważa się też, że to najbardziej „europejskie miasto” w Japonii; widać, że krew marynarzy przemieszała się z krwią tubylców, twarze mieszkańców są jaśniejsze i mają oni słuszniejszą budowę ciała.

Stojąc w starej katedrze na Oura obok białej statui Maryi Niepokalanej usłyszałem głos mamy: „Nie martw się synku, wszystko będzie dobrze”.

To zdarzenie jest dla mnie ważne nie tylko dlatego, że usłyszałem znajomy głos na odległość, bo już wcześniej tego doświadczyłem. Istotne jest, że mama mocno cierpiała, wiedząc o mojej deportacji z Rosji i niewątpliwie gorąco się modliła w te ostatnie dni przed śmiercią, która miała nastąpić akurat w trakcie mego wygnania. Przy tej samej statui w 1871 roku dokonał się powrót tajnych katolików na łono Kościoła po 300 latach prześladowań.

Na Oura byłem też w domu Kolbego zamienionym na muzeum; czułem się tak, jakbym z niego nie mógł wyjść... Św. Maksymilian Kolbe wynajmował ten dom przez kilka miesięcy, zanim otrzymał lokalizację klasztoru na jednym ze wzgórz na przedmieściach. W klasztorze, dokąd udałem się tramwajem, miałem jakieś uczucie wyobcowania. To już prawdziwie koniec miasta. Można się pięć w górę, a zabudowań niewiele. Tam, na przedmieściach, spotkałem wiekowego brata Bogusława, który przybył do Japonii razem z o. Maksymilianem. Czas jakby się tam zatrzymał. Ślady o. Kolbego są takie świeże, a mimo to nie czuje się specjalnego zapachu, by jego kult był dalej głoszony. Japończycy bardziej kochają brata Zenona Żebrowskiego, który tu spędził całe życie budując baraki dla ofiar ataku jądrowego.

Spotkanie z bratem Bogusławem trwało dość długo, ale on był jakiś roztargniony. Proponował, bym odwiedził pewien klasztor 40 km dalej i na jakiś czas tam się zatrzymał, bo siostry nie miały kapłana na wakacje. Ale tę sprawę zbojkotowała moja tłumaczka, wolontariuszka JLMM Shoko Takahashi; Japończycy nie są na tyle spontaniczni, by zmieniać program dnia na poczekaniu.



W diecezji Sendai prowadzonej przez dominikanów spędziłem ponad tydzień. Te okolice, podobnie jak Hachinohe i Kudzi, doświadczyły skutków strasznego tajfunu. Myślę, że wiele miejsc, jakie wtedy odwiedziłem zniosło z powierzchni ziemi lub poważnie zniszczyło.

Mam stamtąd wiele wspomnień z rozmów podobnych do tych, jakie prowadziłem w Nagasaki ze starym jezuitą. Dominikanie kanadyjscy współpracują z polskimi ze względu na braki kadrowe: ich ojcowie są bardzo starzy, a nasi to młokosi.

Odpust MB Różańcowej spędziłem z nimi w pustelni sióstr dominikanek klauzurowych, które – pół żartem, pół serio – zachęcały, bym pozostał u nich na stałe jako kapelan. Wciąż napotykałem ten temat w Japonii. Wiele zgromadzeń

siostr boryka się z problemem braku kapłana, który by chętnie dla nich odprawiał i „nie robił im łaski”.

Moim opiekunem w tych okolicach był o. Czesław, prawdziwie świętobliwy człowiek. Trafił do Japonii w wieku czterdziestu lat. Pierwszy rok pobytu był dla niego bardzo ciężki, nawet myślał, że będzie musiał ratować się ucieczką. Mimo trudności, wytrzymał jednak 20 lat. Czynił starania, by mi pomóc w znalezieniu pracy w okolicy. Nie wyszło, bo przeszkadzał temu przesławny japoński konserwatyzm

Z o. Czesławem odwiedziłem wiele ciekawych miejsc w diecezji Sendai. Polubiłem te okolice, bo krajobrazy i klimaty były te same, co na pobliskim Sachalinie...



W Fukuoka, podobnie jak w Kamakurze, moimi gospodyniami były siostry wizytki. Jedna z nich przyznała się, że kiedyś była prawosławną. Było jej przykro, gdy opowiadałem, jak prawosławni traktują katolików w Rosji.

Siostry dały mi pokój z tatami na parterze. Ich dom przypominał trochę posesję pallotynów w Osace, tylko podwórko mniejsze i brakło ogrodu z obfitością drzew. Siostry mieszkały niemal w samym centrum. Seminarium w Fukuoka jest największe w Japonii, obsługuje sześć południowych diecezji. Wtedy studiowało tam około 50. kleryków. Drugie seminarium japońskie jest w Tokio i choć obsługuje aż dziesięć północnych diecezji, to ma niewiele ponad 20. kleryków. Na ten moment przyjęto do tokijskiego seminarium aż 6. kandydatów z Wietnamu.

W Fukuoka byłem dwa razy: 21 lipca 2002 roku przed odpłynięciem promem do Korei i 21 sierpnia po powrocie z Korei. Obejrzałem w tym mieście wystawę Kandynskiego, odprawiłem w małej kaplicy mszę świętą po japońsku i wypilem wiele soków, co dokumentuje kilka zdjęć zrobionych przez tłumaczkę.

## Korea

Korea to kolejny przystanek w mojej ówczesnej drodze donikąd. Czułem, że do Rosji nie zostaną wpuszczony i specjalnie wydłużałem czas dzielący mnie od deportacji. Po miesiącu pobytu w Japonii przyjechałem na cały miesiąc do Korei.

Zatrzymałem się u braci i siostr Matki Teresy z Kalkuty. Ci z kolei pomagali mi logistycznie w odszukaniu innych znajomych i kontaktów. Na całe życie zapamiętam spotkanie ze znanym mi zaocznie i z korespondencji kardynałem Stefanem Kim. Cenię sobie odwiedziny u znanych ze słyszenia misjonarzy sachalińskich, zwłaszcza o. Jakuba Won-sul i o. Laurencio. Spotkałem też zakonnice o imieniu Gloria, która również pracowała na Sachalinie. Wszyscy oni pochodzili z okolic Tegu. Pokazali mi miejsce związane z pierwszymi chrześcijanami koreańskimi w Hanti, muzeum, katedrę etc.

Oprócz Seulu i Tegu odwiedziłem również Pusan, Guan dong, Inczhon.



Wygnanie z Rosji to czas mojej największej internetowej aktywności. W Japonii i w Korei przesiadywałem całymi nocami w kafejkach internetowych, umieszczając swoje protesty gdzie się da. Powiem od razu, że pewien rezonans był.

Human Rights International zamieściło zdjęcie ks. biskupa Mazura z krótką notatką o prześladowaniach w Rosji, ale to wszystko, na co było ich stać. Napisałem kiedyś, że powinni mi zapłacić za to co robię, bo mają fundusze, a lenią się. Pisałem na wszelkie możliwe „sajty” rosyjskich gazet i doczekałem się wielkiego honoru, że mój protest w całości wydrukowała centralna gazeta „Izwiestia”. To ten sam artykuł, który po polsku opublikowano w „Niedzieli” pt. „Pogrom katolickich diecezji”. Wieszalem swój protest na stroniczkach prawosławnych i baptystów. Nawet zadzwonił do mnie pewien rosyjski pastor ze Sztokholmu i obiecał zrobić wywiad.

Nie zrobił. Zrobiło natomiast „Radio Maryja” w Rozmowach Niedokończonych. I dokładnie to samo stało się w hiszpańskim „Radio Maryja” – online, bez tłumacza, bo troszkę się nauczyłem gadać przez lata pobytu w Rosji i współpracy z hiszpańskimi wolontariuszami.

Taki to był płodny czas, ten czas wydalenia.

Sporo straciłem pieniędzy na te kafejki. W Japonii jedna godzina to 395 jenów, czyli prawie 4 dolary a ja siedziałem po 5 godzin na dzień czyli w noc, bo wtedy mniejszy ruch i nie ma kolejek. Mało jest tych kafejek, bo każdy Japończyk ma internet w domu. W Korei na odwrót; kafejki są tanie – po 1000 won czyli jeden dolar za godzinę. Tam bez skrupułów siedziałem po 8-10 godzin, a w dzień odsypiałem...

Chciałem pomóc wielkiej Rosji – ja, malutki Dawidek krzychałem, że nie wolno krzywdzić maluczkich. W tym bardzo mi pomagał „diabelski internet”.



W lipcu przez 5 dni mieszkałem w Ansanie. Słowo „an” oznacza pokój. Gdy tam byłem u siostr Matki Teresy, a potem u parafian z Sachalinu, rzeczywiście jakiś dziwny pokój mnie przeniknął. Podjąłem postanowienie, by przez cały miesiąc pobytu w Korei nic nie jeść. Piłem wielkie ilości soku pomarańczowego i napoju ryżowego, czasami też płyn sojowy i bananowy. To mnie trzymało na nogach. Przez pierwsze 10 dni była wyśmienita pogoda, potem zaczęły się ulewy. Dobry to był czas dla modlitwy, dla wędrówek bez celu po nieznanym uliczkach. Byłem niesamowicie samotny, choć co chwila, w ten lub inny sposób, spotykałem bliskich mi ludzi.

W Ansanie zaraz na drugi dzień wziąłem udział w pogrzebie staruszki Bernadety, która od kilku lat zamieszkiwała w Korei, ale była naszą parafianką na Sachalinie. Ceremonia zajęła cały dzień, bo po mszy pojechalśmy dwoma autobusami na kremację do odległego o 40 km miasta. Tam był prowizoryczny posiłek na placu obok krematorium. Potem kolejne 40 km na cmentarz, który przypominał trochę muzeum. Najbiedniejsi deponowali porcelanowe garnki na półkach w przestronnym, dobrze oświetlonym budynku u podnóża góry. Mam wrażenie, że wszystkie koreańskie cmentarze są sytuowane w takiej scenerii.



Na wyspie Tok Czok Do spędziłem jakieś trzy dni. Wielką gościnność okazali mi Pio Suh i jego żona Krystyna. Byli oni wolontariuszami ojca Benedykta Zwebera, mojego proboszcza na Sachalinie. Jego pierwsza parafia, szpital i sierociniec dla uciekinierów z Korei Północnej znajdowały się właśnie na tej wyspie. Obrazek dla mnie trochę smutny: stary sierociniec jest dzisiaj wyludniony, a duży, niegdyś

pękający w szwach kościół świeci pustkami. Na niedzielnej mszy świętej zastałem podobny stan, jak w parafii Asada-Kawasaki – maksimum 40. parafian. Ludzie życzliwi i zadowoleni, bo po wielu latach nieobecności kapłana, rok przed moją wizytą, skierowano na Tok Czok Do stałego proboszcza i ten starał się, jak mógł odnowić sukcesy misyjne o. Benedykta. Tam, na Tok Czok Do zrozumiałem, że jeśli w mojej pierwszej rosyjskiej parafii w Rostowie, Batajsku, Azowie czy w Leningradzkiej ludzie słabo chodzą do kościoła, nie jest to jakaś misyjną tragedią, ale naturalnym stanem rzeczy. Po latach entuzjazmu musi nadejść czas szarej codzienności. Może się tak zdarzyć jak w Inczhonie, że owszem, w kościele wisi portret budowniczego, ale najmłodszy kapłan, gdy go pytałem o ks. Benedykta, tylko przeproszał, że jest nowy i nic o nim nie wie...



Po odwiedzinach w Tok Czok Do, a tuż przed opuszczeniem Korei zdarzyło mi się zjechać na 3 dni do Naju. Zachęcał mnie do tego ksiądz misjonarz z Maryknoll, Amerykanin czeskiego pochodzenia o nazwisku Słaby.

Pobyt w miejscu domniemanych objawień eucharystycznych i maryjnych zrobił na mnie wrażenie. Koreański episkopat ostatnio jest bardzo sceptyczny, ale ksiądz z Europy – pełni entuzjazmu. Niemało tu Australijczyków i Filipińczyków, nawet unicki biskup z Kanady bywał w Nadju wielokrotnie.

Miasteczko nie jest wielkie. Leży 40 km na północ od wojewódzkiego miasta Guangju. Dom wizjonerki Julii Kim znajduje się jakieś pół godziny wędrowki pieszo od dworca autobusowego. Każdy taksówkarz wie, gdzie jest to miejsce. Drzwi domostwa całą dobę są otwarte. W kaplicy, która powstała przez usunięcie ścianek działowych starego drewnianego domu Julii, ustawiono kamerę, która filmuje całodobowo to, co dzieje się w środku. Ja mieszkałem w przybudówce, miałem małe pokoiki z łazienką. Mszę sprawowałem u siebie w pokoju. Julia Kim zastosowała się do restrykcji i choć jej podopieczni przyjęli mnie bardzo gościnnie, to sama wizjonerka do mnie na rozmowę nie przysłała i kontaktowałem się z nią zaocznie poprzez tłumaczkę, siostrę Vivian. Powiedziałem, jakie mam odczucia i natchnienia. Było ich moc, jakby w przedłużeniu natchnień z Nagasaki...

Przekonałem się w czasie tych 3 dni, że Julia Kim wszelkie rozporządzenia biskupa, jakkolwiek surowe, stosuje w życiu codziennym: nie pojawia się publicznie, nie organizuje nabożeństw, nie propaguje pielgrzymek i nie zachęca księży-gości do sprawowania mszy świętej. Podejście jak najbardziej lojalne. Mimo to



każdego dnia widziałem indywidualne grupy z różańcami w rękach. Widziałem też na twarzy cudownej figurki pot z pachnącego oleju i czułem wielką zachętę wewnętrzną do modlitwy, wręcz do pozostania tu na dłużej. Były to dla mnie swego rodzaju rekolekcje.

Do Naju dotarłem 18 sierpnia 2002, a więc w dzień, kiedy Jan Paweł II, żegnając się z Ojczyzną, powierzał Polskę i Świat Bożemu Miłosierdziu...

Niebo miało krwisty kolor, a gdy odjeżdżałem, siąpił drobny kapuśniaczek. Czułem, że to mój dom i jeszcze tu powrócę. W tym miejscu dużo i dobitnie występowało się przeciwko grzechowi aborcji, mówiło o potrzebie rozszerzenia i odnowienia kultu Eucharystii oraz o pięknie sakramentu kapłaństwa. Nie wiem, co w tych kwestiach można zarzucić Julii Kim. Nawet gdyby nie miała żadnych widzeń i po prostu zachęcała ludzi do modlitwy za kapłanów, jak to czyni, to już warto było się z nią zapoznać. Wyjechałem stamtąd bardzo podniesiony na duchu.



W sposób namacalny poznałem fenomen koreańskiego katolicyzmu. Widziałem mogiłę męczenników koreańskich w Seulu na Czol Tu San i odwiedziłem wioskę Usan, gdzie pochowany jest św. Andrzej Kim de Gon, pierwszy koreański kapłan. Byłem również w górach w sanktuarium Różańca Świętego, a także na miejscu pochówku YiBiok i czterech towarzyszy, pierwszych koreańskich katolików, którzy przyjęli wiarę w 1784 roku, a potem ją skutecznie przez kilka lat głosili. Robili to głównie poprzez dyskusje w buddyjskich klasztorach i szkołach. Zdarzało się, że cały klasztor lub konfucjańska szkoła przechodziły na katolicyzm. Tak się stało między innymi na wzgórzu Mion-Dong w Seulu, gdzie obecnie jest kościół katedralny. Jak widać, misjami w Korei zajmowali się od początku ludzie świeccy i mieli w tym duże sukcesy. I tak, chwała Panu, jest do dziś!



Przy próbie powrotu z Japonii Rosjanie wzięli mnie w Chabarowsku pod eskortę i tym samym rejsem do Niigaty deportowali z powrotem do „krajów kwitnącej wiśni”.

W Osace mieszkałem w dniach 19-21 października 2002 roku. Zaledwie 3 dni, ale jakie ważne.

Osaka to miejsce, w którym poczułem, jak mama odchodzi, ale jeszcze nic o tym nie wiedziałem. Pożegnanie z Japonią odbywało się w atmosferze strachu związanego ze śmiercią. Bałem się, że będę musiał dyżurować w szpitalu przy łóżku mamy, która jest w komie. Taka perspektywa powodowała u mnie panikę. Mieszkałem na przedmieściach w posesji księży pallotynów. Siostra Bridge McKenna i o. Kevin bardzo się zaangażowali w mój problem i zachęcili wszystkich 50. kapłanów, by położyli ręce na moją głowę i wsparli w modlitwie. Siostra Bridge powiedziała, bym nie miał złudzeń; najprawdopodobniej jadę do mamy nie po to, by jej wypraszać cud uzdrowienia, ale umocnić ją w chwili śmierci. Każde życie musi się kiedyś skończyć. Dała mi dwa medaliki Niepokalanej. Jeden z nich po dwu dniach trafił do trumny, bo mama zmarła właśnie w momencie, gdy oni mi nakładali ręce na głowę. W Japonii była godzina 16. w Polsce 9. z rana 21 października. Parę godzin wcześniej poszedłem pożegnać się z miastem i odnalazłem ogromne buddyjskie sanktuarium połączone z cmentarzyskiem. Gdy dotarłem na wzgórze, była 15. Odmówiłem tam koronkę, z mieszanymi uczuciami. Chyba już miałem serdecznie dość tej włóczędzy, wygnania, niepewności i pogardy, jakiej doświadczyłem w Rosji.

Gdy doleciałem do Polski, był już 22 października wieczorem i dopiero na Dworcu Centralnym dowiedziałem się o jej śmierci. Czułem się tak wymęczony zdarzeniami i podróżą, że moja reakcja na wieści była nieadekwatna. Pragnąłem jak najszybciej dotrzeć do Chojnic na ceremonie pogrzebowe i pobycć wśród bliskich. Nasze relacje z rodzeństwem nie były proste, ale pogrzeb nas jakoś scementował i doznałem prawdziwej ulgi, kiedy ich zobaczyłem. A w obliczu spotkania z mamą opanował mnie niesamowity spokój. Jej twarz została wypudrowana, ciało wymyte i pachnące, tylko buty za małe i nasunięte na końce palców. Można by rzec: szła na ten drugi brzeg bosy.

Ogarnęło mnie morze emocji i wspomnień. 10 lat wcześniej byłem na pogrzebie w Kurkocinie i już wtedy zadawałem sobie i krewnym pytanie: kto będzie następny w kolejce. Czy mogłem pomyśleć, że odpowiedź dotknie mnie tak osobiście? Owszem, dotknęło dużo mocniej, niż mógłbym przewidzieć.

Spotkanie z Polską po niemal dwu latach było trudnym przeżyciem, ale mimo to był we mnie jakiś czas optymizm. Załamałem się dopiero w listopadzie, gdy mnie posłano do Czarnej Białostockiej jako rezydenta do pomocy duszpasterskiej w dużej parafii, która właśnie miała być dzielona na dwie mniejsze.

## Czarna Białostocka

Po wydaleniu z Rosji w 2002 roku przeżyłem dwie tragedie, jakich nie mogłem się spodziewać. To była śmierć mamy, a kilka miesięcy później – śmierć ojca. Oboje chorowali, ale nikt nie przypuszczał, że wydarzenia potoczą się w sposób lawinowy.

Czas spędzony w Czarnej Białostockiej to była swego rodzaju kontemplacja śmierci i wchodzenie w prawdziwą dorosłość. W tym okresie jedynym sposobem na przetrwanie były dobrowolne katechezy misyjne, które głosiłem po całej diecezji białostockiej. Mam nadzieję, że jakiś misyjny niepokój posiałem w sercach wielu dzieciątek.



„Metanoja” to moja przystań na 7 miesięcy po wygnaniu z Rosji. W Czarnej Białostockiej byłem kapelanem w ośrodku rehabilitacji dla młodocianych narkomanów. Rehabilitacja szła wedle programu Monaru, ale ze specyfiką katolicką, bo była pod opieką Caritas. Praca z tymi zagubionymi dzieciakami bardzo mi przypadła do gustu. Starłem się być dla nich jak ks. Szpak. Miałem kolejną okazję, by odwzajemnić swoje ocalenie.



U początków swojej misyjnej przygody św. Jan Bosko uwolnił z twardej dłoni zakrystianina ucho urwisa, który szwendał się po kościele z niezbyt pobożnym zamiarem. Być może chciał „coś świsnąć” i na tym przyłapał go uważny kościelny. Trzymał go nie na żarty, pewnie ze złością komentując: „takich to trzeba karać, bo nic w życiu nie potrafią”. Jan Bosko zapytał chłopca: „czy rzeczywiście nic nie potrafisz robić w życiu?” – mały urwis bez namysłu odpowiedział: „potrafię gwizdać”. „No to zagwizdź” – poprosił Jan Bosko. Chłopiec zagwizdał z całego serca i zakrystianin nie miał żadnych argumentów, gdy udobruchany don Bosko stwierdził: „a jednak coś potrafi”. I tak zaczął zdobywać dla Pana Boga najbardziej niezwykłych misjonarzy świata – „świętych urwisów”, których znamy dziś jako zakon salezjański.



Gdy latem 2003 roku szedłem pieszo w pielgrzymce Białystok – Różanystok do salezjańskiego sanktuarium pod Dąbrową Białostocką na polsko-białoruskiej granicy, by odebrać krzyż misyjny i udać się z nim na Ukrainę, poproszono mnie o wygłoszenie misyjnego kazania. To było na ostatnim noclegu w małej wiosce Majewo, gdzie czczona jest kopia Ikony Jasnogórskiej. Tego miłego wieczoru wygłosiłem właśnie to, o czym napisałem dziś. Tytuł mego kazania wziąłem od proboszcza, który jako hasło kazania dedykowanego młodemu odpowiedział mi słowa: „nie przegwizdajcie życia”. Na pielgrzymce byli głównie młodzi gimnazjaliści i licealiści, którzy w przeddzień pielgrzymki kończą zajęcia w szkole. Prosiłem – jeśli cokolwiek umieją w życiu – choćby umieli tylko gwizdać, by gwizdali na chwałę Pana. Na tamtym kazaniu były owacje. Mimo, że nie mam kaznodziejskich talentów, to treść widać była tego warta. Skoro tak, to mam nadzieję, że moje słowa przydały się wtedy niektórym. Dziś je powtarzam, aby się przydały jeszcze innym młodym w Polsce i nie tylko.

# Ukraina

Abp Ziemia widział moje rozterki i zgodził się na mój powrót na misje. Najpierw to miał być Kazachstan, ale gdy nie dano mi wizy, pojawiło się zaproszenie na Ukrainę.



W czasach sowieckich na terenie różnych republik Pan Bóg zachował kilku charyzmatycznych kapłanów, którzy wychowali sobie następców. Jeden z charyzmatyków, który pracował na Ukrainie i w okolicach Żytomierza, potrafił pociągnąć do kapłaństwa w bernardyńskim zakonie kilkunastu chłopaków. Dwóch spośród nich zostało na Ukrainie biskupami. Ta postawa spowodowała powstanie całej prowincji zakonnej na Ukrainie liczącej dziś blisko setkę bernardynów.

Jeden siewca a tak obficie siał...



Do Rostowa, Taganrogu, do Batajska oraz do innych moich byłych rosyjskich parafii miałem z Ukrainy bardzo blisko. Tylko na wyciągnięcie dłoni. Ja sam nie mogłem tam pojechać, bo mnie ogłoszono *persona non grata*, tymczasem oni wpadali od czasu do czasu do mnie.

W 2004 roku, kiedy na Ukrainie trwała „pomarańczowa rewolucja” cały mikrobus parafian z Taganrogu przyjechał do mnie do Makiejewki. Spędziliśmy ze sobą cały dzień. Odprawiłem dla nich mszę świętą, zjedliśmy razem obiad, kolację i wyspowiadałem ich wszystkich. Mój następca z Taganrogu ks. Raul, Argentyńczyk przekazał mi największy rosyjski banknot – 1000 rubli. Dzięki tej ofercie mogłem zorganizować wspaniałą wigilię dla parafian.

## Dzieci ze strychów i piwnic

W Makiejewce posługę dla bezdomnych podjął w 1999 roku, w trakcie swego rocznego pobytu na parafii, ks. Ryszard Karapuda. Podobno odwiedzał bezdomne dzieci, które z różnych przyczyn porzuciły rodziców albo domy dziecka

i osiedliły się na strychach, w piwnicach, a nawet w studzienkach prowadzących do rur ciepłowniczych.

Od pani Mili, która była wtedy gosposią, dowiedziałem się, że dzieci przed jedzeniem kąpały się na plebanii i jadły za stołem u proboszcza. Po latach jeden z nich przyznał się mi, że nie warto było tak im ufać, bo ukradli z plebanii telewizor.

W sąsiedniej parafii w Gorłówcze ks. Ryszard pozwolił zimą zamieszkać na plebanii grupie bezdomnych, ale ci zniszczyli mu kuchnię, między innymi system ogrzewania wody i doprowadzili do wybuchu. Mogło się skończyć pożarem, ale Bogu dzięki kaplica stoi cała do dziś.

Ludzie w Makiejewce przywykli na tyle do posługi ks. Ryszarda, że po czterech latach niektóre dzieci nadal nazywały mnie jego imieniem.



Trzy dziewczęta w wieku około 14 lat, które przychodziły najczęściej, to były dwa rudzielce i Oksana. Czasami wpuszczałem je do kuchni albo posyłałem po drobne zakupy. Kiedy się zorientowałem, że są toksykomankami i że wążają klej, zabierałem im kostkę kleju zawiniętego w celofan i wyrzucałem do toalety na podwórku. Mam wrażenie, że to ochłodziło nasze relacje. Dziewczyny zaczęły przychodzić coraz rzadziej, a na ich miejsce pojawiali się chłopczy.

Najczęstszym gościem był Kostia, który miał około 16 lat. Rudy, piegowaty, rodem z sąsiedniego Kirowska. Był wysuszony a także bardzo powolny. Miał włosy mocno posklejane i zlepione w strąki. Czasami golił się na лыso. Pewnego razu poprosił mnie, bym go ostrzygł. Zrobiłem to w ogródku bez entuzjazmu, on jednak wyglądał na zadowolonego, choć fryzura nie była zbyt piękna. Jego kole-dzy opowiadali mi niezwykle historie o tym, jak uciekał z milicji, albo jak go bili starsi, czy nawet jak uderzył go samochód, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Kostia wychodził obronną ręką z tych wszystkich opresji, aż wreszcie, gdy osiągnął pełnoletniość, trafił do więzienia za okradzenie jakiegoś kiosku.



Wśród gości pojawiał się piegowaty blondyn z jedną z dwu rudych dziewczyn i mocno drapał się po plecach. Nie podobało mi się jego zachowanie. Za jakiś czas ja też się mocno drapałem. Historia ze świerzbem ciągnęła się kilka miesięcy i była dla mnie nauczką, by jednak zachowywać większy dystans.



W 2007 roku w moją posługę włączyli się parafianie protestanci z ruchu charyzmatycznego. Jednym z nich był były narkoman Jura. Wiele mi opowiadał o środowisku moich podopiecznych. Na ciele jednego ze starszych „klientów” były otwarte niegojące się rany. Jura twierdził, że to zaawansowane stadium nieleczzonego świerzbu. Byłem tym zdruzgotany. Powiedział mi spokojnie, że ten człowiek wkrótce umrze od gangreny i wygląda na to, że tak się stało, bo za jakiś czas przestał się pojawiać.

Dzieci zimą często prosiły mnie o bandażę i skarpetki. Bandaże były im potrzebne do opatrywania ran, które powstały od oparzeń w czasie snu. Opierając nogi o gorące rury w podziemiach, parzyły je sobie do żywego mięsa. Musiały być w stanie silnego odurzenia toksycznego, skoro nie odczuwały bólu we śnie.



Zabierałem te „moje” dzieciaki na różne wycieczki, najczęściej do kościołów w Gorłówce, Artiomowsku, Jenakiewo czy do Torezu.

W czasie przejażdżki do Gorłówki prosiłem ich, by mi pomogli pomalować płot. Oprócz płotu parafialnego pomalowali na zielono psa boksera a także dwa psy sąsiadów.

W czasie, gdy odprawiałem w Jenakiewo mszę św. zaproponowałem im, aby pochodzili sobie po mieście, bo nigdy nie przejawiali objawów pobożności. Gdy skończyłem odprawiać, zastałem ich śpiących na schodach kościoła. Gdy zapytałem, czemu nie poszli na wycieczkę, odpowiedzieli, że mogła ich złowić policja, więc woleli siedzieć na miejscu.

Na wycieczce do Artiomowska Oksana z wysokim Iwanem opowiedzieli mi o tym, jak to niedawno ich koledzy w zamieszkiwanej przez nich piwnicy zmuszali „młodego”, by wziął na siebie winę za włamanie. Dwaj starsi byli pełnoletni i groziła im odsiadka. Młody mógł uniknąć kary, bo był niepełnoletni. Milicjanci, którzy znali ich kryjówkę dali im czas do namysłu i zachęcali do takiego scenariusza, bo im też zależało, by jakoś przed swoimi przełożonymi przedstawić raport o przebiegu sprawy. Młody się opierał i starsi uderzyli go cegłą w głowę, a gdy im się zdało, że zmarł, dla pewności, że się nie zbudzi, poderżnęli mu gardło. Nie wiem, jak mi starczyło cierpliwości słuchać tego wszystkiego spokojnie. Miałem ręce zajęte

kierownicą, tym niemniej nie przestawałem się dziwić, jak dla moich rozmówców taka historia mogła się wydać tak bardzo zwyczajnym zdarzeniem.

Za jakiś czas dowiedziałem się, że moja znajoma Oksana z wycieczki do Artiomowska, osiągnąwszy pełnoletniość, też trafiła do więzienia za kradzież, paserstwo i ojcobójstwo.



Do Torezu zabrałem czworo maluchów. Zapytali się kiedyś, czy by nie mogli u mnie „pracować”. Pomyślałem, że mam okazję zrobić salezjański gest. Obiecałem, że zapłacę im po hrywnie, jeśli mi pomogą odprawiać mszę św. Zabrałem dla nich komże i postanowiłem ich nauczyć ministrantury. Zachowywali się fatalnie. Śmiali się, przepychali i często wychodzili na podwórko. Parafianie prosili, bym więcej tego nie robił, bo nasze parafialne dzieci mogą się od nich zarazić. W powietrzu rzeczywiście wisiał mocny zapach kleju i nie tylko.



W Dnieprodzierżyńsku od lat odbywają się rekolekcje dla parafialnych liderów bez ograniczeń wiekowych. Ze wszystkich 4 parafii postanowiłem nabierać 18. chętnych, by wypełnić wszystkie miejsca w busie, który mi za pieniądze wypożyczył mój sąsiad. Mimo wielu zachęt i minimalnej opłaty za przejazd, nabierało się ledwie 14 chętnych osób i na wolne miejsca zaproponowałem 4 moich chuliganów. W grupie była Oksana, Maksym-malarz, który pomalował psy i dwaj mniej znani mi chłopcy, którzy podobno w drodze i na zajęciach zachowywali się fatalnie. Palili papierosy i pili piwo. Jeden z nich otwarcie głosił, że nie ma Boga.

Ten sam chłopiec za jakiś czas w mojej obecności opluł parafialny krzyż. Ciernista to zaprawdę droga. Dodam, że dla całej czwórki wydałem na podróż nowe ubrania, w tym dwie pary moich butów, bo skarżyli się, że nie mają w czym jechać. Historia z ubraniami powtarzała się przez wszystkie lata mojej posługi. Owszem, parafianie sporo rzeczy przekazują na ten cel, ale często zdarza się, że trzeba oddawać i własne.

Z opowieści parafian i organizatorów kursów dowiedziałem się, że pomysł nie był najgorszy i że dla wszystkich obecnych przyjazd bezdomnych był silnym natchnieniem do modlitwy. Podobno wielkie wrażenie zrobiła Oksana, która na



wszystkich modlitewnych zebraniach płakała jak bóbr. Podobnie zachowywał się Maksym. Pozostali dwaj parę dni po powrocie trafili do więzienia za kradzież i rozbój.



Ewangelizacja tych dzieci nie jest prosta. Czasami w wakacje urządzałem im ogniska, zwłaszcza jeśli byli goście z Polski, klerycy. Oni potrafili stworzyć atmosferę. Próbowalem też zapraszać dzieciaki na odpusty św. Józefa. Siedzieli zwykle na progu i po kilku minutach modlitwy smacznie spali. Wymagałem też od nich, by odmawiali „Ojcze nasz” przed jedzeniem. Nauczyłem ich też chrześcijańskiego powitania. Od tej pory przychodząc do mnie krzyczeli głośno: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. W 2005 roku z grupą kleryków z neokatechumenatu przyjechał do mnie sparaliżowany pasjonista ks. Andrzej. Był trochę zewnątrznie do mnie podobny. Przesiadywał przed domem z Biblią i czytał urwisom fragmenty.

Któręś raz przyszedł zaspany Kostia i długo nie mógł pojąć, co jest grane, wreszcie ze smutkiem zapytał: „Ks. Jarosław, co się z wami stało?”



Pewnego razu w podwórku rozegrała się bójka. Kilkoro dzieciaków, „wąchaczy” zaczęło rzucać kamieniami w dwu starszych alkoholików. Jeden z chłopców nawet znalazł długą pałkę i bił nieszczęśnika po głowie. Nikogo z nich nie nakarmiłem w ten dzień...

## Alleluja

Gdy się zaliłem pewnej kobiecie z Doniecka, że mam mało parafian w Makiejewce, ona powiedziała mi dość ważną dla mnie rzecz: „Ze wszystkich misyjnych spraw jakie ksiądz podejmuje w parafii, najważniejsza jest pewnie ta właśnie, że ksiądz karmi głodnych i ubiera oberwańców”.

Za jakiś czas odwiedził mnie ks. Franz ze Szwabii. Podarował dla Doniecka organy i poprosił, by mu pokazano okoliczne parafie. Był wzruszony i długo wypytywał się, skąd na jedzenie biorę pieniądze. Odpowiedziałem mu ze wstydem, że największy obwód w Ukrainie, obwód doniecki, mimo że ma wielu

miliarderów, słynie też z biedoty, ale niestety w tym obwodzie w całym wielkim dekanacie rzymsko-katolickim nie ma żadnego punktu Caritas.

Owszem, jest parafia Matki Teresy Kalkuckiej w Jenakiewo, ale na moje liczne listy poparte przez władze diecezjalne, jak dotąd nie ma odpowiedzi z Kalkuty, a ja karmię dzieci z niewielkiej tacy, a także z tych drobnych upominków, jakie mi w niedziele przynoszą parafianie. Ubrania najczęściej przynoszą pogrążone w żałobie rodziny, którym podpowiadam, że rzeczy zmarłego najlepiej byłoby oddać biednym i proponuję, że sam je im przekażę.



Jeden ze starszych mężczyzn, którzy prosili o wsparcie w parafii trafił na nabożeństwo Wielkiego Piątku. W czasie adoracji podszedł i długo całował krzyż. Był wieczór, ale obiecałem, że go nakarmię po liturgii. Gdy nalewałem mu supkę, zniknął mój telefon komórkowy i zniknął też „pobożny” człowiek. Za trzy dni na metalowych wrotach plebanii gwoździem była wyryta prośba: „Ks. Jarosław, przyjdź zabrać swój telefon”. Mam wrażenie, że inni bezdomni, którym jakiś czas przestałem wydawać posiłki, dowiedziawszy się o kradzieży „zachęcili” złodzieja do skrucy. Napis na wrotach widnieje do dziś.



Młoda mama, alkoholiczka przychodzi od dwu lat z dzieckiem, zezowatym Igorem. Któregoś razu zawitała na niedzielną mszę św. Maluch łaził po kapliczce, a najbardziej spodobało mu się prezbiterium. Żeby powstrzymać jego nadaktywność, w czasie kazania wziąłem go na ręce. Mama wyglądała na wniebowziętą, a małemu bardzo spodobał się kołnierz białego ornatu. Nie od razu się zorientowałem, jakiego koloru były paluszki malucha. Ornat nadawał się do prania – kołnierz był czarny jak noc.

Innym razem na mszy św. miała miejsce sytuacja odwrotna. Chłopiec był spokojny, a mama szalała. Nie dawała spokojnie wypowiadać słów konsekracji. Nie wiedząc co począć, zaszedłem do zakrystii i wydobyłem trzylitrowy słoik z wodą. Drżącymi rękoma powolutku wylałem całą zawartość słoika na wściekłą parafiankę. Rezultat był nieoczekiwany. Kobieta podniosła dłonie ku niebu i zaczęła wołać: „Alleluja, spasio Hosposdi, Alleluja!”. Wyglądała jak nawrócony

człowiek. Wypadek miał miejsce niedawno, więc nie wiem, jaki ostatecznie to zdarzenie wywoła skutek.



Opowiadałem na niedzielnym nabożeństwie o zdarzeniach fatimskich i o pewnym biznesmenie, który 13 maja w 13. wagonie na 13. miejscu, na które biletu nikt nie chciał kupować, mimo że chętnych na ten pociąg było wielu, udał się do klasztoru pod Tarnopolem i tam na zawsze pozostał zakonikiem.

To autentyczna historia a dowiedziałem się o niej niedawno od kolegi grekokatolika. W trakcie tej opowieści weszła do kaplicy para narkomanów z dziećmi. Po mszy św. kobieta opowiedziała, że w jej życiu cyfra 13 także coś znaczy. Potem dodała, że ma trójkę nieochrzczonych dzieci i że pod wpływem mojego kazania prosi, bym ich w naszej kaplicy ochrzcił. Sprawa nie zaszła dalej niż słowa, tym niemniej niefortunni rodzice często przychodzą u nas pojeść.



Pewnego razu parafianka wzięła do prania moje rzeczy osobiste: dwie pary spodni, podkoszulki i koszule. Kiedy przyniosła wieczorem czyste rzeczy i nie zastała mnie, powiesiła je w celofanowej reklamówce na furtce od wewnętrznej strony podwórka. Sąsiad zauważył, że ktoś z moich bezdomnych przeskoczył przez płot, zabrał reklamówkę, otworzył furtkę od środka i poszedł sobie, jakby nigdy nic. Od tej pory domówiliśmy się z sąsiadem, że ja mu odstąpię tę część podwórka, przez którą można było skakać bez trudu. Od tej pory lewa część naszej posesji była ochraniana przez moskiewskiego owczarka, który samym wyglądem odstraszy każdego, kto stanie mu na drodze.

Mnie nie żal tych spodni, bo jak raz w tym czasie przyszła przesyłka od prałata Peszkowskiego, którego osobiste rzeczy i sutanna leżały na mnie jak ulał. Bałem się raczej o kaplicę, bo innego razu, udało się moim chuliganom przeniknąć do wnętrza domu i widać było, że grzebali łapami koło tabernakulum. Zadowolili się jednak zapalniczką, którą zapalałem świece i tradycyjnie przeszukali lodówkę. Nietrudno się domyśleć, że w domu buszowały głodne dzieci.

W czasie mszy św. furtka na podwórko kościelne jest otwarta i każdy, kto pragnie się pomodlić wchodzi bez przeszkód. Któregoś razu zajrzał do środka pewien bezdomny i za chwilę zniknął. Skończyłem kazanie i wiedziony intuicją wyszedłem

na podwórka. Biedny człowiek zdążył już wynieść za teren kościelny wypożyczony z przedszkola 20 kilogramowy łom z żelaza, żeby go potem sprzedać na wódkę.



Innym razem po pielgrzymce mariupolskiej miałem na tyle zdarte podeszwy, że trzeba było się zgłosić do chirurga. Parę dni nie wstawałem z łóżka. To się bardzo nie spodobało bezdomnym. Widocznie parafianie po mszy św. nie zamknęli furtki od podwórka, bo leżąc spokojnie na tapczanie usłyszałem szelest w okolicach lodówki. Zanim zdążyłem dotrzeć do „miejsca zbrodni”, lodówka była pusta. Mówiąc szczerze, tam nigdy nie było zbyt wiele produktów. Tylko to co niezbędne, by przygotować siedmiolitrowy garnek zupy. Okradli samych siebie. Ja wydłużyłem sobie odpoczynek i do końca tygodnia nie wydawałem zupy nikomu, natomiast wszystkim gościom opowiadałem historie o kradzieży. Taki sobie kurs ostrzegawczy.

Pewna alkoholiczka zdążyła w trakcie oczekiwania na kubek z zupą zrobić z podwórka kościelnego toaletę. Zabroniłem jej od tej pory odwiedzin.

Innym razem ktoś ze starszych bezdomnych, otrzymawszy porcję i zasiadłszy na parafialnej ławeczce, wyciągnął flaszkę z wódką i zaczął częstować kolegów. Rozegnałem ich wszystkich i zabroniłem odwiedzin w stanie nietrzeźwym. Doszło do tego, że od tej pory podejrzanych kontroluję prostym sposobem: „chuchnij” – powiadam i jeśli gość ciągnie powietrze wewnątrz płuc, zaraz poznaję, że jest nietrzeźwy.



Czasami zabieram bezdomnych na akcje ulotkowania. Najlepiej to wychodzi małej Juli z mężem. Jej chłopak ma ze 20 lat, ona 16 i dwoje dzieci. Malutka, z wyglądu sama jak dziecko, tym niemniej...



Zimą przychodziła do mnie para nieszczęśników, którym wydawałem odzież i jedzenie. Proponowali, że będą czyścić podwórko ze śniegu. Szło im to kiepsko, jeden z nich mocno kulał. Na imię miał Oleg. Pod koniec zimy jego kolega przyszedł i poprosił, bym się za Olega pomodlił, bo zamarł w piwnicy. Pewna

parafianka opowiedziała mi, że to człowiek z dobrej i dostatniej rodziny, która się go wyrzekła, gdy zaczął pić. Miał pewnie 40 lat, a może mniej?

## Mariupol – „ukraińska Częstochowa”

Gdy jechałem na Ukrainę, modliłem się o wstawiennictwo mojej mamy, która zmarła całkiem niedawno, w chwili, gdy wydano mnie z Rosji. Słyszałem w mieście Nagasaki na historycznym wzgórzu Oura obok figurki Niepokalanej jej głos: „Synku nie martw się, wszystko będzie dobrze”. I było. Nigdzie tak wiele nie dane mi było dokonać, jak przez pięć lat pobytu na Ukrainie. Tam niestety zachorowałem obłożnie i zacząłem się modlić o uzdrowienie i przeniesienie.

Wiem, że w trakcie choroby modliły się za mnie siostry w Białymstoku na ulicy Poleskiej, gdzie mieszkał ksiądz Michał Sopoćko. Jego wstawiennictwo mnie uzdrowiło i w ostatecznym efekcie przywiodło do Uzbekistanu.

Miałem jednak na Ukrainie coś ważnego do zrobienia. Od dawna była planowana piesza pielgrzymka z Doniecka do Mariupola, ale nie było komu się za to zabrać. Mimo słabego zdrowia miałem silne intencje: wszystkie niedokończone sprawy, zwłaszcza przyszłość parafii w Makiejewce, los moich bezdomnych narkomanów... Bałem się, że nikt o nich nie będzie się troszczył pod moją nieobecność. Poleciałem tę sprawę pośrednictwu MB Częstochowskiej. Dwa razy szedłem do Mariupola pieszo z taką intencją.



Na wschodnich rubieżach Ukrainy pracują paulini z Częstochowy i wznoszą sanktuarium. To półmilionowe miasto hutnicze stało się od 5 lat miejscem pielgrzymkowym, a znajdująca się tu kopia MB Częstochowskiej przewędrowała cały lewy brzeg Ukrainy w pielgrzymce podobnej do tej, jaką miała kopia w Polsce. Piesze pielgrzymki 21-26 sierpnia z Doniecka do Mariupola są bardzo kameralne, chodzi się po upalnych stepach i można spać pod gołym niebem, wystarczy karimata – taki klimat. Na zakończenie atrakcja: kąpiel w najpłytszym morzu świata, czyli w Morzu Azowskim.

W związku z mistrzostwami Europy, od niedawna latają do Doniecka samoloty z Polski, więc na tę pielgrzymkę można trafić jeszcze łatwiej, niż na bolszowiecką i wesprzeć tamtejszych misjonarzy, bo naprawdę nie jest im lekko.

To być może tutaj Matka Boża najczęściej spędza urlopy...



Pod koniec lipca 2007 paulini przywrócili po 4 latach na parafię w Mariupolu ojca Sylwana Marcina Wirkowskiego, którego pasja pielgrzymkowa i powołanie mają dawne korzenie. Wspólnie z nim prosiliśmy biskupa w Zaporozu o pisemne błogosławieństwo dla pierwszej pielgrzymki pieszej, jaka od trzech już lat była pragnieniem kustosa o. Symplicjusza i dwu kolejnych dziekanów w Doniecku – ks. Włodzimierza i ks. Ryszarda.

Ich wysiłki wydawały się bezskuteczne również i tym razem. Pracujemy w warunkach misyjnych i dla poważnych inicjatyw brakuje nam wszystkiego, zaczynając od środków materialnych, na znajomościach w sferze biurokracji kończąc. Mało też entuzjastów wśród parafian, którzy mieliby jakieś pielgrzymkowe doświadczenie i tęsknoty. Być może brakowało też tego jednego drobiazgu: papierka z kurii?! Fakt faktem, że mimo niepewności, przeszkód i obaw, sprawy przybrały całkiem realny kształt.



14.07. – Opracowaliśmy trasę zaledwie na dwa dni, szczegółowo notując kilometrą i planując każdy postój zgodnie z sugestiami dziekana. Mój plan doznał porażki. Zamiast na 24. km, pierwszy nocleg ustalono na 30. Przełknąłem tę pigułkę z trudem, czując, że nie dam rady tyle iść. Cieszyłem się jednak, że dziekan się angażuje i na serio myśli o sprawie. Drugi dzień mieliśmy iść 32 km. To mnie zmartwiło jeszcze bardziej. Niemniej byłem zadowolony, że – o dziwo – większość napotkanych osób życzliwie odniosła się do pomysłu, by przyjąć nas na nocleg.

16.07 – Pamiętne spotkanie z o. Sylwanem Marcinem w Zaporozu. W czasie uroczystej liturgii o MB Szkaplerznej biskup Padewski ogłosił, że mamy nowego koadiutora ze Lwowa bpa Buczka i że we Lwowie też będzie koadiutor, don Mitek Mokrzycki, długoletni sekretarz Jana Pawła II. Biskup Padewski miał dobry humor i tego dnia prócz kopert z intencjami podpisywał kapłanom wszelakie dokumenty, o jakie prosili. My z Marcinem prosiliśmy tylko o błogosławieństwo dla pielgrzymki i jak wspomniałem we wstępie... otrzymaliśmy je na piśmie!

7.08 – Odwiedziłem w Mariupolu o. Sylwana. Wspólnie zredagowaliśmy tekst ulotki dla starostów miast i wójtów wiosek, przez które mieliśmy wędrować – z prośbą o pomoc dla pielgrzymów.

Objechaliśmy całą trasę ponownie i wyszło nam na liczniku równo 160 km po bocznej, tzn. mniej ruchliwej trasie.

15.08 – Z terenu zaczęły nadchodzić trwożne telefony z różnych wiosek, gdzie planowaliśmy noclegi, zwłaszcza w sąsiadującym z Mariupolem rejonie Nowozowskim. Telefony odbierała przestraszona przełożona sióstr, która dopiero wróciła z Polski i o szczegółach organizacyjnych nie miała pojęcia. Wiadomości okrężną drogą dotarły do mnie.

Trzeba było pilnie przekazać kopie naszego listu do obwodowego oddziału ds. religii, bo tam niestety nikt nic nie wiedział. Poinformowane zostały tylko władze miejskie Doniecka, pion wojewódzki z braku doświadczenia ominęliśmy, licząc, że być może o to zatroszczył się dziekan. Myliliśmy się.

16-17.08. – O. Marcin udał się do kolejnej „zbuntowanej” wioski. W Krasnoarmiejskoje dyrektor podobnie jak w Szyrokino cynicznie stwierdził, że będzie malował szkołę i nie wpuści nas na „świeżo malowane”, poradził udać się do klubu, ale tam miła pani zagrała w otwarte karty i potwierdziła, że „odgórnie” zabroniono im przyjmować w budynkach publicznych katolicką pielgrzymkę. Poradziła mu udać się do sąsiedniej wioski Oktjabr, „bo tam są katolicy”. Owszem, mieszka tam wielu wysiedlonych w „Akcji Wisła” grekokatolików z ustrzyckiego rejonu, ale parafią kieruje prawosławny ksiądz Aleksander należący do Kijowskiego Patriarchatu. Przyjął o. Marcina serdecznie, bo opatrnościowo, poznali się w Mariupolu 4 lata wcześniej. Zapewnił, że przygotowuje nam nocleg na plebanii i nawet udostępni prysznic.

20.08 – Ksiądz Marcin całą noc wykonywał na komputerze „bejdżyki” dla pielgrzymów wspólnie z parafianinem Andrzejem. Zasnął o 6. nad ranem, nic dziwnego, że odległość 120 km po trasie szybkiego ruchu pokonał zaraz po przebudzeniu o 8. rano w rekordowym tempie. O 9. stał już, wraz z dziekanem, ze mną i pewnym młodym kapłanem z Dąbrowy Białostockiej, za ołtarzem donieckiej świątyni.

Msza święta była planowana na 8. ale ponieważ dziekan na Sylwana vel Marcina przerzucił obowiązek przewodnika grupy, nie mogliśmy zacząć bez niego.

Ludzie na Wschodzie są spontaniczni i tak naprawdę nikt się nie zdziwił ani specjalnie nie zgorszył, że zamiast o 9. pielgrzymka wyszła o 10.30. Niecierpliwili się jedynie milicjanci, którzy nigdy nie widzieli pielgrzymki pieszej i wypełniali rozkaz przełożonych z pewną dozą sceptycyzmu.

Pierwsze 5 km dziekan wędrował z nami i pięknie zagrzewał wszystkich do marszu, grając na gitarze i głośno śpiewając.

Chórzystki od czasu do czasu skandowały powitalny tekst: „To jest piesza pielgrzymka do Mariupola, idziemy pokłonić się Częstochowskiej ikonie, będziemy się modlić w swoich intencjach i za wszystkich napotkanych ludzi”.

Z czasem do tekstu wplatały słowa: „Nie bójcie się nas, to nie pogrzeb, to pielgrzymka”!

Z przodu kolumny jechał policyjny samochód z „migawkami”, z tyłu pięciu milicjantów, którym wyraźnie nasz pochód przypadł do gustu.

Najtrudniejszy był 17. kilometr... tutaj mieliśmy obiad. Spośród 40. śmiałków, dwie osoby wycieńczyły się na tyle, że trzeba było je odwieźć na nocleg. Tym niemniej przez kolejne dni te dwie osoby szły bardzo dzielnie. Wszyscy pielgrzymi, za wyjątkiem kleru i siostry Anny szli po raz pierwszy i powolutku zaczęli rozumieć o co chodzi.

Na noclegu w klubie nie było światła, więc włączyliśmy reflektory dwu samochodów, by świecić w pozbawione szyb okna.

Pierwszy Apel Jasnogórski wypadł bardzo romantycznie, przy pomniku 3. poległych żołnierzy i przy ognisku. Po raz pierwszy zachęciłem wszystkich, by za moim przykładem udali się do siostry na przebijanie bąbli. Niektórzy sądzili że żartuję, większość jednak skorzystała z mej rady.

21.08 – Powolutku zaczynamy poznawać się wzajemnie. Ogółem idzie 5 osób z Mariupola, jeden chłopiec z Gorłówki, jeden pan z Jenakiewo i po jednej pani z Torezu i Kurachowa. Jest jeden grekokatolik, Siergiej. Trzy osoby z Makiejewki, trzy z Artiomowska i reszta, ponad 20 osób z Doniecka. Czterech obcokrajowców (nie licząc 3 kapłanów i siostry), wspomniany Igor z Moskwy i trzech studenci z Polski. Najstarszy pan ma 75 lat i wędruje dzielnie jak chłopak.

Obiad mieliśmy w Starobieszewo w kafejce. Ufundował nam go miejscowy biznesmen, syn donieckiej parafianki, której pogrzeb miał miejsce niedawno, w dzień MB Szkaplerznej, więc pomodliliśmy się za nią. W czasie obiadu czepiali się nas agitatorzy z komunistycznej partii, aleśmy ich poprosili, by nas nie męczyli, bo i bez tego jesteśmy wyczerpani.



Cały czas piekło 40-stopniowe słońce. Lola, organistka z Artiomowska, która prawie całe życie spędziła w uzbeckim Taszkencie, nie wytrzymała gorąca i odłączyła się od nas po obiedzie, a z nią dwoje najmłodszych pielgrzymów: trzynastoletni Nazim i jego rówieśniczka Viola. Obiecali wrócić za dwa dni, ale im nie wyszło, szkoda.

Bardzo serdeczne relacje zawiązały się między nami i milicjantami. Na ostatnim postoju zarekwirowali u komiwojażerów cały worek arbuźów i poczęstowali padających od skwaru wędrowców. Każdemu pielgrzymowi dostało się po arbuźie. Na noclegu czekała jeszcze jedna niespodzianka. Miejscowy wójt zaprosił wszystkich na kolację do kafejki. Jedliśmy kaukaskie „czebureki”. Mówię: jedliśmy i przesadzam, bo tego wieczoru moje nogi „zdechły” i ostatnie 5 km z planowanych 32 jechałem w samochodzie. Stało się to, czego się bałem, oglądając trasę z dziekanem. Nienawykli do chodzenia ludzie nie wytrzymywali takich odległości na samym początku. Poddał się również wysportowany grekokatolik.

Weszliśmy na nocleg dopiero o 9. Apel Jasnogórski zaczął się o 10. wieczór.

22.08 – Obiad był w Miczurino, dawnej kolonii niemieckiej (Gruntal) w kołchozowej stołówce, która 80 lat temu była katolickim kościołem. Usługiwali nam miejscowi katolicy. Arbuzy przynieśli miejscowi Polacy, pochodzący z okolic Lwowa, a kucharki grekokatoliczki opowiedziały nam, że pół wioski pochodzi z Ustrzyk.

3 km dalej, za dawnym Gruntalem a obecnym Miczurino było piękne jezioro, gdzie zaplanowany został dłuższy postój. Tego dnia szliśmy tylko 26 km i mogliśmy pozwolić sobie i ludziom pobrodzić w wodzie po kolana. Parę nieposłusznych osób zanurzyło się po szyję. Ten odpoczynek wywołał euforię.

Spaliśmy w dawnym menonickim Ostheimie, komuniści tę niemiecką wioskę nazwali Telmanowo. Wieś duża, rejonowa. Dyrektor przyjął nas, upewniwszy się, że o wszystkim wie „władzyka Siergiej” tzn. napotkany jeszcze w lipcu prawosławny biskup.

Tego wieczoru pożegnaliśmy białostoczanina ks. Grzegorza, który miał już wykupiony bilet do Lwowa na czwartkowy ranek. Trzy dni szedł dzielnie i jemu można zawdzięczać, że nie upadaliśmy na duchu. On również sprawił, że milicjanci w pielgrzymce się... zakochali.

23.08 – Ekipa milicjantów z Doniecka na własne życzenie nie zmieniała się cały tydzień. Byli ci sami chłopcy – Siergiej i Sławik. Jeden grał nam na postojach na gitarze i fotografował się z naszymi dziewczętami, a drugi zatrzymywał

napotkanych komiwojażerów i „rekwirował” dla nas słodycze i lody. W innym kraju trzeba by to skrytykować, tutaj wszyscy traktowali to z przymrużeniem oka i widać było, że i kierowcy z uśmiechem przyjmują taką formę mandatu.

W Telemanowie mieliśmy za sobą połowę trasy – ponad 80 km. Milicjanci uczcili to szczególnie miłym gestem. Przywieźli z Doniecka cały karton gołębi pocztowych i gdyśmy żegnali się z dyrektorem szkoły, wypuścili je w powietrze. To jedna z najbardziej niezapomnianych chwil.

We wiosce Pierwomajsk pewna babcia, machając nam chustką, skromnie poprosiła „żeby był deszcz”, ja nagłośniłem przez mikrofon jej prośbę i ludzie zaczęli się modlić. Przeszliśmy zaledwie jeden kilometr i gdy wychodziliśmy ze wsi, pokropił nas upragniony deszcz.

Na postoju w Łukowie mieliśmy mszę świętą, potem były wsie Primorskoje i Ukrainskoje, a do noclegu pozostawało nam jeszcze 8 km wśród stepu po polnych drogach. Tam czekał nas życzliwy kapłan prawosławny i ciepły prysznic, po raz pierwszy i ostatni na tej trasie. Wieś Oktjabr, tak jak Gruntal zamieszkała jest przez wypędzonych z Bieszczad Ukraińców. Ludzie ci przynieśli nam na nocleg mleko, miód i wykupili ze sklepu wszystką gazowaną wodę, by nam podarować.

Apel Jasnogórski miał miejsce w prawosławnej świątyni. Młody kapłan był wyraźnie wzruszony widokiem zmordowanych jak na froncie ludzi. Przeszliśmy znowu 30 km. Ja z grupą starszych pielgrzymów dowlokłem się pół godziny później.

24.08 – Na Ukrainie to Dzień Niepodległości. Tego dnia również szliśmy po bezdrożach, w oddali widać było setki elektrycznych turbin – wiatraków. Czuło się też podmuch morza. Dotarłszy do stromego zbocza, podzieliliśmy się chlebem i jak w wigilię z opłatkiem, chodziliśmy rozdając swój kawałek innym uczestnikom. Przepraszaliśmy za wszystko, co złe się nam przytrafiło. Przeszliśmy „tylko” 24 km, więc sił starczyło na rozbicie namiotów i na wzruszający Apel Jasnogórski, na którym nareszcie tajemniczy Igor z Moskwy, który zdarł palce grając bez przerwy całe 5 dni... opowiedział o swoim nawróceniu z narkotyków i doświadczeniach z więzienia!

Tutaj jedyny raz w ciągu całego tygodnia wędrowni rozbiliśmy na wybrzeżu morza symbolicznie 3 namioty, potwierdzając zdarzenie z góry Tabor... Choć gospodarze wioski nas nie przyjęli, było nam tu dobrze.

25.08 – Ostatni dzień wędrowni. Zaledwie 15 km po trasie wiodącej z Mariupola do Taganrogu tzn. do Rosji. Ocieraliśmy się kilkakrotnie o rosyjską granicę

zwłaszcza w Telemanowie i nie tracę nadziei, że za rok z sąsiednich parafii rosyjskich ktoś się do nas dołączy.

W Mariupolu czekały nas 3 kompanie telewizyjne, ale ludzie w szoku i radości nie zwracali uwagi na „paparazzich”. Droga wiodąca do „częstochowskiej kaplicy” jest isticie częstochowska. Ulica nazywa się Olimpijska, pnie się cały czas w górę, jest dwupasmowa i pośrodku biegnie aleja dla pieszych. Myśmy jednak nie szli aleją, nie ma tu takiego zwyczaju. Obok prawosławnej kaplicy zboczyliśmy z drogi na polną uliczkę szukać zabłąkanej wśród prywatnych domków ulicy Bestużewa. Tam czekał nas o. Sylwan Marcin, który na ten jeden jedyny dzień z przewodnika pielgrzymki przeobraził się w gospodarza i na moje ręce wręczył pielgrzymom wielki pieróg i sól na haftowanym ukraińskim ręczniku. Co ja tam mówiłem, już nie pamiętam. Odpoczywaliśmy w klasztornym ogrodzie, gdzie czekało nas 100 litrów chłodnych napoi gazowanych. O godzinie trzeciej rozpoczęła się liturgia.

Wieczorem na Apel Jasnogórski nasi gospodarze, tzn. parafianie z Mariupola indywidualnie przywieźli pielgrzymów do centrum miasta na ulicę Metalurgów, gdzie wznosi się 30 metrowej wysokości stela. Wokół jest wzgórze, park, w którym za rok ma się rozpocząć budowa sanktuarium.

26.08 – Niedziela. Uroczystość MB Częstochowskiej. Jak przebiegała uroczystość w niedzielę, wiem tylko z ust parafian. Ponoć przyjechał biskup dziekan i wielu gości. Ludzie wracali rejsowymi busikami... szliśmy tydzień, a wracali do Doniecka godzinę i czterdzieści minut po trasie szybkiego ruchu.

Wszyscy kapłani tacy jak ja, bez wikariusza, mają być w niedzielę u siebie, więc zaraz po apelu podjąłem nocny rejs do domu. Jechałem jak szalony na piątym biegu. Nie dlatego, że się śpieszyłem, lecz dlatego, że prawa noga od gazu była zdrowa, a lewa od sprzęgła spuchła od bąbli i nie chciała mnie słuchać.

W tej pielgrzymce było wiele podobnych mnie kalek i większość z nich wytrwała. Z kimkolwiek nie dzieliłem się wspomnieniami, ten twierdził, że za rok pójdzie znowu. Sam fakt, żeśmy tę najdzikszą część Ukrainy przeszli i wytrwali, to już niewiarygodny cud! Warto się samemu przekonać. Nasi chłopcy ze Szczecina twierdzą, że gdyby Polakom wcześniej o tym opowiedzieć, to byłoby nas 400. a nie 40.

Oto dlaczego opowiadam najwcześniej, jak tylko się da. Zapraszam ponownie was wszystkich, aby budować „Ukraińską Częstochowę”.



Będąc na Ukrainie obejrzałem kilka ambitnych filmów, w tym m.in. także „Pasje” Mela Gibsona. W czasie sceny biczowania Chrystusa kilka razy zamykałem oczy. Pod koniec projekcji nie wytrzymałem i zapłakałem. Potem przez ponad miesiąc pokazywałem ten film chętnym w kaplicy parafialnej. Codziennie przychodziło od 10 do 30 osób. Niektórzy wychodzili w połowie projekcji. Mój sąsiad z Doniecka krytykował, że używam „pirackiego kina” dla takich domowych projekcji. Ja jednak ceniłem sobie jedyną w swoim rodzaju okazję do prowadzenia misji w mieście. To były najwocześniejsze chwile w moim pastorałnym życiu na Ukrainie.

„Prymas” – film o przeżyciach Prymasa Tysiąclecia – ze sceną rozmowy z oprawcą, która mi bardzo zapadła w pamięć. Śledczy wypomina kard. Wyszyńskiemu, że ten, jako kapłan, nie powinien być opryskliwy podczas „rozmów wyjaśniających”. Prymas spokojnie odpowiada, że miłość do Boga, który jest Absolutem i najwyższym autorytetem, daje mu prawo sceptycznie odnosić się do wszystkich, którzy ten najwyższy autorytet ośmieszają i podważają. W filmie wystąpił Krzysztof Kolberger, aktor, którego cała Polska żegnała jako człowieka prawego i który swego głosu udzielił przedśmiertnej produkcji papieskiej czyli „Tryptykowi Rzymskiemu”.

„Wszyscy jesteśmy Chrystusami” – autobiografia alkoholika, który porównuje swój los do drogi krzyżowej Jezusa. Jako syn alkoholika, oglądałem ten film z podwójnym zainteresowaniem i dreszczem. Nie, nie mam już do ojca żalu o nic. Na odwrót, dziękuję Bogu za mój los i za ten swoisty rodzaj krzyża. Dziękuję za ten dziwny film, który pomógł mi w zrozumieniu samego siebie.



W Doniecku na Ukrainie co kwartał nadawało polskie radio. Były przekazywane wieści z Polski, a ja opowiadałem o kościele i o obyczajach religijnych, zwłaszcza, gdy się zbliżała Wielkanoc czy Boże Narodzenie.

Z początku mówiłem wyłącznie po polsku, sporadycznie wstawiając rosyjskie słowa. Po kilku latach mówiłem po ukraińsku, sporadycznie wstawiając polskie słowa.



Na Ukrainie nabawiłem się chronicznego zapalenia nerek, które wedle opinii lekarzy będzie mi towarzyszyć do grobowej deski. Na zaproszenie przyjaciela i nauczyciela pojechałem na jakiś czas do Chin, by się podleczyć, „wylizać hiobowe rany”. Przez pierwsze 40 dni nie mogłem się za bardzo poruszać, więc szlifowałem mój chiński w obecności telewizora. Potem ruszyłem na wędrowkę po ciekawych miejscach. Odwiedziłem klasztor buddyjski w centrum Pekinu, konfucjański zespół i taoistów. Największe jednak wrażenie zrobiło 8 pekińskich kościołów, do jakich dotarłem. Wszystkie one były przepełnione i w każdym z nich posługiwało po kilku kapłanów.



Na Ukrainie pracowałem 5 lat – od 2003 do 2008 roku. Ukraina – to był dla mnie czas trudny, pracowity i chorowity, ale ślad mego pobytu powinien pozostać na długo. We mnie on trwa. Na Ukrainie właśnie przekroczyłem magiczny próg czterdziestu lat, kiedy to każdy mężczyzna chciałby już w życiu dokonać czegoś solidnego: drzewo posadzić i dom zbudować. W jakimś sensie to mi się udawało, ale cena za te sukcesy była ogromna.

Pytano mnie, czego mnie nauczyła Ukraina, a dokładniej Donbas? Ja tylko przez chwilę szukałem w głowie odpowiedniego słowa, bo co do treści nie miałem wątpliwości. To coś, co wyniosłem z Ukrainy to pokora.

Owszem, miałem i mam powody do dumy ze względu na wielość inicjatyw duszpasterskich i misyjnych. Dwa kościoły zwrócone, kilka kaplic adaptowanych ze zwykłych domów mieszkalnych, w Makiejewce jedna od zera zbudowana z prefabrykatów, w formie łodzi. Pielgrzymka mariupolska, jeden chłopiec w seminarium, wiele inicjatyw ekumenicznych i przyjaźni z pastorami oraz bliskie relacje z unitami. Pierwsza książka w języku rosyjskim.

Mimo to zrujnowane zdrowie i cała rzesza... zazdrośników, którzy pilnie czekali, kiedy mi się noga powinie. Żywoć Hioba przerobiłem na Ukrainie dokładnie. Zdarzało się, że nie mogłem mszy odprawiać stojąc, a mówiąc kazanie, płakałem z bólu. Pewnego razu na moją 15. rocznicę święceń wszyscy koledzy kapłani byli tak zajęci, że mi nawet komunii nie przynieśli do szpitala, a ja sam nie miałem siły odprawić mszy świętej!

## Napotkani na Ukrainie

Moim biskupem w tym czasie był polonista i płodny pisarz, ks. bp. Stanisław Padewski. Pochodził spod Tarnopola na Ukrainie. Razem z rodzicami się repatriował i rósł gdzieś na Śląsku albo w Ziemi Lubuskiej. Studia seminaryjne u braci kapucynów zrobił w Krakowie i tam dodatkowo studiował na polonistyce. W jakimś sensie dobrze się rozumieliśmy. To jedyny biskup, który mnie otwarcie zachęcał do pisania książek. Nie był jednak na tyle zdyscyplinowany, aby mi w tym pomóc. Owszem, zaakceptował wstęp do mojego pierwszego tomiku wierszy, choć w rzeczy samej pozwolił, żebym za jego podpisem napisał go sobie sam. Taki był ten nasz biskup, pierwszy historyczny na lewym brzegu Dniepru. Wielu księżom dla świętego spokoju rozdawał „blanki” ze swoim podpisem, by go nie męczyli inną twórczością niż pisarską. Urzędnikiem to on nie był, o nie!

Bp Marian Buczek – wieloletni kanclerz kardynała Jaworskiego. Człowiek dynamiczny i porywczy. Nie przebiera w słowach, ma sporą awersję do unitów i niektórych kapłanów łacinników.

Całkiem przypadkowo pod jego pasterską dłoń popadłem i ja, już na pożegnanie z jego diecezją. Okazało się, że jego pupilek, a mój sąsiad z parafii w Gorłówce i Jenakiewo zachował do mnie żal za niezapłacony rachunek za światło w kościele. Rachunek był pięcioletniej dawności i kolega sąsiad nigdy do mnie nie zgłaszał pretensji, gdyśmy pracowali razem. Po prostu przejął parafię i kwita.

O długu przypomniał sobie dopiero, gdy wyjechałem do Taszkienu. Tak długo wiercił dziurę w brzuchu nowemu biskupowi, który mnie zaledwie raz na oczy widział, że ten przez swego sekretarza wysłał mi maila, zobowiązując do uregulowania rachunku i przeproszenia kolegi. Owszem, zadośćuczyniłem, choć uznałem za stosowne przypomnieć biskupowi, że wartość kościoła w Jenakiewo, który został zwrócony w 2003 roku Kościołowi na skutek moich starań oraz przeprowadzone remonty świątyni dają mi prawo, by spać ze spokojnym sumieniem. Tylko odbudowa wieży kościelnej kosztowała około 10 tysięcy dolarów. O te pieniądze starałem się sam. Ogrzewanie kościoła – 2000 dolarów, na to również znalazł się sponsor w Białymstoku a dokładniej w Augustowie.

Biskup Buczek chyba nie przyjął tego do wiadomości, bo po 3 latach od mego wyjazdu jeszcze sprawia mi przykrości na odległość. Na przykład powiedział dziekanowi, że niewskazane jest, bym chodził na pielgrzymkę z Doniecka do Mariupola, mimo że sam dziekan próbował mnie na nią zaprosić, pamiętając, że

to ja wytyczałem trasę tej pielgrzymki, a każdego sołtysa i burmistrza osobiście prosiłem o zgodę na wędrowną. Miałem nawet spotkania z prawosławnym biskupem kijowskiego patriarchatu, który ma wielki autorytet w parafiach, przez które wędruje pielgrzymka.

No cóż, Dante Alighieri w swej „Boskiej komedii” pomieścił swoich adwersarzy w piekle i dokładnie opisał ich personalia. Ja nie życzę księdzu Buczkowi zła. Niech wyrazem życzliwości będzie fakt, że go umieściłem w mojej książce pośród ulubionych person.

Z pozytywnych cech hierarchy wyliczę jego zapał do projektów w internecie, fachową książkę o świątyniach katolickich na Ukrainie, niesamowity dryg do jeżdżenia samochodem po bezdrożach i tę opisaną wyżej dyscyplinę, która jednych może zniechęcać, a innych dopingować do pracy. Oby mu się tam powiedziało jak najlepiej.

Personalia kolegi z Gorłówki i Jenakiewo pozostawię na potem, bo nie jest to „góral” a zwykły Poleszuc, czyli ksiądz tutejszy z Ukrainy. Za ten dług za światło i inne przykrości, jakich w życiu doświadczył, bardzo go jednak raz kolejny przeproszam. Zwłaszcza za tę przykrość, że musiał za moją radą jeździć do Białegostoku i głosić kazania w największej białostockiej parafii św. Kazimierza.

Po powrocie twierdził, że ma miłe stamtąd wspomnienia i że zaprzyjaźniony ze mną proboszcz wsparł go solidnie. Być może jednak i to było moim błędem, że tak się starałem udobruchać kolegę i pomagać w jego posłudze misyjnej.

W naturze ludzkiej leży gdzieś ta skłonność do gniewania się z byle powodu... Misje nie są wolne od takich sytuacji. Modlę się, by mnie Bóg uchronił od wzajemnego gniewu. Podobno najlepszym sposobem jest uśmiech. Posyłam go więc z Taszkientu aż na lewy brzeg Dniepru. Odwagi, księżo biskupie!

Bp Jan Sobiło – biskup pomocniczy z diecezji Charkowsko-Zaporoskiej. Długie lata byliśmy „na ty”, ale to był czas, gdy Jan był prałatem. Teraz to już nie wiem, jak się do jego ekscelencji zwracać. Krótco po święceniach obiecał mi napisać kilka słów wstępu do mojej książki. Przypominałem mu kilka razy, ale on w natłoku spraw zapomniał. W odróżnieniu od biskupa Buczka jest niskiego wzrostu i ma szalone poczucie humoru. Nie jest jego zwyczajem dyscyplinowanie ludzi poprzez gniewne listy. Kiedy zasiedziałem się w Chinach na kuracji nerek i dziekan to do niego zgłosił, on napisał do mnie prosto i po przyjacielsku: „Jarosławie, stęskniliśmy się za tobą! Przyjeżdżaj, a nie pożałujesz, mam dla ciebie intencje z Niemiec”. To prawda, że na Ukrainie niełatwo się było utrzymać i prałat

Janek jako ekonom bardzo się starał, by księża mieli przy sobie jakieś pieniądze na konieczne wydatki. Gdy bywałem w Zaporozżu, szedłem do spowiedzi do tego właśnie kapłana, bo miał przyjacielski styl mówienia i nie gnębił penitenta, ale znajdował zawsze słowa otuchy. Gdy pewnego razu, budując kaplicę w Makiejewce pojechałem po pomoc finansową na ten cel, on mnie pocieszył: „nie mam wiele kasy, ale mam materiały budowlane, jakie mi pozostały od budowy katedry. Przyjeżdżaj i zabieraj, ile tylko uniesiesz!” Prawdziwy góral – ksiądz Janek z diecezji lubaczowsko-zamojskiej.

Brat Maksymilian z Irkucka – rubaszny i podobny do dziekana z Irkucka albertyn, którego zakon odesłał na studia seminaryjne, by przyjął święcenia kapłańskie. Wiem skądinąd, że szczęśliwie skończył studia i zapewne wrócił na Ukrainę, bo bardzo tam pasował i podobno jego przodkowie byli z Podola.



# Misja w Uzbekistanie

*W Uzbekistanie wchodzę w dorosłość, kapłaństwa rok osiemnasty  
Diabeł wciąż pragnie mną pomiatać, a ja mu się nie daję...*

Taszkient, 21 maja 2009

Polecam was i siebie wstawiennictwu MB Miłosierdzia-Ostrobramskiej czczonej szczególnie w Wilnie, na białostockim Antoniuku i w katedrze w Stalowej Woli oraz w miasteczku Urgenczkolo Chiwy w Uzbekistanie, a także bł. Bolesławie Lament i bł. Michałowi Sopoćko – patronom białostockim, którzy w misyjnych wędrówkach mnie wspierają...



Podobnie jak mój wyjazd do Kazachstanu, tak i wyjazd do Gruzji nie udał się. Na jedną dobę przed zaproszeniem z Tbilisi, przyszła wiza... uzbecka.

Zgłosiłem się do pracy w Taszkencie 1 października, kiedy była już jesień, a temperatura nadal 25 stopni. Nie wiedziałem, jak przetrwam nadchodzące lato.



Taszkient – w tym ogromnym mieście jest metro i piękne, szerokie arterie, około stu meczetów, cztery prawosławne cerkwie i zaledwie jeden, za to przesłiczny kościół zbudowany ze żwiru i kamienia. Górka, która się tu znajdowała 100 lat temu została wyeksploatowana do produkcji bloków kamiennych i teraz kościół stoi w... dolinie nad górską rzeką, widoczny z trzech stron na tle wieżowców.

Historia kościoła jest niezwykła – pierwszą kaplicę obsługiwał jeszcze w 1883 roku przez trzy lata pewien kapelan wojskowy, bo Taszkient, jak i cały Turkiestan przeszedł po Powstaniu Styczniowym w ręce Rosji. Car zsyłał tu karnie polskich żołnierzy, którzy brali w nim udział.

Po jego odjeździe kaplicę zamknięto, a dzwon подарowano prawosławnym. Kolejnym kapłanem, który dostał pozwolenie na pobyt był profesor z Petersburga, sławny znawca języka hebrajskiego, ks. Justyn Pranajtis. W szerokiej okolicy, czyli

w miastach oddalonych o tysiące kilometrów, jak Aszchabad, Ałma-Ata (stolice Turkmenii i Kazachstanu), albo odległych o setki kilometrów, jak Samarkanda, Fergana, Termez, wybudował pięć kościołów. W samym Taszkencie wciąż były przeszkody – dopiero w czasie pierwszej wojny światowej znaleźli się ludzie życzliwi dla idei budowy kościoła. Byli to uciekinierzy z pogrążonej wojną Polski oraz jeńcy wojenni z armii austriackiej – katolicy pochodzenia polskiego, czeskiego i węgierskiego. Włożyli w to dzieło serce i swoją ofiarność. Niestety śmierć ks. Justyna w lutym 1917 roku, a potem wybuch Rewolucji Sowieckiej sprawiły, że dach na gotowej budowlu wzniesli dopiero w latach 90. bracia franciszkanie pod kierunkiem charyzmatycznego ojca Krzysztofa Kukułki.

Niedawno, obok kościoła, staraniem Polonii został wzniesiony pomnik poświęcony armii gen. Andersa, która tu długo stacjonowała. W Taszkencie zmarło z wycieńczenia około 600 żołnierzy. Nikt do nich nie strzelał, jednak lato bywa tu tak skwarne (nawet 60 stopni w słońcu), że dla wyniszczonych zesłańców z Syberii taka pogoda była zabójcza.

We wszystkich zakątkach kraju znajduje się 20 cmentarzy wojennych, którymi opiekuje się polska ambasada. Jeden raz zostałem zaproszony do odprawienia nabożeństw zaduszkowych w czterech takich miejscach, w okolicach Alkazaru i Yangi Yulu.



Taszkient zamieszkuje ok. 3 miliony mieszkańców. Jest pięknie położony, otoczony górami TienSzan, co po chińsku znaczy „niebiańskie góry”. Uzbegy mówią językiem, który należy do grupy języków tureckich – uczyć się go z trudem. Na dzień dobry Uzbegy pozdrawiają się podobnie, jak w Izraelu słowem: „Salom” (szalom – pokój), odpowiedzieć należy: „As salam alejkum” (pokój z tobą).

Słowo „taszkient” w języku tureckim oznacza kamień, więc mieszkam jak Papież w Watykanie „na opoce”. Jest w tym sens tym bardziej, że nasz kościół ma status Ambasady Watykańskiej, co oznacza, że posługujący tutaj księża są urzędnikami watykańskimi i mają status dyplomatów. To znacznie ułatwia pracę w tym egzotycznym środowisku. W życiu codziennym wyraża się to np. w ten sposób, że na samochodach biskupa i braci franciszkanów zamiast białych tablic widnieją zielone i miejscowa milicja nie ośmiela się ich zatrzymywać. Na każdym parkingu znajdzie się dla takiego samochodu zarezerwowane miejsce.



Uzbecki patriotyzm jest szczególnie. Naród mówiący uzbeckim dialektem nigdy nie posiadał swojego państwa, ale żył w czterech różnych emiratach: Kokandzkim, Samarkandzkim, Bucharskim i Chiwińskim czyli Chorezmskim. Na dodatek jest tutaj Autonomiczna Karakałpaka, która mówi z kolei dialektem zbliżonym do języka kazachskiego. W Samarkandzie i Bucharze używają dialektu tadżyckiego. Mieszkańców tych ziem łączy islam i wspólne tradycje tego regionu.

Nowożytne państwo Uzbekistan wykorzystuje symbole z przeszłości, adorując postać Tamerlana. Jednak wśród chrześcijan osoba Tamerlana budzi inne uczucia, bo to on wyniszczył chrześcijan nestorian, bardzo wtedy licznych.

Rządzący państwem mają zaognione relacje sąsiedzkie zarówno z Kazachstanem, z Tadżykistanem i z Kirgizją. Wszystko na tle gospodarki wodą oraz z powodu złego traktowania uzbeckiej mniejszości w tych krajach.

Współcześni architekci wracają do wzorców architektonicznych z Samarkandy i Buchary. Wszelkie symbole epoki sowieckiej, a nawet rosyjskiej sprzed rewolucji są usuwane. Nie ma żadnego pomnika Lenina, nie ma nawet Gorkiego, ostał się jedynie Puszkina, ale też nie wiadomo na jak długo. Telewizja i radio zachowały pewne audycje po rosyjsku, ale jest ich faktycznie mniej.

To wszystko jest zrozumiałe, natomiast trudno się przyzwyczaić, gdy się widzi, że „Europejczycy” są gorzej traktowani w pracy, nie przyjmowani, jeśli jest uzbecki kandydat z podobnym, a nawet z gorszym wykształceniem. Prezydent Karimov promuje islam, ale tylko ściśle kontrolowany poprzez Państwowy Uniwersytet Islamski. Ludzie wykształceni poza murami tej uczelni nie mają szans na otrzymanie pracy w uzbeckich meczetach. Obawy przed ekstremizmem są silne.

Inne religie są poddawane równie ścisłej kontroli. Rejestracja parafii jest limitowana. Licencje dla pastorów jedyne w Uzbekistanie protestanckiego seminarium duchownego mogą być anulowane. Ilość studentów limitowana. Jest również jedno seminarium prawosławne i domyślam się, że ono również podlega kontroli. Prezydent Karimov, który wychował córki w duchu europejskiej tolerancji, nie pozwala krzywdzić rosyjskojęzycznej ludności Uzbekistanu. Ludzie ci są mu wdzięczni, bo zdają sobie sprawę, że każdy następny będzie tylko gorszy. Na lepszych prezydentów w Azji Środkowej nikt już nie czeka. Powoli świat godzi się z myślą, że na post-sowieckim terenie inna mentalność i styl rządzenia jest niemożliwy.

Taki jest właśnie Uzbekistan słynący z gazu, bawełny, złota, uranu oraz z „jedwabnego szlaku”, na którym swoje kości położyło wielu misjonarzy w czasach Marco Polo. Tutaj w Uzbekistanie protestant gen. Anders przyjął katolicyzm i wyprowadził stąd na front zachodni polską armię. Stąd się zaczęła długa droga do kapłaństwa śp. prałata Peszkowskiego.



Święto Niepodległości – jechaliśmy z Sakenem, moim nauczycielem uzbeckiego, metrem w północno-zachodni koniec miasta. Metro taszkienckie ma ten sam zapach, co w Moskwie i w Kijowie. Może to kwestia smarów używanych do konserwacji, może tak działa wentylacja głęboko pod ziemią. Sowieckie metro miało zawsze charakter i funkcję schronu i lokowane było bardzo głęboko.

Tłum ogromny, ludzie przyjechali do Taszkientu zewsząd, również z zagranicy. Przy każdej furtce kontrole. Najczęściej w łapy milicji wpadali drobni sprzedawcy, którzy na małych taboretach wykładali swój skromny towar.

W centrum parku otaczającego Pałac Narodów – pomnik największego uzbeckiego poety Alishera Navoi. Na przestrzeni między pałacem i pomnikiem – duży budynek Parlamentu (Oliy Mejlis) w stylu meczetu, z wieloma wysokimi stylizowanymi kolumnami podtrzymującymi dach. Wokół Mejlisu – staw z czystą błękitną wodą, po której pływają łódki i na zwężeniach kręcą się wiatraczki z dzbankami, jakby napędzając niewidzialny młyn.

Na placu przed pałacem jakaś dziewczyna zachęcała przypadkowych widzów do tańca. Śpiewała chorezmijskie motywy, obcokrajowcy ją fotografowali, niektóre kobiety w narodowych strojach rzeczywiście zaczynały pisać. Plac pusty – jedyna dekoracja to mnóstwo flag uzbeckich i niezapełniona wodą fontanna. Wedle słów Sakena, w czasach sowieckich stał tutaj pomnik pewnej staruszki Rosjanki otoczonej dziećmi, sierotami wojennymi, które ona wzięła na wychowanie. Miły symbol, pomyślałem sobie, czy warto było zastępować go fontanną?

Uzbecy swą niepodległość wyrażają bezkompromisowo. Dawnych rosyjskich nazw ulic prawie nie uświadczysz, choć ludzie lubią określać rzeczy po staremu i np. taksówkarzom łatwiej zrozumieć dokąd jechać, gdy się podaje rosyjską nazwę ulicy. Przez te 18 lat były zmieniane po kilkakroć i ludzie się gubią w tych nowych nazwach, ja również.



Z pomnika Lenina pozostał tylko wysoki postument, na którym umieszczono „Globus Uzbekistanu”, czyli kulę ziemską z wielką mapą kraju. Poniżej na tle postumentu siedzi „Matka Uzbeczka”, jeden z typowych symboli nowego Uzbekistanu. Ktoś niewtajemniczony mógłby pomyśleć, że to... Madonna. Skąd taka miłość do sceny macierzyństwa w kulturze, która stawia kobiety na drugim planie – trudno mi zgadnąć. Faktem jest, że Uzbekcy lubią dzieci i ich rodziny są duże, więc w jakimś sensie „kult matki” jest rzeczą naturalną.

Wokół pomnika liczne fontanny, a w głębi pałac prezydencki i niższa izba parlamentu. Wejście na plac otwiera ażurowa arkada z trójką srebrnych bocianów połączonych w pirucie końcówkami skrzydeł. Podobno dla Uzbeków bociany to święte ptaki.

Nie udało mi się dowiedzieć, jakie zdarzenie z historii posłużyło do określenia daty narodzin Taszkientu 2200 lat temu. Jedyne, co mi się obilo o uszy to tzw. znaleziska archeologiczne. Mam wrażenie, że korzystając z takiej metody np. w Krakowie można by świętować 5000-lecie, bo jakieś ślady osadnictwa z tamtej epoki niewątpliwie są.



W całym Uzbekistanie, który powierzchnią znacznie przewyższa Polskę i który zamieszkuje ok. 27 milionów ludzi, jest zaledwie 9 kapłanów, biskup i 8 sióstr kalkutek. Praktykujących katolików w pięciu zarejestrowanych i dwu tworzących się parafiach jest zaledwie 600!

W Taszkencie od 2003 roku ma swoją siedzibę katolicki biskup, ks. Jerzy Maculewicz, franciszkanin. Podobne nazwisko miał błogosławiony Jurgis Matulaitis, który sto lat temu był biskupem wileńskim i często odwiedzał Białystok. Rodzice naszego biskupa pochodzili ze Wschodu. Ojciec był zesłańcem rodem z Wilna, a mama Sybiraczką spod Krasnojarska. Sam biskup urodził się na Ukrainie, chociaż kilka lat spędził w Norylsku.

Repatriowali się do Polski do Dąbrowy Górniczej, gdy Jurek miał już kilka lat. Chrzest przyjmował jeszcze na Syberii z rąk legendarnego o. Waltera Ciszka, amerykańskiego jezuitę, który spędził w łagrach niemal 20 lat i gdy przyszedł dzień wolności, mówił do oprawców: „Zostawcie mnie tu, mi się tu podoba”!

Gdy Jurek już był księdzem, mama znalazła w „Rycerzu Niepokalanej” artykuł o o. Walterze Ciszku, z jego zdjęciem. Z radością pokazała synowi, że to właśnie ten misjonarz go ochrzcił. Jakaż wielka satysfakcja w niebie! Choćby z tej jednej przyczyny warto było temu misjonarzowi cierpieć, by dać życie w łasce tej katorżniczej rodzinie.

Do seminarium nasz biskup poszedł późno. Pracował w kopalni, działał w ruchu oazowym i w „Solidarności”. Wiele osób znało jego pobożność i wypytywało, czemu się nie żeni, a jeszcze częściej i natarczywiej, czemu nie idzie do seminarium. Gdy poszedł nareszcie, był już po trzydziestce. Studia szły mu dobrze, więc skierowano go do Włoch. Został wykładowcą. Powiadają, że wykladał monotonna, sztywno, trzymając się tematu. Taki pozostał, „verus Izraelita” długo po święceniach. Mimo że był profesorem, miał pseudonim „kleryk”.

Gdy kardynał Dziwisz poszukiwał kandydata na biskupa do Taszkientu w ostatnich dniach życia papieża, władze zakonne, znając pochodzenie Jurka i jego łatwość poruszania się w kręgu kultury rosyjskiej, wysunęły jego kandydaturę. Był w tym czasie wikariuszem Generała Zakonu na kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Zdawało się, że bardziej kompetentnego człowieka być nie może.

Na spotkaniu oazowym w Handajliku poprosiłem, by ks. biskup opowiedział dzieciom o swym powołaniu. Mówił, że na „rozmowie kwalifikacyjnej” z papieżem dostrzegł, jak Ojciec Święty bardzo cierpi i gdy prosił o. Jerzego, by ten przyjął odpowiedzialność za Uzbekistan, nie sposób było odmówić tak choremu człowiekowi. Złośliwi komentują datę wydania dekretu papieskiego (1 kwietnia), jako „ostatni żart papieża”. Inni mówią, że Jan Paweł II umierał, mając w sercu Uzbekistan.



Urgencz, najodleglejsza parafia, graniczy po sąsiedzku ze starożytnym miastem Chiwa. Ma 120 000 mieszkańców i około 20 parafian. Niedawno powstał tam mały kościółek i jest on jedyną chrześcijańską świątynią w mieście. Parafia jest oddalona o 1100 km od Taszkientu.

W połowie drogi z Urgencza do Taszkientu leżą jeszcze dwa słynne historyczne miasta: Samarkanda i Buchara. Istnieją tam wspólnoty, w których liczba parafian sięga 50-100 osób. Jest jeszcze we wschodnim Uzbekistanie wspólnota na przedmieściach miasta Fergany złożona głównie z bezdomnych lub zaniedbanych dzieci. Opiekę nad nim objął o. Piotr Kawa i dwaj współbracia franciszkanie.

Jedna z tych dwu niezarejestrowanych, czyli powstających parafii znajduje się wojewódzkim mieście Navoyii i jest obsługiwana przez kapłanów z Buchary. Druga pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego mieści się w Angrenie (100 km na wschód od Taszkientu). To moja parafia.

## Angren – Parafia Bożego Miłosierdzia, moja parafia.

W miasteczku Angren mieszkało 20 lat temu wielu Europejczyków. Byli to głównie potomkowie zesłańców polskiego i niemieckiego pochodzenia. Ostatnio wielu z nich powróciło do ojczyzny albo przeniósł się do Rosji. Nie sposób ukryć, że powodem były w dużej części zatargi na tle rasowym i religijnym. Miasto jest ładne, ma 120 tys. mieszkańców. Leży u podnóża góry nazywanej Babaj Góra (3555 m n.p.m.), która nawet latem ma czapkę ze śniegu. Niektóre dzielnice wieżowców wyglądają jak miasto widmo, bo z chwilą wyjazdu większości Europejczyków nie było chętnych, by te domy zasiedlić i dbać o nie.

Historia parafii w Angrenie jest nietypowa. Do tego miasteczka z pobliskiej Fergany pod koniec lat 80. zaczął dojeżdżać legendarny ks. prałat Józef Świdnicki, który w 1984 roku trafił do więzienia w Nowosybirsku za kazanie o MB Fatimskiej, jakie wygłosił w miejscowej kapliczce. Dostał wyrok 4 lata za antypaństwową, wywrotową działalność, bo tak władze sowieckie nazywały misje. Po dwu latach, zdaje się, skrócono mu wyrok i z Syberii wyjechał do Uzbekistanu. Miał wielu parafian w Ferganie, w Angrenie i w Taszkencie. Z trudem nadążał odwiedzać wszystkie zakątki kraju, gdzie tylko znajdował Europejczyków. Gdy w 1992 roku przeniósł się z powrotem na Syberię, parafie zaczęły się wyludniać i trudno było ten proces zatrzymać.

Do Uzbekistanu przyjechali bracia franciszkanie, którzy zaprzyjaźnili się z pewnym pastorem polskiego pochodzenia. Miał na imię Włodzimierz. Podobnie jak wielu i on z rodziną opuścił Uzbekistan i mieszka teraz w ojczyźnie swych przodków. Zanim jednak wyjechał, wypełnił opatrznościową misję. Poprosił naszych franciszkanów, by przeprowadzili akcję informacyjną o kościele katolickim w jego parafii. Nieczęsto się zdarza, by pragnienie powrotu do kościoła katolickiego ustami parafian wyrażał sam pastor protestancki. Tym razem tak się stało. Współpraca Włodzimierza z franciszkanami trwała 2 lata.

Skutek jest taki, że większość moich obecnych parafian była w przeszłości baptystami. Część dawnych parafian odeszła do innych wspólnot protestanckich.

Inni wyjechali za granicę. Pozostali, a jest ich 7 osób, to głównie ludzie schorowani i starzy.



W Rosji i na Ukrainie, gdzie posługiwałem, do formalnej rejestracji wspólnoty potrzebna była minimalna ilość 10. członków założycieli. W Uzbekistanie trzeba nabierać stu parafian, by wspólnota otrzymała legalny status. Jak z tego widać, byłem „nielegalnym” duszpasterzem i nie miałem prawa zamieszkiwania w swej parafii. Dojeżdżałem więc do Angrenu z odległego Taszkientu, co stanowiło dodatkowe utrudnienie.

Każde miasteczko uzbeckie wita przyjezdnych pięknym hasłem: „HUSZ KELIBSIZ” (Witamy serdecznie). Ja jednak żyłem często z poczuciem „niechcianego gościa”, czyli niestety takim, jakie miałem pod koniec pobytu w Rosji.



Zostałem zaproszony do Uzbekistanu w 2008 roku; o takim zaproszeniu marzyłem 5 lat wcześniej. Przez cały ten czas polecałem sprawę przyjazdu do Uzbekistanu pośrednictwu bł. księdza Sopočki. O to samo prosiłem, trzymając w dłoniach jego relikwie następnego dnia po beatyfikacji. Nie powinno więc dziwić, że trafiłem w te okolice. Już w Taszkiencie dowiedziałem się, że moja dojazdowa parafia w Angrenie ma działać pod wezwaniem Bożego Miłosierdzia. Okazało się również, że w Taszkiencie posługują siostry, które opiekują się bezdomnymi, podobnie jak ja na Ukrainie. Wszystko ułożyło się opatrnościowo...



Kamil, jak większość moich dzieciaków z Angrenu ma pochodzenie tatarskie. Jego tato mieszka w Aszchabadzie w Turkmenii, jakieś 1000 km stąd. Widują się rzadko, ostatni raz 10 lat temu. Mamę Kamil widział ostatnio 2 lata temu, bo tyle czasu chłopiec tuła się u obcych ludzi: mieszka byle gdzie i je byle co, aby tylko nie patrzeć na pijaną mamę. Jego żywiołem są bębny. Granie zabiera mu cały wolny czas. Przegląda internet i tam szuka ciekawostek o Bogu i o kościele. Ma 19 lat, ale do żadnej szkoły nie chodzi. Jakiś wujek mu załatwił, że mimo nieobecności dostaje z pewnego koledżu świadectwa i stopnie. Jest chudy, ma wyniszczone nerki



i wątrobę. Od paru miesięcy mieszka w Taszkencie i pracuje jako kelner w hotelu. Praca dobra, ale wyniszczająca, bo czasami sypia tylko 3 godziny. Przygotowuje się do chrztu, prosił mnie, bym w jego imieniu pogadał z proboszczem, aby mógł przejść kurs na ministranta. Niedawno przestał brać do ust alkohol, choć dawniej nie odmawiał, gdy częstowano. Jako alkoholowe dziecko jest bardzo znerwicowany. Pali dużo papierosów, ale chce rzucić. W moim odbiorze to geniusz albo materiał na niezwykłego człowieka. Jaką drogą los go poprowadzi, to dla mnie zagadka. Modłę się, żeby diabeł zdjął z niego swe łapy, bo jeszcze niedawno koledzy nazywali go EMO (klub samobójców) lub GOT (fascynacja starożytnymi kultami). Jedno i drugie – na granicy satanizmu. Takie miał zapatrywania na życie, ale od ponad roku wszystko się zmienia. Taki sobie parafianin.

Maksym ma 17 lat. Zakończył pierwszy rok nauki w sportowym koledżu w Taszkencie. Jego tato nauczył go grać w kosza. Musiał to być fajny gość, ale nagle wyjechał na Syberię i tam założył nową rodzinę. Dzwonił jakiś rok temu, chciał rozmawiać z Maksymem, ale ten nie podszedł do słuchawki. Jego tato to Rosjanin i Maksym ma jego urodę, jest wysokim przystojnym blondynem. Mama Maksyma jest Tatarką i, podobnie jak mama Kamila, notorycznie pije.

Maksym jest już od roku ministrantem, ale podobnie jak Kamil dopiero szykuje się do chrztu. Chętnie czyta Biblię i w oczach zmienia się na lepsze, choć jeszcze niedawno stać go było na wszelakie świństwa. Mówi, że przestał palić, ale jak jest naprawdę, tego nie wiem. W każdą sobotę pomaga siostrom w kuchni, a więc jest wolontariuszem w kościele. Jest urodzonym aktorem, lubi występować w parafialnych scenkach. Świetnie gra w koszykówkę. Jest wdzięczny, bo znalazłem mu miejsce na stacji. Gdyby nie to, musiałby zrezygnować z nauki w koledżu. Lubi się uczyć, jest ambitny. Mama handluje miodem na rynku, ale większość pieniędzy przepija. Starsza siostra Maksyma wyszła bardzo młodo za Turka i już wychowuje synka.

Mały Emo to chłopiec 15-letni. Ma pocięte żyłkami i tatuowane ręce. Przyznał się, że wielokrotnie planował samobójstwo. Nie znam jego sytuacji rodzinnej, ale się domyślam, że u niego jest podobnie jak u Kamila i Maksyma. Najprawdopodobniej jest metysem, czyli dzieckiem Rosjan i Tatarów. W Angrenie, w środowisku rosyjskojęzycznym, takie mieszanki w rodzinach to norma. Dzieci mają przez to otwartą drogę do kościoła, bo metysów nikt nie zmusza do bycia muzułmaninem. Najczęściej jednak takie dzieci nie kwapią się ani do cerkwi, ani do meczetu. Sporo Tatarów przyjęło w Uzbekistanie protestantyzm.

Sasza – metys z rudą czupryną. Jak imię wskazuje, jego ojciec pewnie był Rosjaninem, ale do kościoła przyprowadziła go ciocia, Tatarka. Sasza zaczął chodzić do kościoła pod wrażeniem oazy, na którą go zapisała. Wiele jednak zajęć opuszcza, bo jak twierdzi ciocia – on zarabia na rodzinę, czyli po rosyjsku „zdobywa chleb na rynku”. Na takie dzieci mówi się tu „dobytczyk”. Ma 15 lat, ale do szkoły nie chodzi, jest taki „mały stary”. Domyślam się, że któreś z rodziców, najpewniej tato, jest alkoholikiem i nie interesuje się losem chłopca.

Żenia ma ojczyma Uzbeka, który jest notorycznym pijakiem. Ma podobne talenty jak Maksym, ale nie mieszka w Taszkencie. Szczerze szykuje się do chrztu i bywa co tydzień na mszy św. i wielu imprezach, jakie dla tej dzieciarni staram się organizować.

Julia – nie wiem jaka jest jej sytuacja domowa, ale podejrzewam, że też jest dzieckiem „alkoholowym”. Wygląda na bardzo znerwicowaną i skrytą, jak na swoje 16 lat. Na jesieni, gdy miała pierwszy raz odwiedzić kościół w Taszkencie, pokłóciła się z mamą i w konsekwencji powiesiła się na pętli. Trafiła na reanimację szpitalną, z trudem przywrócono ją do życia. Myślę, że relacje z parafią wpłynęły na to, że jej zachowanie zaczęło się zmieniać. Widziałem wiele entuzjazmu w jej oczach. Przygotowywała się do chrztu.

Nastia – koleżanka Juli. Chodzi do kościoła od roku, jest muzykalna, dobrze się uczy. Tato porzucił ją, gdy była małym dzieckiem. Wyjechał na Krym i nie wspiera rodziny. Nastia również jest metyską. Ma ładną, śniadą, orientalną twarz i bardzo miły charakter. Gdy się jej nie uda być na mszy, długo przeprasza. Przygotowuje się do chrztu.

Junus – najstarszy chłopiec w grupie. Ukończył właśnie 30 lat. Jest jedynym Uzbekiem w parafii, ale deklaruje się jako Niemiec i wymaga, byśmy go nazywali Johann. Ma talenty teatralne, lubi występować. Niestety lubi też alkohol i gdy wypije robi, głupstwa. Ostatnio uderzył starszego kompana po głowie butelką i ten trafił do szpitala z pięcioma szwami. Junus bardzo chciał się ochrzcić, ale od czasu pobicia ukrywa się. Takie pijackie historie...



Prócz młodzieży jest w parafii pewien oślepy starzec, którego zgubił alkohol. Ma na imię Iwan, jest inżynierem. Całe życie jednak jeździł na tirach i naprawiał samochody. Bardzo pomagał w przeszłości naszej parafii. Tuż przed śmiercią jego żony udzieliłem im ślubu. Jest podejrzenie, że małżonka zmarła od zatrucia

alkoholowego. Mimo, że była szanowaną pielęgniarzką polskiego pochodzenia, do kielicha lubiła zaglądać.

Swietłana i córka – dorosłe parafianki. Matka ma jakieś 70 lat, córka 40. Razem z mężem Swietłana sporo czasu spędza przy butelce. Jej córka do nich dołącza przy byle okazji. Zdarzało się, że przychodziły do kościoła nietrzeźwe. Perswadowałem i one same rozumieją, że nie warto tego robić, ale jak się zatrzymać i kiedy – nikt nie wie.

Te dwie niepoprawne kobiety zrobiły mi swego czasu niespodziankę. Gdy milicja z sobie tylko wiadomych powodów zaplombowała naszą parafię, one we dwie uzbierały 60 podpisów z prośbą o rejestrację naszej wspólnoty. Pozostałe 40 nazbierała młodzież.

## W domu u Sióstr

Bezdomność jest w moim odczuciu jednym z imion samotności. Człowiek może poszukiwać samotności dla lepszego kontaktu z Bogiem. Tak powstawały pustelnie i pierwsze klasztory.

Człowiek szuka samotności dla odpoczynku i refleksji – tak powstał biznes turystyczny i kurorty, zwłaszcza w miejscach odludnych, ale pięknych krajobrazowo.

Człowiek jest zmuszony porzucić dom i swój klimat, żeby odbyć leczenie – tak powstały sanatoria.

Człowiek jednak może być samotny w wielkim mieście, zapomniany, porzucony i odrzucony. Takimi ludźmi opiekuje się Jezus osobiście, posyłając im swoich pomocników.

Może to być „paszczak”, czyli opiekun muminka, może to być wolontariusz w Monarze lub w hospicjum. Może to być brat albertyn, albo siostra kalkutka.

Możesz nim być i ty sam wedle zasady św. Franciszka, który modlił się do Pana o łaskę bycia narzędziem bożego pokoju.



W Taszkencie pracują siostry Matki Teresy z Kalkuty. Dwie siostry przybyły z Polski, dwie z Indii, jedna z Włoch i dwie z Afryki. W klasztorze obowiązuje język angielski i gdy przyjeżdżamy do nich odprawiać, to musimy się modlić w tym języku. Niektóre z sióstr już troszeczkę znają język uzbecki, inne komunikują się

po rosyjsku. A najważniejszy jest język miłości, to znaczy dobre uczynki, które te siostry sprawują, zwłaszcza... na cmentarzu.

Niedaleko ich klasztoru jest prawosławny cmentarz, na którym osiedlili się bezdomni. Prawosławni na mogliły swoich zawsze przynoszą słodczyce. To staje się pokarmem dla podopiecznych naszych sióstr. Ludzie ci mogą w domu sióstr nie tylko zjeść, ale też wyprać cuchnącą odzież.

Pomagając siostrą w prowadzeniu katechezy dla bezdomnych w Uzbekistanie, przypomniałem sobie, czym zajmowałem się na Ukrainie. Tutaj wszystko jest jednak dużo prostsze. Siostry same gotują i sprzątają. Ja mogę całkowicie oddać się obecności przy nieszczęśliwych.



Mój nauczyciel uzbeckiego miał przyjechać z rana do sióstr Matki Teresy. Miałem go przedstawić przełożonej s. Tereni, bowiem jest zapotrzebowanie na naukę języka, również w gronie sióstr. Odprawiłem poranną liturgię, wypłem kawę i cierpliwie czekałem na nauczyciela. Zadzwonił mi, że się spóźnia, bo na „punkcie kontrolnym” na granicy miasta wszystkie samochody są zatrzymywane i kolejka do Taszkientu jest ogromna. Tu zaznaczę, że nauczyciel dojeżdża z sąsiadującej z Taszkientem wioski. Jest to rozgarnięty, 25-letni chłopak. Ma na imię Saken. Niezwykle ambitny i bardzo biedny. Starszy brat alkoholik w przeddzień narodzin pierwszego syna próbował wygnąć Sakena z ciężarną żoną na ulicę. Lekcje dla sióstr to również forma pomocy. Był zadowolony i bardzo wdzięczny.

Właśnie zaczynało się „śniadanie” a właściwie obiad dla biednych. Przyszło troje wolontariuszy z taszkienckiej parafii, więc i mnie wzięła ochota, by nie siedzieć bez pracy. Pomagałem skrobać ziemniaki, roznosić makaron z sosem na dużych cynkowanych miskach, potem na prośbę sióstr miałem krótką katechezę i nareszcie zabrałem się z siostrami za mycie naczyń w chlorowanej wodzie. Wszystko było mile i spontaniczne.



Bezdomni przyjęli moją obecność tak naturalnie, że przełożona niewiele myśląc zaproponowała, bym wziął dyżur w kuchni w każdą środę i wygłaszał wtedy krótkie katechezy biblijne. Zapytała biednych, co oni na to? Potwierdzili, że chcą. Wśród tych osób rzucił mi się w oczy Denis, czterdziestolatek, z wyglądu

lat 60. Nieposłuszny i szczególnie kapryśny gość. Chory na AIDS i potrzebujący ciągłej opieki. Tym razem chodziło o jakiś zastrzyk i siostry posłusznie wezwały pogotowie.

Inny człowiek, który przykuł moją uwagę to wysoki przystojny pan na wózku inwalidzkim, który stracił władzę w nogach na skutek bójkę po pijanemu. Mój rówieśnik, a życie dla niego jakby się skończyło. Domyślam się, że nie ma domu, jak Denis i większość osób odwiedzających dom sióstr. Przychodzi tutaj razem z małżonką.

Siostry przedstawiły mi jeszcze jedną parę w moim wieku. Zabiedzeni, ale czysto ubrani, ponoć mieszkają po sąsiedzku we wnęce pomiędzy dwoma garażami, bez elektryczności i toalety. Mądre, myślące twarze. Kobieta w ciąży, na szyi i na czole dwa liszaje od przeziębienia. Wspominali anormalną zimę sprzed 2 lat, gdy było po 30 stopni mrozu i nie wystarczała temperatura ich własnych ciał, by się nocą ogrzać. Niesamowite jest, że tacy ludzie mają chęć słuchać Pisma św. i katechazy. Gdy zakończyłem, jeszcze pół godziny zasypywali mnie pytaniami. Myślący, prawdziwie myślący ludzie...



Jeden z najbardziej charakterystycznych podopiecznych sióstr to chłopak, który ma połamane obie ręce. Jedną nosi na sznurku od 2 lat, a druga stała się bezwładna parę miesięcy temu. Uszkodzenia są mechaniczne, po prostu człowieka ktoś pobił. Nielezione, obie stały się bezwładne. Siostry zapłaciły za drogą operację, żeby choć jedną ręką mógł władać i jeść. Całkiem przypadkiem dowiedziałem się, że ten chłopiec uczył się przez 4 lata i praktykował, by zostać pastorem. Gdy przemawia, to rzeczywiście jest w jego słowach pewna wiedza. Siostry jednak mają kłopot, bo bez powodu ze szpitala ucieka i czasami bredzi. Lekarze stwierdzili u niego schizofrenię.



Dwoje z pacjentów z jakimi mam do czynienia wyznało, że są zarażeni AIDS. Jeden z nich przesiedział w więzieniu połowę życia, a mimo to na jednej z katechez wyrecytował z pamięci cały psalm. Wygląd ma ten człowiek zniszczony, ale swej godności nie stracił. Czasami nie mogę się nadziwić, jak ci podopieczni sióstr są piękni.

Lena, również z AIDS. Przez parę dni obserwowałem jej odejście. Podziwiałem, ile miłości i samozaparcia mają siostry do takich ludzi. Od tego 40-letniego szkieleciku po prostu cuchnęło, bo gniły piersi i odleżyny na pośladkach. Gdy umarła, odetchnęliśmy z ulgą, bo to był zapewne najszczęśliwszy dzień jej życia. Nazajutrz był piękny pogrzeb. Siostry wydały na to sporo pieniędzy – cmentarz jest 30 km od Taszkientu, więc sam mikrobus sporo kosztował. Potem miejsce na cmentarzu, zakup trumny, wszystko to załatwiały siostry, bo konkubent Leny to ślepy alkoholik, który w dzień pogrzebu też był pijany.



Jeden z ciekawszych moich rozmówców to Dima, który był w Afganistanie na wojnie i tam się rozpił. Z jego zachowań oficerskich została głównie... chęć słuchania kazań. Zawsze miał jakieś pytania i komentarze. Przez alkohol został najprawdopodobniej wyrzucony przez żonę z domu i stoczył się do poziomu bezdomnego.



Każdorazowo na spotkaniu z bezdomnymi (w Taszkencie dwa razy w tygodniu) starałem się poruszać jakiś bieżący temat roku liturgicznego albo ważne miejsca z Biblii. Bywało też tak, że oni sami wybierali temat.

Pewnego dnia jedna z kobiet tak strasznie klęła, że temat spotkania sam się narzucił. Powiedziałem tej kobiecie, że korzeń rosyjskiego przekleństwa leży w tym, że przeklinając wyzywa się matkę partnera rozmowy. Powiedziałem, że przekleństwa wracają jak bumerang do ich autora. Dałem przykład Joanny d'Arc, która twierdziła, że jeśli żołnierze nie przestaną kląć, to stuletniej wojny z Anglikami nie wygrają. Od tej pory widzę tę kobietę często, czasami jest pijana, ma podbite oczy, ale nie słyszę, by głośno przeklinała na podwórku u sióstr.



Pośród kobiet, które – poszukując pomocy – często odwiedzają klasztor sióstr, była pewna emerytowana dziennikarka, która na lewej ręce zawsze nosiła rękawiczkę, bo jak mówiła „ręka oniemiała” i nie sposób nią poruszać. Z tą dziennikarką mieliśmy kiedyś dłuższą rozmowę w górach. Nie pytałem, dlaczego

jest teraz biedna i bezdomna, skoro miała taką dobrą pracę w radio. Domyślałem się, że oddała dom komuś z krewnych, a ci pozbawili ją środków do życia. To znany tu scenariusz. Mógł też jakiś oszust wyłudzić od niej dom. Mogła również wszystko stracić przez alkohol. Jednak temu zaprzeczały – jej pogodna twarz i jasne, czyste spojrzenie.



W trakcie wyjazdu poza miasto, kiedy to siostry zdecydowały się wywieźć naszych podopiecznych na łono przyrody, miałem okazję przysłuchiwać się rozmowie dwu bezdomnych. Jeden z nich, jak się okazało, był w przeszłości alpinistą. W trakcie pobytu w górach zamiast podziwiać piękno krajobrazów, on głowy nie wytykał z książek. Bardzo różni ludzie stają się bezdomnymi. A alpinizm to taki prestiżowy sport w Uzbekistanie, zajmuje się nim przede wszystkim postsowiecka „arystokracja”.

W naszej wycieczkowej grupie był dziadek Tadżyk w narodowym stroju. Tadż znaczy korona, Tadżycy rzeczywiście mają się za ludzi szlachetnych. Język i kultura tego narodu dominowały w Uzbekistanie w kręgach ludzi wykształconych. Wiele osób w Uzbekistanie, zwłaszcza mieszkańcy Samarkandy i Buchary, dwu starych stolic, jest dwujęzycznych, ale wolą na co dzień mówić po tadżycku. Tadżycy ubierają się tak samo jak Uzbeki, czyli na nogach skórzane lekkie buty bez twardej podeszwy. Szarawary wpuszczone w buty, długi szary chałat i tubte na głowie. Dziadek Tadżyk nie tracił czasu – zbierał dzikie owoce z drzewa, w cieniu którego siedzieliśmy.

W drodze powrotnej odwiedziliśmy cerkiew. Opowiedziałem bezdomnym o znaczeniu ikon i sposobie zachowania się w cerkwi, a siostra tymczasem kupiła 20 świec, żeby każdy z nich mógł postawić świecę w swoich intencjach. Na podwórku odmówiliśmy jeszcze Koronkę do Miłosierdzia Bożego i wracaliśmy do domu w królewskich nastrojach.



To, że pacjenci sióstr bywają skrajnie niewdzięczni to cała historia. Matka Teresa wypowiedziała się kiedyś na ten temat: „Jeśli za spełniony dobry uczynek ktoś cię zwymyślał lub wyszydził dziś, to się nie przejmuj, jutro zrób to samo, zrób dobry uczynek”.

Siostry z Tomska znalazły dziadka z odmrożonymi nogami. Zaczęły go leczyć na swój koszt. W szpitalu amputowano mu część stóp. Gdy pytały, gdzie mieszka, powiedział, że pochodzi z Aszchabadu i chce tam wrócić. Pociągów z Tomska do Aszchabadu nie ma. Siostry więc odprawiły go do Taszkientu i zadzwoniły do naszych sióstr, by pomogły mu podróżować dalej. Okazało się, że i tutaj nie ma bezpośrednich połączeń. Pomogłem więc w znalezieniu ludzi z przygranicznego Urgenczu, a ci zobowiązali się dotransportować go na turkmeńską granicę i kupić mu bilet do Aszchabadu. Widziałem dziadka, jak wyzywał siostry od najgorszych, dobrze, że słabo rozumieją rosyjski. Zarzucił nawet siostrom, że go okradły. Coś takiego wymyśleć mógł tylko chory psychicznie człowiek.

Siostry cierpliwie dowiozły go na dworzec, posadziły w pociągu, a po dwóch dniach ... dziadek był już u nich z powrotem, prosząc by go dostarczyły tam, skąd wzięły, czyli do Tomska. Okazało się, że do przekroczenia turkmeńskiej granicy potrzebna jest wiza, a on wizy nie miał. Miał za to tym razem dobry humor. Co go wprawiło w taki nastrój, trudno pojąć. Być może nikt w życiu tak mu nie nadszkakiwał. Ja bym z takim dziadkiem pewnie i pół godziny nie wytrzymał, a one spędziły z nim kilka dni w Taszkencie i nie mniej w Tomsku. Mimo wszystko żał człowieka, bo z trudem się trzymał na nogach.

Zdawałoby się, wszystko na próżno. Gdyby jednak uważnie wsłuchać się w wypowiedź Matki Teresy na temat dobrych uczynków, to widocznie tak właśnie miało być.



Ta historia wydarzyła się w tej samej dzielnicy gdzie mieszkają siostry. Na marskość wątroby zachorował pewien felczer w wieku 30 lat. Wiedział, że jego stan jest beznadziejny, a mimo to pił codziennie. Sprzedał wcześniej swój dom i przeniósł się do matki alkoholiczki, więc oboje mieli za co pić. Brzuch choremu się tak rozdał, że musiał spać na podłodze. Nie mieścił się na łóżku. Wył z bólu i wyzywał odwiedzających. Miał trochę respektu dla sióstr, które przyszły do szpitala, żeby go odwiedzić. Poprosiły mnie jako tłumacza, więc całą tę historię znam z bliska. Pierwszy lekarz w najbliższym szpitalu popatrzył na pacjenta i powiedział, że w tym stanie został mu tydzień życia. Jeśliby wykonać specjalistyczny zabieg, to może pożyje 3 miesiące. Siostry chciały mu przedłużyć życie i były gotowe zapłacić za zabieg, ale drugi szpital specjalistyczny na Czellanarze, do którego nas skierowano, odmówił przyjęcia. Polecono nam trzeci



szpital na nowym „Taszmi”. Chory Wasyl bardzo się zmęczył tymi podróżami od szpitala do szpitala i zaczął kłąć jak szewc. Powiedział do mnie, że nic mu nie trzeba, że on jako felczer wszystko rozumie, co się z nim dzieje, i że sam by nie przyjął takiego pacjenta w czasach, kiedy pracował na pogotowiu.

Zgodnie z prognozą lekarza, po tygodniu Wasyl umarł w strasznych mękach. W tym czasie siostry odwiedzały go w domu codziennie, modląc się za niego. Ja byłem wtedy na Tajwanie. Gdy wróciłem, dowiedziałem się, że wielokrotnie pytał się o mnie. Odprawiliśmy uroczystą mszę, na którą przyszła matka i jej drugi syn.

Zapraszali mnie później kilkakrotnie na pogawędkę i na kolędę. Gdy pewnego razu opowiedziałem im, że mam kłopot ze znalezieniem stancji dla parafianina z odległego Angrenu, powiedzieli, że może u nich pomieszkać w pustym pokoju zmarłego Wasyla. Pomyślałem, że ten zmarły, może gdzieś w czyścicu okazuje siostrom wdzięczność.



Od pewnego czasu w każdą niedzielę siostry urządzały zabawy i posiłek, wyłącznie dla dzieci. Z czasem tych imprez było coraz więcej: Boże Narodzenie i Wielkanoc z podarkami, a latem półkolonie w kościele. Władze uzbeckie są w takich sprawach bardzo restrykcyjne i nie pozwalają na takie akcje. W Ferganie milicja zabroniła karmienia dzieci przy parafii. Nie wiemy, jak długo się uda prowadzić nasze akcje w Taszkencie. Tym niemniej, na razie to trwa.

Pewnego razu jedna z siostr odpowiedzialnych za dzieci zadzwoniła do mnie, bym przyszedł na pogrzeb. Zamordowano jedno z dzieci, które chodziły na półkolonie. Chłopiec miał przyjść na spotkanie do kościoła, ale tego dnia odwiedziła ich babcia z sąsiedniego miasta Czyrczyk i postanowiła zabrać do siebie w gościnę. Maksym miał 13 lat. Bywał już u babci, więc się chętnie zgodził. Ona była Rosjanką a dziadek Uzbekiem. Tamtego wieczoru odwiedzili go koledzy alkoholicy i zaczęła się pijacka kłótnia. Ktoś z nich dusił dziadka, a babcia rzuciła się na pomoc. Pijacy zaczęli dusić babcię, więc chłopiec jej bronił. Zaduszono więc i chłopca. Przypadkowym świadkiem była dziewczynka z sąsiedztwa, która zgłosiła zdarzenie na milicji. Morderców złapano, jednak życia trojgu ludziom nie przywrócono.

Czekaliśmy na zmarłych koło biednej glinianej lepianki. Dziadka pochowano w Czyrczyku wedle muzułmańskiego zwyczaju, babcię i wnuka przywieziono zawiniętych w całun na tylnym siedzeniu osobowej Wołgi. Mieli sine twarze, ale

chłopiec jakby się uśmiechał. Umarł jak bohater. Modliłem się na podwórku przy otwartych trumnach, a w sąsiednim pokoju słychać było, jak wyje ojciec dziecka. Najprawdopodobniej upił się, więc i nie poszedł z nami na cmentarz. Większość formalności tym razem załatwiały nie siostry, a pewna kobieta, wierząca protestantka z podziemnej wspólnoty. To ona opłaciła transport i oddała swoje miejsce na pobliskim cmentarzu. Na pogrzeb przyjechała cała klasa, wychowawczynie i dyrektorka szkoły. Opowiadały mi, że chłopiec był uczynny, a rodzice, choć alkoholicy, dość spokojni i dobrzy.

Na cmentarzu zwróciłem się ze słowem do zebranych dzieci tłumacząc im, że ich kolega został zabity przez alkoholików i wnioskiem z tego pogrzebu powinno być postanowienie, żeby nie pić. Dorosłym trudno takie postanowienie zrobić, a dzieci mogą bez trudu.

Bardzo długie kazanie wygłosił, wymachując Biblią, pastor z tej wspólnoty, która zorganizowała pogrzeb. Było mi głupio, bo pastor mówił nie na temat – po prostu nachalnie agitował. Zrobił coś, na co nigdy nie pozwalają sobie nasze siostry. One nie dbają o to, czy ich dobre czyny przyniosą natychmiastowy skutek misyjny czy nie. Nie wymagają od ludzi, którym pomagają, żeby w ten sam dzień przychodzili do kościoła. Pastor natomiast bombardował ludzi tego rodzaju pretensjami. Po pogrzebie podszedł do mnie i się przedstawił. Próbował nawiązać rozmowę, ale ja byłem przybity tą ceremonią i jego zachowaniem.

Po pewnym czasie byliśmy z siostrami znowu w tym domu. Odmówiliśmy krótką modlitwę, a nazajutrz Maksym mi się przyśnił, jak stojąc nad pięknym jeziorem macha do mnie ręką i się śmieje. Młodszy brat Maksyma chodzi regularnie do kościoła. Mało tego, przyprowadził też kilka koleżanek. Nie wiem, czy to zasługa kazania pastora, myślę, że raczej dobroć sióstr i cicha obecność w trudnej chwili sprawiły, że dzieci w kościele przybyło. Po 9 miesiącach od tego pogrzebu grupa 12 dzieci przyjęła w kościele chrzest.



Firuzą przez pewien czas uczyła mnie uzbeckiego. Mieszkała niedaleko sióstr. Uczyła języka, ale i wiele opowiadała, nie tylko o Uzbekach, ale i o Tadżykach, bo Tadżykiem był jej tato, wysoko postawiony urzędnik, minister. W dzieciństwie Firuzą mieszkała w Kabulu, bo jej tato pracował wtedy w sowieckiej ambasadzie. Dzięki temu знаła tamtejszy język i obyczaje. Tato, otrzymawszy wysokie stanowisko w niepodległym Tadżykistanie załatwił córce studia i praktykę w Wielkiej

Brytanii. Angielskim włada więc wyśmienie. Niedługo po jej powrocie do Duszanbe, dokonął się tam przewrót. Jej rodzina musiała emigrować – uciekli do Uzbekistanu tak jak stali, bez pieniędzy i dokumentów. Ledwie uszli z życiem. Tato za jakiś czas zmarł. Firuza wyszła za przypadkowego człowieka, byle mieć dach nad głową, urodziła chłopca o imieniu Czyngiz. Drugie małżeństwo też było nieudane. Kobieta, która mogła żyć niczym księżniczka, teraz przychodzi do siostr prosić o chleb dla swych dwóch synów.



Do siostr przychodzi po chleb również kobieta o imieniu Chalida. Na co dzień pracuje przy myciu zwłok – jest to zajęcie, które daje jakiś dochód. Dzieci jest sporo a mąż zmarł, był od niej dużo starszy. Chalida nie ma stałego domu w Taszkencie i mieszka z dziećmi gdzie popadnie. Dziesięcioletni syn Chalidy ma wielką szramę na twarzy. Nie znam historii tej rany, wiem natomiast z licznych rozmów z kobietą, że zmarły ojciec często się chłopcu śni i woła do siebie. Chłopiec, jak mówi Chalida, już trzy razy próbował się zabić. Nie pytałem o szczegóły, ale wiele mówiące są gesty. Gdy ten chłopiec widzi mnie, biskupa albo kogokolwiek z księży, podchodzi i bezceremonialnie obejmuje nas, szukając po sierocemu ojcowskiego ciepła.



Prócz codziennego karmienia biednych i wizyt domowych, siostry mają pod opieką grupę ubogich osób które są luźniej związane z klasztorem i regularnie otrzymują produkty żywnościowe. Dla nich również siostry urządzą swego rodzaju zabawy świąteczne.

Pamiętam zebranie takich osób na Boże Narodzenie, na którym śpiewaliśmy kolędy i piliśmy herbatę. Na zakończenie każdy miał sobie wylosować podarek. Były tam rzeczy użyteczne i pluszowe zabawki oraz dewocjonalia. Każda rzecz miała numer i stała na widoku. Ci biedni widzieli, co można dostać, ale musieli najpierw opowiedzieć coś ze swego życia lub zaśpiewać jak to bywa na „mikołajkach”. Ja wręczałem podarki i widziałem, jak pewna starsza osoba się niecierpliwi. To była Uzbekka, ale co chwila, jak małe dziecko, wzywała imienia Jezusa i modliła się głośno, by dał jej wielkiego pluszowego misia. Misia dostał ktoś inny, a babcia dostała pieska. Była niepoczyszona, a ja sobie myślałem, że

w rzeczy samej do końca życia jesteśmy dziećmi, a siostry w tym mieście występują również w roli nianiek.



Para, która często bywa u sióstr, wyróżnia się lepszym od pozostałych ubiorem i tym, że nie widziałem ich pijanymi. Są małżeństwem i mają dziecko, które najprawdopodobniej państwo im sądownie odebrało. Nie pracują, a śpią w metrowej szerokości szczelinie między garażami. Muszą być bardzo zahartowani, skoro przez lata trwają. Ich twarze są pocięte zmarszczkami i bliznami. Starzeją się w przyspieszonym tempie, ale widać, że się kochają i to im ułatwia tę wędrówkę donikąd.



Wiele osób, o jakich tu piszę, już nie żyje, albo za chwilę umrze. Odchodzą tak szybko, że ani się obejrzyysz, już kogoś z nich nie ma. Chłopak, który zmarł ponad rok temu, był przynoszony lub przywożony. Najczęściej robiła to jego konkubina, z którą się często publicznie kłócił. Wysoki, pod czterdziestkę, z dziecięcą naiwną twarzą, opowiedział mi swoje życie nie skrywając szczegółów, mimo że nie była to spowiedź.

Mówił, że miał wredny charakter i bez powodu zaczepiał ludzi. Pewnego razu pobili go tak dotkliwie, że stracił władzę w nogach. Lekarze nic nie mogli pomóc. Zaczął chodzić do różnych kościołów i tam uwierzył w Jezusa. Nie tylko uwierzył w dobrą przyszłość, ale też w swoje uzdrowienie. Gdy mi to opowiadał, miał taki dziecięcy i dobry wyraz twarzy, że chciało się go przytulić i powiedzieć: „masz rację, to już będzie wkrótce”. I było. Dosłownie kilka tygodni po naszej szczerzej rozmowie chłopak zniknął na zawsze. Nie mam wątpliwości, że tam ma dobrze i już nie jest żadnym inwalidą. Jego wiara go uzdrowiła.



Rzeźbiarz, u którego byłem na kolędzie, miał również problem z chodzeniem. Pobito go przed świętami. Jego konkubina miała jakieś 20 lat więcej od niego. Siostry wspominały, że chcą wziąć ślub kościelny. Dziwiłem się naiwności naszych sióstr. Ci dwoje wcale nie przypominali pary, która rokuje na długo, a przecież

ślub jest jeden na zawsze. Siostry pokazały mi jego dom. Gdy przyszliśmy, chłopak wyciągnął spod łóżka gipsowe formy i pokazał mi wiele swoich dzieł. Kiedyś lepił głowę Lenina, teraz rzeźbi krzyże. Sprzedaje je i z tego żyje. Rzeczywiście człowiek z talentem, ale oboje piją i dom, w którym byłem, nieomal bez mebli, też planują sprzedać, by... dalej pić.



O tym, że bezdomni kradną, wiem z poprzednich miejsc pracy. O tym, że się tego nie wstydzą – też wiem. To jednak, że o tym chcą rozmawiać, było dla mnie nowością. Nie ciągnę ich przecież za język, a jednak tacy ludzie mają naturalną potrzebę spowiedzi i im dłużej żyję, to przekonuję się o konieczności stworzenia dla nich jakiegoś specjalnego duszpasterstwa. Oni kradną, by przeżyć do następnego dnia i nie robią zapasów. Wina za te czyny jest inna, niż w sytuacji kradzieży dla zysku. Tym niemniej potrzeba oczyszczenia się z tych win jest paląca.



Pewien młody bezdomny z uzbeckimi rysami twarzy podszedł do mnie po katechezie i poprosił, bym go ochrzcił. Powiedziałem, że to rozważę i odpowiem mu przy następnym spotkaniu. Opowiedziałem o tym siostrom. Ucieszyły się, że sprawa wyszła oddolnie. Od dawna chciały podjąć ten temat, ale nie wiedziały w jaki sposób. Na następny tydzień siostry planowały dla chętnych dzień skupienia – jako temat wybraliśmy „chrzest Korneliusza”. Rozważanie tego tekstu w grupach, potem na osobistym rozmyśleniu, adoracji i podsumowaniu, zajęło pół dnia.

Ludzie mieli czas, by rozważyć pytanie: „czy ja naprawdę chciałbym się ochrzcić”. To, o czym miałem mówić z jednym chłopcem, stało się tematem głębokiej rozmowy dla 16. osób. W trakcie dnia skupienia trzy kolejne osoby przyznały się, że myślały niegdyś o tym, by się ochrzcić, ale nie doszło do realizacji. Teraz jest szansa. Siostry postanowiły, że takie „chrzcielne dni skupienia” będą raz w miesiącu. Kto wytrwa do końca na tych katechezach, ten ma szansę na przyjęcie do wspólnoty kościelnej.

## Uzbeckie kolędowanie

Dla mnie to była już osiemnasta wigilia za granicą. Powoli zapominam JAK TO SIĘ ROBI... w OJCZYŹNIE.

W mojej parafii w górach Tien-szan świętowaliśmy 14 godzin, od czternastej do czwartej rano. Gdyby jednak dodać rekolekcje, to właściwie 4 doby. Trzydniowe rekolekcje sam głosiłem od poniedziałku do środy. Przychodziło najpierw 5 osób, potem 4 a na koniec 12.

Przyjechałem do Angrenu w samo południe w poniedziałek i pozostałem do środy do późnego wieczora.

Jedno kazanie rekolekcyjne w dzień dla kilkorga osób to nie wyczyn; trzeba było się zająć jeszcze innymi sprawami. Kupiliśmy piecyk żelazny – „burzujkę”, by ogrzać kaplicę. Tydzień temu odłączono nas od ciepłowni. Trzeba było kupić węgiel i gaz butlowany. Troszkę udekorować kaplicę. W centrum na samym ołtarzu niewielka choinka, oczywiście sztuczna, bo minęły te czasy, gdy masowo sprowadzano choinki z Syberii. Tutaj na skwarnych stepach one nie rosną.

Odwiedziłem dziadka Jurija Divivieux, nadwołżańskiego Niemca i naszego sąsiada, który mając 15 lat trafił na przymusowe roboty w kopalniach węgla i z tamtych czasów zachował okaleczenia prawej nogi. Ma 81 lat i drugą żonę z Murmańska. Nazywamy ją ciocia Asia, w rzeczywistości Anastazja. Jest kuzynką prezbitera jehowitów, ale do nas, tak jak Jurij, ma stosunek bardzo przychylny.



Przez cały tydzień zbierałem zaświadczenia lekarskie, recepty i inne papierki potwierdzające liczne schorzenia moich parafian, którym francuski Caritas przekazał pewną ilość środków na zakup lekarstw i opłatę operacji. Okazało się, że mam – jak św. Wawrzyniec – bardzo bogatą parafię. Trzy babcie mają kataraktę oczu, jedna ma raka kolana, inna choroby kobiece, a najaktywniejszy parafianin, na pół Ukrainiec, na pół Uzbek leczy się drogimi specyfikami, by nie dopuścić do powrotu gangreny, która rok temu zaatakowała mu nogę.

Na listę chorych, których wsparł Caritas na święta, oczywiście wpisałem dziadka Jurija. To jedyny w naszej wspólnocie, świadomy od dziada pradziada, katolik.

Inny nasz parafialny Niemiec, Sasza Niderquell opiekuje się kaplicą, mieszka w niej i radzi mi w sprawach domowych. Jako elektryk z zawodu robi wszelkie

możliwe sztuczki z fazami różnych transformatorów z okolicy, by w domu od czasu do czasu było światło. To on mi pomagał wybierać i dostawić do domu żelazny piecyk – „burżujkę”. Gdyśmy ją pierwszy raz wypróbowali, cała parafia zebrała się wokół pieca, z zapartym tchem obserwując jak dymi.

MAMY NOWEGO PROBOSZCZA, zażartowałem, gdy poszedł biały dym.



Znowu chodziłem do urzędu miejskiego szukać nowych miejsc pod kościoł. Powiodło mi się w tym sensie, że witając się z pełniącym obowiązki głównego architekta pulchniutkim jegomościem o imieniu Muzafar, po raz pierwszy spróbowałem kilku słów uzbeckich. Grzecznościowa forma przy powitaniu jest bardzo długa i brzmi mniej więcej tak: „Salom Alejkum. Men syznekurgyanym-danxursandman” (miło mi Pana widzieć).

Urzędnik uśmiechnął się, odpowiedział „MeningXam...” (mnie też). Ruszył się ze swego gabinetu i poznał mnie z Rosjanką, jedyną, jaką widziałem w urzędzie, która zarządzała Miejskim Oddziałem Kultury. Wyjaśniła nam obu, że budynek domu kultury, który mer miasta (Hakim) od roku proponował nam wykupić, nie jest na sprzedaż, ponieważ prawo zabrania handlować mieniem oddziału kultury.

Korzystając z okazji zapytałem, czy istnieją w mieście stowarzyszenia mniejszości niemieckiej lub polskiej (to zawsze ułatwia pracę na początku formowania katolickich wspólnot). Gdy zaprzeczyła, zapytałem: „wobec tego jakie macie tu mniejszości?” Pani bez namysłu odpowiedziała, że jest towarzystwo rosyjskie i białoruskie. Przy okazji poinstruowała mnie, że Rosjanie są prawosławni i już miała zamiar to samo powiedzieć o Białorusinach. Przerwałem jej prośbę o numer telefonu przewodniczącej ziomkostwa białoruskiego.

Jeszcze tego samego dnia poznałem panią Wierę Jakowlewną. Przez telefon bezbłędnie nazwała mnie księdzem (miejscowi mówią na nas „swiatoj otiec”, lub „batiuszka”, czy w najlepszym wypadku „pastor” lub „padre”). Zdała egzamin na białoruskość. Nasi sąsiedzi, jakiego by wyznania nie byli, o kościele katolickim wiedzą dużo i jak się przekonałem, są chętni do współpracy. Zostałem zaproszony na noworoczny bankiet, a także dostałem poradę w sprawie poszukiwanej lokalizacji. Pani Wiera, która prowadzi niewielki biznes farmaceutyczny i sama niedawno szukała lokalu, znała w mieście wszelkie pustostany i poradziła mi obejrzeć porzucone przedszkole niedaleko naszej obecnej kapliczki.

To był dla mnie najlepszy podarunek wigilijny.



Nasza pierwsza pasterka – obecni byli najstarsi parafianie, którzy nie planowali przychodzić nocą. Wszyscy, razem z młodzieżą i dwoma pastorami baptystami, razem około 16 osób, zasiedliśmy za stołem w kuchni parafialnej. Było 12 dań. Sześć parafianek przygotowało je w domu, każda po 2 dania. Co nieco odgrzaaliśmy i przeplatając kolędami, jedliśmy do godziny piątej wieczór. Oplatek był na koniec. Wtedy starszankowie się rozeszli, a młodzież pozostała obejrzeć film o Jezusie. O szóstej wieczór przyjechał busik, który 14 osób zabrał na nocną pasterkę do odległego o 120 km Taszkientu.

Najpierw wspólnie zwiedzaliśmy kościół w centrum. Potem była jeszcze jedna kolacja i film. O 23. młodzież z Taszkientu odśpiewała nam kolędy. Gdy o północy zaczynała się pasterka, w kościele zgromadziło się około 400 osób, co jest prawdziwym sukcesem, bo w tak wielkim mieście katolików mamy zaledwie ok. 300, więc przyszło przynajmniej 100 osób z innych kościołów i wyznań.

Msza św. trwała 2 godziny. Celebrował ks. biskup, który mieszka razem ze mną przy taszkienckiej katedrze, ks. proboszcz – franciszkanin i wikariusz. Odprawiało się w kilku językach. Głównie po rosyjsku, bo uzbecki język jest zarezerwowany tutaj dla muzułmanów. Władze sobie raczej nie życzą, byśmy nawracali Uzbeków. Czytania były po angielsku, koreańsku i po polsku. Biskup prosił, bym przetłumaczył jego kazanie z rosyjskiego na angielski, co uczyniłem z satysfakcją, bo lubię ten język. Po mszy św. moi parafianie powrócili busikiem do Angrenu. Ok. 4 nad ranem byli w domu.

Wraz z ks. biskupem i innymi kapłanami zasiedliśmy wreszcie do świątecznej kolacji, która trwała do 6 rano. To właśnie za tym całonocnym stołem świątecznym o. Lucjan wyznał, że już 22 lata nie był na święta w gronie rodzinnym. Ja też policzyłem i wyszło mi lat 18.



Po raz pierwszy wczytałem się w sens słów, jakie w zakrystii siostr wiszą od dawna. To wypowiedź Matki Teresy: „Kapłanie boży, postaraj się odprawić tę mszę św. tak, jakby to była twoja prymicja lub jakby to była twoja ostatnia msza święta, albo jedyna msza św. w twoim życiu”. Myślę, że dobrze zapamiętałem sens tego, co czytałem. Już wiele razy odprawiałem u siostr, a dopiero teraz do mnie doszło, jakie też wielkie wymagania miała co do nas ta wspaniała siostra – święta.



Moja znajoma z internetu, dowiedziawszy się o tym, że jest chora na złośliwego raka, napisała mi, że właśnie tak się przygotowuje do wigilii, jakby to miała być jej ostatnia. Jednak ma nadzieję, że ciąg dalszy będzie w niebie i że czeka tam na nią pusty talerzyk. Ja jej odpowiedziałem, że w niebie rzeczywiście jest sporo pustych talerzy. Te nasze czekają, kiedy przybędziemy, by zasiąść do uczyty razem z mnóstwem znajomych i bliskich z rodzinnych albumów i z encyklopedii.



Fajerwerków było sporo i to bezpłatnie. Chińska granica przebiega gdzieś ok. 500 km od Angrenu, więc miasto rozbłysło od tanich sztucznych ogni i petard. Mogłem ten dzień spędzić w Taszkencie, nikt mnie nie wyganiał, tym niemniej jako proboszcz angreński postanowiłem się udać do swoich, oczywiście za zgodą biskupa. Nowy rok przesiedziałem u dziadka Jurija Divivieux, babcia Asia zrobiła uralską rybę w cieście. Cały tydzień noworoczny kołędowałem w Angrenie i w Almałyku.



Rankiem pierwszy autobus z Angrenu wyruszył dopiero o 8.30, więc sterczałem na dworcu sporo czasu razem z grupą rybaków i zaspanej młodzieży, która wracała do Taszkientu. W Almałyku autobusy miejskie też chodziły słabo. Pogoda była przecudna, więc zrobiłem sobie 40 minutowy spacer.

Miasteczko Almałyk – po uzbecku właśnie tak brzmiałaby nazwa naszego „Jabłonowa” (olma – jabłko). Ponoć łatwo tu znaleźć pracę, ale trudniej z kupnem mieszkania i panuje drożyzna ze względu na bliskość stolicy.

Babcia Henia, którą odwiedziłem jeszcze przed wigilią, nie była u spowiedzi 62 lata. Wszystkie te lata – jak sądzę – tęskniła za kościołem i za kapłanem. Pierwszego razu podarowała mi skarpety, na ten raz dorzuciła sweter. Zaśpiewaliśmy kilka polskich kolęd. Gdy zaproponowałem wspólne śpiewanie po rosyjsku, Helena, córka Henryki zaprotestowała i mimo, że nie zna polskiego, prosiła bardzo byśmy śpiewali w tym języku. W ten sam dzień przed południem gościłem u Andrzeja. Chłopak ma ponad 20 lat, jego młodszy brat około dziesięciu. Mama poszła do pracy, więc byliśmy we trzech. Andrzej pochwalił się zdjęciami z Niżnego Nowgorodu. Poznał tam ks. Mario, Argentyńczyka, który malował obrazy olejne i przebudowywał dawną parafialną stajnię na kościół. Andrzej pomagał

mu w budowie domu dla karmelitanek. Chłopak był, zdaje się, narkomanem, ale również dzięki kościołowi porzucił złe nawyki. Nie udało mu się jednak zerwać z paleniem, zapach papierosów i wielka ilość popielniczek nadal dominowały w przestronnym mieszkaniu. Poświęcenie domu było zadaniem nieprostym, ale jakoś udało się stworzyć świąteczną atmosferę przy kubku kawy i tabliczce czekolady. Chłopak, z pochodzenia Tatar, wzruszył się wyraźnie. Bywał wielokrotnie w domu księdza Mario, nawet spotkał w Nowgorodzie kardynała Kaspera, ale w jego domu ksiądz z kolędą zagościł po raz pierwszy.



W Angrenie miałem 11 zaproszeń na wizyty w ramach kolędy... Połączyłem węzłem małżeńskim 3 pary. Dwie jeszcze się namyślają. Moi koledzy franciszkanie żartują sobie, że się po prostu wprosiłem do tych ludzi, ponieważ w latach poprzednich nie było tylu chętnych. Prawda jednak jest taka, że wcześniej kapłani mieli sporo obowiązków w Taszkencie i fizycznie nie udawało się im obejść wszystkich, którzy potencjalnie mogli zaprosić księdza.

Pierwsza para, której udzieliłem ślubu, korzystając z wyrozumiałości ks. biskupa (pozwolił mi ankiety przedmałżeńskie wypełnić *post factum*), swą chęć połączenia węzłem małżeńskim wyraziła *ipsa die* wieczorem po noworocznej mszy świętej. Pan młody pochodzi z Taszkentu i mieszkał niegdyś nad rzeką Salawat, niedaleko ruin naszego kościoła. Bywał w Niemczech i w Korei. Jego opowieści z podróży zajęły sporą część kolędy, ale – jak stwierdziła Irena, córka z pierwszego małżeństwa wdowy Walentyny – wszystko to było pouczające i potrzebne. Od Walentyny dowiedziałem się trochę szczegółów o życiu miejscowej wspólnoty prezbiteriańskiej, do której swego czasu należała. Grupa została zdelegalizowana ze względu na lekkomyślność pastora. Ponoć był zbyt surowy dla dzieci. Rodzice mu tego nie wybaczyli i ktoś oskarżył go o niemoralne prowadzenie. Prawda czy nie, fakt że człowieka deportowano i wielka parafia licząca ok. 1000 osób rozpadła się jak domek z kart.

Drugiego stycznia połączyłem węzłem małżeńskim parę osób pod 80. Pani młoda, Lidia, w przeszłości była pielęgniarką w jakimś kiszłaku nieopodal Andidżanu, stąd zna pięknie uzbecki, natomiast całkowicie nie zna polskiego, choć, jak wyznała, przodkowie byli Polakami. Małżonek – niewidomy Iwan z Barnaułu – sam poprosił, bym udzielił tego sakramentu. Małżonka jeszcze w październiku przekazała mu moją propozycję, by uzdrowić ich związek i dać

Lidii szansę korzystania z sakramentów. Świadcami byli ich opiekunowie – Jan-giboy, który ma kirgiskie pochodzenie i całkiem niedawno osiedlił się w Angrenie oraz jego małżonka Gulnara.

Lida poznała mnie z jeszcze jedną parą starszuchów z Barnaulu, w których rodzinie też byli przodkowie Polacy. Spotkanie wyszło dość sentymentalne. Były wspomnienia, polskie kolędy. Dostałem na drogę smaczne pierożki z kapustą i koreańskie kimczii.



Miała też miejsce kolęda u szczególnego parafianina, którego ojciec był Uzbekiem, a mama Ukrainką.

Zafascynowała mnie obecność w jego domu figurki Matki Bożej – Rosa Mistica. Okazuje się, że wiele lat temu ktoś z krewnych podarował figurkę na urodziny jego drugiej prawosławnej żonie i że trafiła ona do tego domu w czasach, gdy gospodarz był aktywnym członkiem wspólnoty baptystów. Na wszelkie uwagi ze strony skonsternowanych współbraci odpowiadał ze zniecierpliwieniem i złością. Doszło do tego, że dziś swoje przejście na katolicyzm wiąże z obecnością tej figurki w domu.



Pani Swietłana, niewysoka, najmłodsza i najbardziej rezerwowa parafianka wyliczyła, że ze swym mężem jest już 30 lat w związku małżeńskim. Jej mąż Michał, człowiek z poczuciem humoru, podobnie jak Swietłana nie gardzi kielichem. Spotkanie, choć zdawało się trudnym, poszło jak z płatka. Pani Swieta sama, bez mojej inicjatywy poprosiła o błogosławieństwo kościelne, a Michał nad wyraz emocjonalnie przeżył to zdarzenie. Obecna przy obrzędzie córka też wyraziła pragnienie, bym i do niej przyszedł z kolędą i udzielił jej ślubu.

We wszystkich trzech przypadkach udzielonych ślubów, mężowie do kaplicy nie chodzą i choć podczas kolędy obiecali się kiedyś zjawić, wiem z doświadczenia, że obietnice takie rzadko są wypełniane. Jednak kolejny rok czekania dla katoliczek z Angrenu, które wyznanie wiary wypowiedziały uroczystie około 3 lat temu w Taszkencie, byłby po prostu nadużywaniem ich cierpliwości.

Dotychczas wszystkie niedzielne msze św. przebiegały w „stylu monologu”. Komunię św. przyjmował kapłan, wierni byli niemymi świadkami misterium.

Teraz droga do Eucharystii dla trzech parafianek stanęła otworem. Przeszkód małżeńskich w żadnym z tych przypadków nie było.



Śnieg padał wielkimi płatkami, a tego wieczoru w drugim końcu miasta na kolędę czekała jeszcze jedna para. Ci jedyni znani mi młodzi katolicy, od roku nie chodzą do kościoła. Byli pierwszymi katolikami, którzy po latach przerwy (od czasu ks. Świdnickiego) zgłosili się do kościoła w Taszkencie i po długich przygotowaniach przyjęli chrzest i ślub kościelny, a potem zapraszali do siebie kapłana z mszą św. W trakcie kolędy wyszło na jaw, że młoda żona od jakiegoś czasu fascynuje się charyzmatykami pentakostalnej tradycji. Nie wiem, czy się nie spóźniłem? Kolęda wypadła dobrze i zdobyłem zgodę rodziców na to, by ich 9-letni chłopiec przygotowywał się do pierwszej komunii św.



Wydawało mi się, że jako proboszcz w Angrenie mam kolędować wyłącznie tam oraz w koreańskiej grupie, do czego miałem wyraźne wskazanie. Z czasem jednak okazało się, że w Taszkencie panuje „wolna amerykanka” – miejscowi parafianie zapraszają na kolędę kogo chcą, w tym ks. biskupa oraz braci z prowincji. Zacząłem więc również poszukiwać możliwości, by nadrobić utracone szanse. Poprosiłem znajomą panią Olgę, by zadzwoniła do grupy katechetycznej prowadzonej rok temu przez o. Andrzeja i zaproponowała w moim imieniu „kolędowe usługi”. Trzeba przyznać, kobieta wywiązała się wyśmienicie.



Wołodia to inżynier po sześćdziesiątce. Rozwiedziony, przygnieciony życiem. Z natury optymistą, choć w słowach daje się odczuć sporo goryczy. Starszy syn Denis miał wiele sukcesów w latach studenckich. Po ukończeniu nauki otwarcie nie podzielał, a wręcz wyszydzał ojcowski zapal do religii. Gdy koniunktura się zmieniła, Denis stracił pracę i chęć do życia. Nie zdążył założyć rodziny, zaczął chorować. Depresja przeszła w agresję. Trzeba było chłopca oddać na oddział zamknięty.

Młodszy syn, który na przemian mieszkał to z ojcem, to z matką, nie uznając autorytetu ani jej, ani jego, udał się z gitarą do Moskwy i tam, żyjąc życiem bohemy też nabawił się wielu kłopotów.

Wołodia tymczasem zaprzyjaźnił się z koreańskimi misjonarzami z sąsiadującego z jego domem zboru. Odwiedził większość taszkienckich świątyń, wysłuchał setki kazań i wybrał katolicyzm, choć – jak powiada – nie było mu lekko. Ksiądz Krzysztof był dla niego dobrym, ale surowym ojcem. Prośbę o pomoc materialną ks. Krzysztof wysłuchał i inżyniera zatrudnił jako zwykłego robotnika. Ponieważ pieniędzy nie zawsze starczało, by opłacić leczenie syna, chodził do pracy głodny, a stołował się po sąsiedzku w „pałacu ślubów”, gdzie bogaci Uzbegy w czasie wesel bezpłatnie rozdawali płow wszystkim gościom, nawet tym z ulicy.

Od Wołodii wysłuchałem kilku opowieści z czasów restauracji kościoła, a także zapoznałem się z cennym opisem pożegnania z o. Krzysztofem Kukułką, który ponoć po latach harówki przy taszkienckim kościele spakował swe rzeczy w jedną małą walizeczkę, wcisnął się w kącik taksówki, szczerze zaszlochał i jak stał, tak pojechał.



Koreanka Wała sąsiaduje z kościołem. Jej przodkowie żyli w Mandżurii, lecz pewnego dnia część rodziny zamieszkała pod Ussuryjskiem. Władze sowieckie pozostawiły im wybór: albo wracać do Mandżurii albo jechać do Środkowej Azji. Pozostać Koreańczykom na Dalekim Wschodzie stalinowski reżim nie pozwolił. Jej rodzice i dziadkowie żyli w skrajnej nędzy, ale prowadzili się godnie i dali Walentynie dobre podstawy. Chodziła do prestiżowej szkoły w centrum, gdzie była prymusem z matematyki, ale wybrała studia medyczne w Leningradzie, bo uznała, że miejscowa Akademia Medyczna jest zbyt słaba. Przywiozła sporo wspomnień i całą wiedzę z północy. Założyła rodzinę w Taszkencie; jej mąż dwukrotnie się rozwodził. Zostawił jej syna, który – mimo jego sprzeciwów – razem z Wałą odwiedza nasz kościół.

Do wspólnoty katolickiej trafiła z ciekawości. Było blisko, więc wcześniej czy później to miało się stać. Bardzo ceni katolickich kapłanów, lubi katechezy i kazania, ale najbardziej – rodzinną atmosferę, jaka panuje w kościele. Dla niej kościół stał się rodziną zastępczą.

Ma 51 lat, próbowała dorabiać jako masażystka, ale większość klientów wyjechała za granicę, nowych znaleźć trudno, zresztą praca niełatwa i sił nie

starcza. Wala nie skrywa, że z trudem wiąże koniec z końcem i dzieli podobny los, jak Włodzimierz.

Do moich planów co do koreańskiej diaspory odniosła się sceptycznie, wręcz zapytała w swoim stylu, nie owijając w bawełnę: „czemu ci tak zależy, żeby do kościoła chodziło więcej Koreańczyków?” Odpowiedziałem jej, jak potrafiłem najlepiej, że chcę, jako człowiek żyjący w celibacie, choćby takim sposobem pozostawić po sobie ślad, że ktoś, kogo przyprowadziłem do kościoła, będzie mnie wspominać dobrym słowem, że się za mnie pomodli, gdy już mnie tutaj nie będzie.



Olga wskazała mi dom w dzielnicy Qorasuv czyli w Czarnej Wodzie. Ludzie grubo po pięćdziesiątce przyjaźnią się z Olgą od lat. Gospodyni ma polskie korzenie. Pierwsza w kościele pojawiła się ich córka, lekarz, która obecnie mieszka w Vancouver. Kolej, by i oni przyszli. Cały wieczór ten temat wisiał w powietrzu i ja zrobiłem, co możliwe, by tę myśl posiać w ich sercu na trwałe. Czy się udało – nie wiem. Oboje potwierdzili, że interesują się wiarą, ale „zaocznie”. Bywali nawet po sąsiedzku w prawosławnym kościele św. Hermogena.

Dowiedziałem się więcej o córce, która, by zachować zawód lekarza, musi powtarzać studia wedle specjalnego programu nostryfikacji dyplomu. Tymczasem dorabia w Kanadzie jako sprzątaczką, a mąż, który do niej dołączył – jako tragarz.

Gdy gospodarz nas odwoził, zrobił kółeczko, by mi ten prawosławny kościółek skryty w „mahalli” pokazać. Wiem ze słów Olgi, że warto tam być. Któregoś dnia ona sama ich przyprowadzi do kościoła.



Marina, z zawodu chemik, wdowa. Sympatyczna czterdziestolatka. Samotnie wychowuje syna; żyje tak samo biednie, jak Wołodia czy Wala. Nie jest pewna, czy fabryka farb, w której pracuje nie zostanie zamknięta, wtedy straci pracę i skromne zarobki.

Dla mnie było ważne, aby przy okazji spotkania zatrzeć ślad po głupich rozmowach na temat Ukrainy. Marina, która ma przodków spod Lwowa jest ofiarą antyukraińskiej propagandy – chodziło o tranzytowy gaz i oskarżenia

o jego kradzież. Powiedziałem jej, że mieszkałem 5 lat na Ukrainie i mam swoje obserwacje. Wynikła kłótnia, a potem wzajemna antypatia.

W trakcie kolędy uzgodniliśmy, że nie będziemy więcej w kościele poruszać tematów politycznych i to było najbardziej cenne postanowienie tego wieczoru.



Swietłana to jedna z nesterek naszego kościoła. Podobnie jak Walentyna jest lekarzem. Ambitna bezgranicznie – studiowała jeszcze prawo i uczyła się w Szkole Teatralnej. W życiu osobistym tyle samo porażek, co w życiu Wołodii, choć, jak powiada, widuje męża, z którym jest w separacji, bo on „słuchał bardziej mamy niż żony”. Wychowała przybraną córkę, Greczynkę, która wyjechała do ojczyzny przodków i raczej los mamy jej nie interesuje. Co by tam nie mówić, lekarz z dwoma dodatkowymi fakultetami od 20 lat dorabia jako sprzątaczką, by sobie kupić czekoladę do porannej kawy.

Stół u Swietłany był suto zastawiony i kiedy słuchałem, jak ma ciężko, zrobiło mi się głupio, że te wydatki są przeze mnie. Gdy o tym napomknąłem, zamknęła mi usta twierdząc, że kościół i kapłani to w jej życiu najważniejsza karta. Opowiedziała, jak w pierwszej grupie przyjmowała chrzest na ulicy Sapernej z rąk ojca Krzysztofa i jak ten pewnego razu, bez uprzedzenia, dowiedziawszy się o jej chorobie, przywiózł słodycze i 20 tys. sum przepraszając, że nie może dać więcej.

Opowiedziała też o swoich żydowskich korzeniach i traktując to jako komplement zauważyła, że przypominam jej tatę. Na potwierdzenie pokazała stare zdjęcie, na którym ujrzałem brodacza, który równie dobrze mógł być krewnym Marksa, lecz niewątpliwie był też podobny do mnie.



Ostatnia wizyta pod opieką Olgi to była podróż na północny wschód miasta. Dokładnie tam, gdzie mieszka Władimir, po sąsiedzku z Doka-Chlebem. Swieta, która na codzien naprawia przybory kartograficzne, była kiedyś na imieninach o. Lucjana. Słyszała moje kazanie i choć uważa się za niewierzącą, postanowiła zaprosić mnie na kolędę. Gdy wchodząc, od razu zapytałem rutynowo, w którym pokoju będziemy się modlić, Swieta poprosiła, bym tym razem powstrzymał się od obrzędów i po prostu posiedział w gościnie.

Tak zrobiliśmy. Długo rozmowa się nie wiązała i dopiero, gdy na pytanie o moich krewnych wspomniałem, że jeden z moich braci uważa się za niewierzącego, ona się obruszyła: „no i co tu dziwnego?”

Prostymi słowami próbowałem jej wyjaśnić, że jest różnica między ludźmi, którzy czegoś oczekują od życia i tymi, którzy opuścili ręce. Pochwaliłem jej naścienne rysunki i powiedziałem, że nie mając wiary np. w piękno, nie byłaby w stanie ich namalować. Zdawało mi się, że gadam głupstwa, ale znowu echo spotkania było pozytywne.



„Na deser” pozostała mi wizyta u Olgi. Jej przodkowie po linii mamy byli Polakami a po linii ojca Azerami. Tato był lotnikiem, mama wedle zwyczaju przyjęła islam i siedmioro dzieci wychowała w tej wierze, choć – jak się zdaje – nie była to głęboka wiara. Rodzice bardzo się kochali i te uczucia przelali na wszystkie dzieci.

Większa część gawędy dotyczyła Azerbejdżanu. Gospodarz opowiadał o swoich polskich przodkach z Taszkientu. Poszukiwanie kościoła trwało latami i decyzja o chrzcie przysłała całkiem niedawno. Motorem tych poszukiwań była raczej Olga. Zaprzyjaźniła się bardzo z o. Andrzejem i z całą grupą katechumenów, którzy w podobnym czasie przyjmowali chrzest. Niestety w grupie nastąpił rozłam i spotkania czwartkowe, dzięki którym ich poznałem, zanikły. O. Andrzej kiedyś wspominał, że pragnie, bym dalej opiekował się tą grupą, ale skoro się rozpadła, jedyne, co mogłem uczynić, to odwiedzić tych ludzi w ramach kolędy. Olga zrobiła mi duży podarunek, towarzysząc w wędrówkach po mieście.

## Koreańska kolęda

Od nowego roku otrzymałem jurysdykcję na posługę w koreańskiej wspólnocie katolickiej w Taszkencie. Grupa liczy ok. 80 osób i są wśród nich przeważnie ludzie wykształceni – pracownicy firm takich jak Samsung, Daewoo, LG. W Taszkencie pracuje aż 1500 pracowników przybyłych z Seulu, ale tylko ok. 5% uczęszcza na katolickie nabożeństwa.

Jeszcze się dobrze nie zaczęło, a już moją duszę rozpierała radość, bo poczułem, jakbym wrócił na Sachalin. Po 7 latach wokół siebie podobne twarze i zwyczaje, wyśmienita kuchnia. To ludzie niezwykle zdyscyplinowani i życzliwi dla kapła-



nów. Owszem, mają skłonności podobne jak Polacy. Lubią się spierać i tworzyć frakcje, nawet w małych grupach. Być może jednak to ich stymuluje...

Funkcje kapelana południowokoreańskiej diaspory powierzono mi tymczasowo, na okres pół roku pod nieobecność o. Andrzeja Brzezińskiego, który wyjechał na czas jakiś do New Jersey i latem powinien wrócić. Wspólnota, jak zdążyłem się zorientować, bardzo zwarta, ze swymi plusami i minusami. Kieruje nią świecki katolik Marcello z Seulu.

To dla Koreańczyków cecha charakterystyczna. Potrafią się dobrze zorganizować, zwłaszcza za granicą i swe potrzeby religijne umieją zaspokajać nawet w warunkach braku własnego kapłana. Liturgia od początku do końca jest dziełem członków wspólnoty. Zadanie kapłana jest bardzo proste: odczytać łacińską transkrypcję koreańskiego tekstu mszy św. i... nie przeszkadzać.



Pierwsze spotkanie ze wspólnotą, na którym byłem przedstawiony, miało miejsce 25 grudnia. Byliśmy we trzech: bp Jerzy, o. Andrzej i ja. Spotkanie odbywało się wieczorem w koreańskiej restauracji Maru niedaleko kościoła. Na kolacji było obecnych około 50 osób, tzn. prawie cała wspólnota Koreańczyków katolików. Jedliśmy typowe koreańskie potrawy – ryżowy makaron z soją, kimchi, ryby i wiele deserów z tofu. Młodzież i niektórzy z grona starszych podchodzili do mikrofonu i śpiewali karaoke. Nas uprzedzono również, że mamy coś zaśpiewać. Niby „spontan”, a jednak wszystko przewidziane – i oklaski, i uśmiechy. Biskup z ojcem Andrzejem zebrali sporo oklasków za polską kolędę i nawet śpiewali na bis. Ja na ten wieczór zdecydowałem się użyć swoją „tajną broń”. Zaśpiewałem ulubioną nostalgiczną pieśń Koreańczyków „Ariran”. Choć dłonie mi drżały z tremy i ledwie trzymałem mikrofon, to jednak publiczność przy trzeciej frazie podjęła mój śpiew i razem byliśmy w stanie zakończyć całość. O. Andrzej zegnając się przedstawił mnie jako swego zastępcę mówiąc: „Oddaję was w dobre ręce, wkrótce się o tym przekonacie.”



O. Lucjan, który pracuje w Uzbekistanie już dziewiąty rok uprzedził mnie, że na kolędę będę wożony według planu, który ułożą sami Koreańczycy, że będzie szybko i sprawnie i że tych kolęd będę miał więcej, niż on wśród miejscowych

taszkienckich katolików. Nie bardzo w to chciałem wierzyć, ale życie pokazało, że miał rację.

O. Andrzej uprzedził, że pierwsze kolędy mogą być jeszcze przed Nowym Rokiem. Coś jednak nie wyszło i trzeba mi było trafić na jeszcze jedno nieformalne „spotkanie noworoczne”, by ustalić plan. Na obiedzie znalazło się 8 najważniejszych osób ze wspólnoty i czterech kapłanów.

Obiad był wyśmienity. O. Lucjan pytał przy okazji o szczegóły kulinarne związane ze „zjadaniem psów”. Nikt o dziwo się nie obraził i proboszcz otrzymał pełną informację. Gospodarz spotkania okazał się być golfistą, mistrzem Uzbekistanu w tej dyscyplinie sportu.

Poznałem tam również Anesę, która miała ustalić porządek kolędowania. Niestety to miało nastąpić dopiero w połowie stycznia. Musiałem się więc uzbroić w cierpliwość.



Tymczasem umówiliśmy się, że ktoś mi pomoże w przyswojeniu mszy św. po koreańsku. Ojciec Lucjan przedstawił mnie Marii Magdalenie, malutkiej Koreance w średnim wieku, której bardzo spodobał się Ariran w moim wykonaniu.

Mieliśmy godzinę, by powtórzyć czytanie tekstu mszy św. Siedem lat wcześniej czytałem biegle po koreańsku. Jednak czas leci, a pamięć zawodzi. Kobieta życzliwie poradziła mi, bym na ten raz skorzystał z transkrypcji, a potem poćwiczył i stopniowo czytał oryginalne teksty. Tak też zrobiłem.

Na koniec mszy św. w ramach ogłoszeń, przedstawiłem się. Opowiedziałem trochę o swej pracy na Sachalinie i o mojej znajomości z Che bun Do, czyli z ks. Benedyktem Zweberem. Ten amerykański ksiądz, z którym los mnie zetknął na Sachalinie, jest dobrze znany w Korei z akcji budowy kościołów w diecezji Inczhon, wsparcia dla uciekinierów z Płn. Korei, a także pomocy w adopcji 3000 dzieci. Chodzi o „metysów” zrodzonych przez Koreanki na skutek znajomości z afroamerykańskimi żołnierzami. Tych dzieci społeczeństwo koreańskie w latach 60-70. zeszłego stulecia nie akceptowało a wręcz dyskryminowało. Benedykt znalazł dla nich w Ameryce rodziny zastępcze i rozkręcił akcję legalizacji ich pobytu w USA jako obywateli tego kraju jeszcze przed adopcją. Opisałem też swój pobyt w Tegu i to, jak mnie na granicy uznano za Pakistańczyka. Trochę tym rozbawiłem ludzi, choć widać było na niektórych twarzach zniecierpliwienie, bo msza św. koreańska powinna być krótka.

W ciągu tygodnia dostarczono mi teksty całej liturgii, włącznie z czytaniem na cały styczeń. Kto to wszystko robił, nie mam pojęcia. Ważne jest, że ćwiczyłem jak mogłem, nawet w autobusie w drodze z Angrenu, ale skutek był...marny. Czytałem na tyle słabo, że bardzo dyskretni Koreańczycy zwrócili mi uwagę i poprosili, bym „odprowiał tak jak Andre – simbunim”, czyli z transkrypcją i z rosyjskimi wstawkami.

Podzieliłem się tą porażką z samym o. Andrzejem i on mi odpowiedział to, co sam po latach pracy na Sachalinie powinienem był wiedzieć: „Koreańczycy nie lubią nowinek”.



Anesa przyjechała po mnie ze swoim kierowcą nowiutkim samochodem. Najpierw pokazała mi materiały – koreańskie teksty potrzebne do obrzędu święcenia. Znalazła wszystko w internecie i sama wydrukowała, choć o to nie prosiłem. Z poprzednich lat zachował się u niej rosyjski tekst poświęcenia wody. Przydał się, bo już przy drugiej wizycie zostawiłem kropielnicę i wodę święconą trzeba było poświęcać oddzielnie w każdym następnym domu.

Pierwsza na naszej trasie była fryzjerka Klara. Rzadko bywa w kościele (cho-ruje). Pracuje razem z siostrą i najmuje kilka miejscowych kobiet. Siostra, która uczestniczyła w modlitwie, sama wychowuje dziecko. Anesa nie potrafiła mi wytłumaczyć, co się stało z jej mężem.

Koreańczycy, którzy tak pięknie tytułują kapłanów – „szin-bu-nim” (sin – święty, bu – ojciec, nim – zdrobnienie), co można by porównać z białoruskim „ojcieńka swiatoj”, mają naprawdę bardzo pobożny stosunek do księży, i to było cały czas widać. Trochę dziwi, szczególnie, gdy się zważy, że to byli ludzie „na stanowiskach”, których miejscowi Uzbegy zawsze nazywają „mister” lub „misses”. Zupełnie inaczej, niż tutejsi rosyjskojęzyczni parafianie czujący się dużo swobodniej, bez skrępowania. Koreańczycy to widzą i „się gorszą”, bo w Korei (jak bywa jeszcze i w Polsce) ksiądz to „mister”!



Mąż Anesy pracuje w jednym z taszkienckich banków. Trzy spośród domostw jakie poświęcałem, należały do pracowników tego samego banku i każdy z tych domów przypominał mi wielkością naszą polską ambasadę. Powiedziałem o tym

Anesie zaraz na samym początku i ona się tylko uśmiechnęła, lojalnie stwierdzając, że takich ambasad nasi parafianie mają wiele.

W okolicach Kolegium Muzycznego niedaleko od kościoła za luterańską kirkhą mieszkają Katarzyna i Jan. Od razu wytłumaczę, że w kontakcie ze mną Koreańczycy – tak samo jak na Sachalinie – używają swych „europejskich imion”, które otrzymali na chrzcie.

Katarzyna to jedna z najmłodszych mam w parafii. Kolędowaliśmy wszystkie trzy dni przed południem, więc najczęściej miałem do czynienia z kobietami, które zgodnie z ojczyzną tradycją dbają o dzieci i dom. One też wiodą prym w kościele. Gdy poświęcałem zakład fryzjerski, przeczytałem modlitwę nad chorą Klarą. Anesa to zapamiętała i sama przypominała mi za każdym razem, gdy napotykalismy kogoś chorego. Mały Janek cierpi na problemy z nóżkami. Poniżej kolan ma silne wykrzywienie na zewnątrz. Niedawno, zdaje się, był operowany i problem ma zniknąć, tym niemniej mama była wdzięczna, gdy się modliłem. Chłopiec na zakończenie modlitwy, którą przyjmował z wielką uwagą, zapytał mamę bardzo poważnie pokazując na mnie: „czy to jest Pan Bóg”? Okazuje się, że nie tylko dorośli personifikują Boga. Maluchom to też jest potrzebne.



Lider naszej „koreańskiej parafii” Marcello mieszka niedaleko Bowling Club’u. Jego „ambasada” jest stosunkowo niewielka. Utrzymuje, jak większość naszych parafian, gospośnię. W tym wypadku gospośnia okazała się być Rosjanką. W innych domach gospośnie to uzbeckie Koreanki. Powziąłem więc myśl, by angażować te kobiety w nasze uroczystości. Cały czas próbuję moim koreańskim parafianom wytłumaczyć, że ich kontrakty się kiedyś zakończą, oni wyjadą i koreańska wspólnota... zniknie. Jeśli wśród przyjaciół i pracowników mają niewierzących, to dobrym traktowaniem, przyjacielskim podejściem mogliby ich zachęcić do praktykowania chrześcijaństwa.

Ten temat próbowałem też podjąć na obiedzie, który właśnie powolutku stygł. Marcello się spóźnił, bo miał ważne spotkanie biznesowe i gdy wreszcie przybył, widać było, że nie ma nastroju do „misyjnych dysput”.

Tym niemniej, jako osoba władająca angielskim mógł mi opowiedzieć wiele rzeczy, w tym również o swoim biznesie telekomórkowym. Sądząc po minie, nie wszystko mu się wiedzie.

Wpływa to niewątpliwie na pewien kryzys wewnątrz wspólnoty. Z opowiadań wiem, że miał miejsce rozłam, który rok temu udało się powstrzymać franciszkaninowi, ojcu Paulo, który z „misją pokojową” przyleciał dwa razy na Boże Narodzenie i Wielkanoc z dalekiego Tegu.



Pojechaliśmy znowu w prestiżowy rejon miasta przy stacji metra Oybeka, do domu Anesy. Obrzęd trwał króciutko, jak zawsze (maksimum 15 minut). Anesa obiecała, że jeszcze mnie zaprosi na rozmowę z mężem, ja tymczasem poświęciłem jego kij golfowy i prosiłem, by mu o tym powiedziała – może go to wzruszy, jeśli uważa się za wielkiego sportsmena. Nawiasem mówiąc, golf – podobnie jak bowling – kojarzył mi się z elitarnym sportem i domyślałam się, że posiadanie kija golfowego niekoniecznie musi oznaczać namiętność do sportu, a być może jest współczesnym atrybutem nowobogackich. Taki sobie nowoczesny herb.



Na kolędowej trasie była też Agata, u której, jak mnie uprzedziła Anesa, biznes idzie słabo i zdrowie też podupało. Malutka restauracja „Oazis”, mimo pięknej nazwy i prestiżowego położenia, wydała mi się biedną knajpą, a twarz zatroskanej gospodyni wzbudzała litość. Na czas poświęcenia zamknięto lokal, trwały też jakieś remonty. Ten przypadek i dzień następnny pokazały mi, że w tym świecie „ambasadorów” istnieje trochę zgrzytów i sporo łez.

Tego dnia woził nas inny kierowca, miejscowy Koreańczyk i ponieważ zniknął nam na chwilę, na obiad udaliśmy się pieszo do domu naszego ministranta Hiso, który mówi po rosyjsku najlepiej ze wszystkich znanych mi tutejszych „Jużaków” (od słowa jużny – południowy), czyli wedle miejscowego taszkienckiego slangu – Koreańczyków z południa.

Mama Hiso dobrze śpiewa i po latach leczenia nowotworu wróciła w tym roku do scholi. Ma coś z żołądkiem i nad nią też się modliłem, jak tylko mogłem. O jej trudnościach opowiadał mi o. Andrzej i ta sprawa zapadła mi w serce. Ta kobieta emanuje dobrocią i w trakcie obiadu powiedziałem jej o tym. To była ostatnia wizyta drugiego dnia kolędy. Moja wiedza o parafii się dopełniała.



Trzeciego dnia moim przewodnikiem była Maria Magdalena. Intuicyjnie wyczuwałem, że tego dnia będę odwiedzał „koreańską opozycję”, czyli frakcję, z którą Anesa „nie trzyma”. Mówiąc grubo, to mieli być biedniejsi Jużacy.

Najpierw poświęciłem dom MM, której mąż, jak się okazuje, ma atelier i pięknie fotografuje. Dom znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła. Troszkę dalej jest dom Heleny, która razem z MM towarzyszyła mi cały dzień.

Odwiedziłem jej dwa sklepy: boutique na Czelanzarze i boutique Hospitałka. Choć nie wypytywałem o szczegóły, widać było, że to raczej Helena zajmuje się biznesem, a nie mąż. Czy mieszkają razem, nie wiem. Oba sklepiki prezentowały się nader skromnie i gdy pytałem sprzedawczynie jak im się wiedzie, to szczerze przyznały, że klientów mało. Prosiłem, by złożyły reklamację, jeśli moja modlitwa nie pomoże. Trochę się z tego śmiały, ale widać było, że w skuteczność modlitwy wierzą.

Na koniec odwiedziliśmy „ambasadę na Hospitałce”. Gospodarz chorowity, z operowanymi kolanami, przyjmował mnie razem z Pedro. Domyśliłem się, że Pedro to poprzednik Marcello. Dusza parafii. Jemu zawdzięczamy istnienie tego kolektywu. Są jednak napięcia właśnie na tej linii – pomiędzy starym liderem Pedro i nowym, Marcello.

Obiad, jak w poprzednie dni, był wyśmienity. Jedliśmy siedząc w kucki, co mi bardzo odpowiadało. Cierpiał jedynie gospodarz, który nie mógł zginać nóg w kolanach. Podobno zamieniono mu kość na metalową...



Ostatnim zdarzeniem w serii świątecznej był Nowy Rok, rok Bawołu.

Anesa uprzedziła mnie, że w ten dzień mam pomodlić się za ich przodków. O tym, że ma być jeszcze świąteczna zabawa, dowiedziałem się od ks. biskupa. Prosił, bym telefonicznie sprawdził, co jest planowane i Anesa potwierdziła, że chcą znowu zaprosić wszystkich kapłanów na świąteczną zabawę. Najpierw był szwedzki stół w auli św. Antoniego. Kobiety rozdawały przygotowane wcześniej koreańskie potrawy, które stojąc, zjadaliśmy na dużych miseczkach. Wyjątkowo wielu było nas tego dnia. Samej młodzieży i dzieci, ustawionych w rzędek, by wykonały po mszy św. rytualny pokłon przed dorosłymi, naliczyłem ze 30. Potem ta sama ceremonia dokonała się wobec nas, kapłanów. Ojciec Lucjan

przemawiał do młodzieży i rozdawał jej koperciki z pieniędzmi tak, jakby to była wschodnia wersja Santa Clausa. Mnie przypadł honor, aby powiedzieć kilka słów do dzieciarni.

Był również mecz. Wybrane zostały dwie reprezentacje po czterech zawodników. Lucjan był kapitanem jednej drużyny, ja grałem w drugiej. Trzeba było podrzucać w powietrze cztery drewniane kości. W zależności od tego, ile kości padało na „brzuch”, a ile na „plecy”, nasze pionki wędrowały w kierunku centrum „szachownicy”. Graliśmy „na pieniądze”. Skromne sumy, podobnie jak skromne były koperty dla dzieci (po 1000 sum). Emocje były tak wielkie, że nawet niewierzący mąż Anesy trzy razy rzucając kości, szczerze się uśmiechnął i przeżegnał się. Mój zespół przegrał, tym niemniej, jak mawiał Kim won Sul, mój poprzednik simbunim z Sachalinu: „dobry proboszcz powinien przegrywać pieniądze na rzecz parafian, żeby nie przegrać ich dusz.”



Przy pierwszym spotkaniu Koreańczycy dopytywali się, kiedy mam imieniny. Pierwszy raz w życiu mogłem dać dokładną odpowiedź. Pięć lat temu w Kijowie prawosławni wpisali, z 1000-letnim spóźnieniem, do katalogu świętych Jarosława Mądrogo. Rok później zrobili to też w Moskwie, więc sądzę, że wkrótce to się rozszerzy i na kościół katolicki, bo mamy pewne ekumeniczne aspiracje i już dawno pomieściliśmy tam krewniaków Jarosława – prababkę Olgę, ojca Włodzimierza i braci Borysa i Gleba. Czczeni są głównie przez grekokatolików, ale to niczego nie zmienia. Można świętować!

## Angren – Święto Miłosierdzia Bożego 2009

Przed odpustem Miłosierdzia Bożego w Angrenie mój stróż przez telefon zdążył kilkakrotnie mnie zaalarmować o „nieproszonych gościach” z hakimiatu (Urząd Miejski), szyrkatu (sołectwo), milicji i prokuratury. Naszą malutką kapliczkę zrewidowano i sfilmowano. Tydzień wcześniej mój sąsiad z Doliny Fergańskiej prowadził tam rekolekcje i też był inwigilowany. Stawiano mu zarzuty, że w naszej „niezarejestrowanej kaplicy” zbierają się dzieci (przestępstwo?) i muzułmanie Uzbekcy (prozelityzm).

O. Piotr zarzutów wysłuchał i przekazał ks. biskupowi. Sądziłem, że wszystko płynie z inicjatywy SNB (Służba Narodowego Bezpieczeństwa – uzbecki odpowiednik KGB), toteż sporządziliśmy list wyjaśniający i byłem z nim w „urzędzie” w Wielki Czwartek. Tam usłyszałem odpowiedź, że SNB nie inicjowała żadnych kontroli, więc trzeba się dowiadywać w tej sprawie w hakimiacie i na milicji.

Za jakiś czas te podejrzenia miały się potwierdzić. Napięta sytuacja przed odpustem sprawiła, że naprędce sporządziłem i rozesłałem w sieci komunikat z prośbą o „modlitewny szturm”.

Reakcja przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Z wydawnictwa „Znak” otrzymałem zapewnienia o modlitwie i zachęte, by trwać pośród szykan. Takie same zapewnienia płynęły przez cały tydzień z różnych zakątków Polski. W Czarnej Białostockiej dzieci wspólnie z katechetą modliły się na wszystkich lekcjach. Podobnie modlono się w parafiach, gdzie niegdyś pracowałem, to znaczy w Dolistowie nad Biebrzą i właśnie w Czarnej, gdzie jedna z parafii ma tytuł Jezusa Miłosiernego.

Pewien kapłan z białostockich Jurowiec miał wspomnieć o tym przed grobem siostry Faustyny, dokąd się wybierał na odpust. Modliła się tam również w naszej sprawie pani Antonina z Krakowa, cudownie ocalona od raka tej zimy. Inny ksiądz, mój kolega kursowy, ks. kapelan siostr pasterzanek miał to samo zrobić przed relikwiami bł. Michała Sopoćki. Od siostr dostałem zapewnienie, że szturmują niebo modlitwami. Prośba dotarła też do plockiego sanktuarium. Modlono się w Pile, Goniądzu, Rypinie i Lipnie a także w stolicy.

Nawet 98-letnia babcia z Okalewa przysłała mi przez ciocię sms-modlitwę. Najbardziej jednak spodobał mi się tekst, który posłużył w tych dniach jako modlitwa:

*„Każdy Twój wyrok przyjmę twardy  
Przed mocą Twoją się ukorzę.  
Ale chroń mnie Panie od pogardy  
Od nienawiści strzeż mnie Boże...”*



W sobotę zmieniłem godzinę nabożeństwa dla „zmylenia przeciwnika” i poinformowałem parafian poprzez smsy, żeby przyszli rano o 10. a nie jak zwykle o 15. Ku naszemu zdziwieniu przyszła pani z szyrkatu (takie muzułmańskie



sołectwo, którego funkcja to m.in. zbieranie donosów), i to właśnie przed południem. Kolejny raz uprzedziła, że nam nie wolno się modlić i że dużo ludzi się na nas skarży. Sprytny stróż przeprowadził ją przez zapasowe wejście i pokazał pustą kuchnię letnią, gdzie zwykle bywają katechezy, gdy tymczasem 14 parafian siedziało cichutko w kaplicy. Zupełnie jak na „tajnych kompletach” w czasach okupacji. Po południu miała przyjechać milicja i SNB, ale nie wiadomo dlaczego do nalotu nie doszło. Czekałem cały dzień do 18.



Odebrałem z lotniska parę „legionistów” z Mińska – młodego kapłana ks. Denisa i dziennikarkę Galinę Kalewicz, którzy mieli uświetnić odpust w Angrenie. Z powodu szumu jaki wyniknął w Wielkim Tygodniu, ks. biskup radził mi nawet się powstrzymać z przyjmowaniem tej delegacji. Po wielkoczwartkowej wizycie w urzędzie oraz po serii rozmów telefonicznych z ekscelencją, została podjęta decyzja, że goście z Białorusi mogą przyjechać. Ks. biskup osobiście wysłał do Mińska telegram z zaproszeniem na Wielką Sobotę dla „Legionu Maryi”.



W Niedzielę Miłosierdzia, tak samo jak w czasach Jezusa, msza święta została odprawiona przy zamkniętych drzwiach. Pogoda się zepsuła i nie oczekiwaliśmy tłumów. Przyszła jedna nowa osoba spośród tych, których odwiedzałem jeszcze w trakcie kolędy. Przyniosła świadectwo ślubu rodziców wypisane w latach 50. w Kazachstanie. Jako miejsce urodzenia obojga rodziców wskazany był lachowicki rejon pod Kamieńcem Podolskim.

Gdy się zaczęło kazanie, psy głośno zaszczekały w podwórku, ale stróż nie wyszedł. Może tak mocno był zaabsorbowany kazaniem, a może po prostu stchórzył, niczym apostołowie na widok Zmartwychwstałego. Ja też się czułem jak ewangeliczny Tomasz. Nie mogłem uwierzyć, że temu świętowaniu nic nie może przeszkodzić! To mogli być również spóźnieni parafianie albo znowu pani z szyrkatu ...

Nie bacząc na strach, zdobyłem się na dopełnienie kazania ks. Denisa i świadectwa Galiny oraz przekazałem własne świadectwo, jeszcze z moich czasów kłeryckich. Opowiedziałem parafianom, jak na podwórko posesji, na terenie której mieszkał latami bł. Michał Sopoćko i obecnie jest tam kaplica Miłosierdzia

Bożego, stoczyło się kilka wagonów z bronią chemiczną, od której zginąć mogli w promieniu wielu kilometrów wszyscy okoliczni mieszkańcy Podlasia. Ja byłem wtedy klerykiem piątego kursu, właśnie rozpoczął się proces beatyfikacyjny i pękł mur berliński. Przez Białystok przejeżdżało dużo takich niebezpiecznych transportów. Tego feralnego dnia ogłoszono przez radio, byśmy się udali na strychy domów i ostatnie piętra wieżowców. Nie bardzo było wiadomo, o co chodzi. Z czasem dowiedzieliśmy się, że trujący gaz miał się przemieszczać przy ziemi, dlatego wszystkich zaproszono na górę „do wieczerników”. Bogu dzięki, ani jedna kropelka trucizny nie wyciekła z cystern...

To wszystko, co tam w ten odpustowy dzień przeżyliśmy, trochę przypominało czasy sowieckie, a może trochę czasy pierwszych chrześcijan. Było męstwo i strach. Zakłopotanie, czarny humor i nerwy. Dużo modlitwy i cierpienia – krzyża. A skoro tak – będzie również Zwycięstwo.

Dziękuję za skuteczne wsparcie modlitewne! To niezwykła moc koronki!



Dalszy ciąg pieśni Tanenbauma, rozpowszechnionej w czasach „Solidarności” i stanu wojennego na koncertach Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego, dotarł do mnie z Tyńca, skąd również otrzymałem modlitewne wsparcie:

*„Wszak Tyś jest niezmiernie dobro  
Którego nie wyrażą słowa  
Więc mnie od nienawiści obroń  
I od pogardy mnie zachowaj*

*Co postanowisz, niech się ziszc  
Niechaj się wola Twoja stanie  
Ale zbaw mnie od nienawiści  
Ocal mnie od pogardy, Panie...”*

## Zjazd katolików w Taszkencie

Pierwszy „zjazd katolików” w Taszkencie odbył się chyba w 2001 roku – opisywany przeze mnie był dziewiątym z kolei. Mamy około 600 katolików w całym kraju, z tego połowa w stolicy. Można więc powiedzieć, że z pozostałych trzystu,

co trzeci wybiera się w drogę raz do roku, by zapoznać się z tymi katolikami, którzy mieszkają w stolicy i z tymi, którzy przyjadą z odległych okolic. Nawiasem mówiąc, jest to niemiecki zwyczaj i u Niemców nazywa się „Katholikentag”.

Ojcowie franciszkanie wkładają wiele serca w organizację tego zjazdu, który również w jakimś sensie przypomina i pielgrzymkę, i zlot młodzieży. Gościem honorowym w 2009 roku był abp Peta z Astany (Kazachstan), przyjechały też kazachstańskie siostry zakonne i współsiostry z Afganistanu, Pakistanu i Tadżykistanu.

Na tym zjeździe byłem zwykłym uczestnikiem i obserwatorem, ale dzięki życzliwości braci mogłem chwilami być pożyteczny, co mnie bardzo cieszyło.

Termin zjazdu zbiegł się ze świętowaniem „Dnia Zwycięstwa”, który wyjątkowo uroczystość jest obchodzony również jako „Dzień poległych na wojnach”.



Z oddalonego Angrenu na uroczystości przywiozłem 13 osób. Upał był straszny i wszyscy byli „kłapnięci” po podróży, ja natomiast w porywie emocji zabrałem od młodziutkiej mamy jej śpiące dziecko i wyprzedzając wszystkich, pierwszy wkroczyłem na plac kościelny.

Żadnych delegacji powitalnych nie było. Byliśmy pierwsi, mimo to czułem jak Pan Jezus się cieszy widząc mnie z tym dzieciakiem na rękach. On przecież powiedział „pozвольcie dzieciom przychodzić do mnie” i takie też było hasło na moim obrazku prymitywnym!

Ludzi rozmieściliśmy w trzech różnych najtańszych hotelach w okolicy, karmiliśmy na podwórku kościelnym pod dachem z plandeki. Posiłki przyrządziła jakaś uzbecka rodzina – był głównie płow, czyli ryż z baranym mięsem i dużo przeróżnych sałatek.

Pojawiły się ulewne deszcze – to pomogło zatrzymać ludzi w kościele. Inaczej pewnie wielu naszych „wieśniaków” rozbiegłoby się oglądać stolicę, zamiast „ślęzcć” w kościele na modlitwach.



Dzień zaczął się psalmami, które prowadziłem.

Rozpocząłem od opowieści o jednym synku, którego mama nie mogła dobrać do kościoła. On jej mówił błagalnym tonem: „nie pójdę mamó, bo tam nikt

mnie nie lubi. To banda faryzeuszy, nikt mnie tam nie słucha i nie rozumie.” – „Musisz iść synku mimo wszystko” – sprzeciwiała się mama. – „Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym pójść” – żądało uparte chłopaczysko a mama odpowiedziała: „JESTEŚ PRZECIEŻ KSIĘDZEM I NIKT NIE ODPRAWI MSZY ŚW. ZA CIEBIE”...

Jutrznia trwała zaledwie 15 minut, po czym biskup wraz z arcybiskupem z Kazachstanu, zajęli miejsce przydialne koło ołtarza i zaczęli egzaminować dwuosobowe drużyny z pięciu parafii – rozpoczął się konkurs wiedzy biblijnej o św. Pawle.

Lał deszcz, więc wszyscy słuchali uważnie. W większości startowała młodzież, zwyciężyła jednak drużyna z Taszkientu, w której występowała pani po 60. „Bój” trwał dobre dwie godziny, po czym była przerwa i medialna prezentacja o św. Pawle.

Obiad – głównie na stojąco w korytarzach podziemnej części kościoła. Tam nareszcie można było sobie pogadać ze znajomymi z całego kraju. Miałem na jesieni rekolekcje w Urgenczu oraz wizytę w Ferganie, wiosną rekolekcje w Bucharze i krótką wizytę w Samarkandzie, toteż znajomych było wielu.

Po koronce do Jezusa Miłosiernego i litanii był czas na adorację, a potem przygotowanie do mszy św.

Arcybiskup Peta zaczął od tego, co powiedział Jezus apostołowi Filipowi: „kto widział mnie, widział Ojca,” tematem rozważań była kontemplacja Oblicza Pana Jezusa. Najlepiej to robić, odmawiając różaniec. Kontemplując Twarz Jezusa i kochając Go, zaczynamy bardziej kochać innych, nawet obcych ludzi. Arcybiskup wspomniał, że pewnie żaden z obecnych księży, czy żadna z siostr, nie mogli się kiedyś domyślać, że pokochawszy Jezusa będą musieli pokochać daleki kraj o nazwie Uzbekistan.

Kazanie było ciekawe i niezbyt długie. Nie miałem kłopotu, by – gdy ks. arcybiskup usiadł – zrobić streszczenie całości jego wypowiedzi po angielsku.

Gdy się wypogodziło, było wiadomo, że wieczorny koncert na placu kościelnym powinien się udać.

Najdłuższe wystąpienie na festiwalu miała reprezentacja z Fergany, zresztą było ich najwięcej, bo 30 osób. Grali młodzieżowy chrześcijański rock.

Są to „dzieci ulicy” i naprawdę chwyta za serce, że od lat franciszkanom starcza cierpliwości, by ich edukować i wyprowadzać na ludzi; niektóre z tych dzieci mieszkają w klasztorze, inne przychodzą co dzień, by coś zjeść, pobawić

się i pomodlić. Władze miejscowe mogłyby tego zabronić, bo jest takie prawo, ale widzą, że to akcja potrzebna, więc się nie wtrącają na codzien. Od czasu do czasu kontrolują i znów wraca spokój.

Dalej występowała Buchara i Samarkanda. Mieli scenki teatralne o „licytacji duszy” i o „pokusach na liturgii”. Następnie dano głos mojej malutkiej rudej parafiance Danusi z Almałyka, która opowiedziała o swych przodkach Polakach i o tym, jak się jej rodzina poznała ze mną. Mówiła rzeczy, które rozbawiły wszystkich, a mnie trochę zażenowały. Ten 15-letni dzieciak powiedział, że ja jestem „dobry” i gdy odjeżdżam z ich domu, to rodzina przestaje się kłócić. Potem żartowano, że sam jej ten tekst napisałem.



W niedzielę prowadziłem znowu modlitwy poranne i otwierałem śpiochom oczy i usta. Powierzono mi też adorację z litanią i z rachunkiem sumienia. Inni księża w tym czasie spowiadali.

Msza zebrała ponad 200 osób, kazanie głosił nasz biskup, tym razem o winnej łożu i latoroślach. Mówił, że nasz kontakt z Jezusem powinien być osobisty, podobny do tego jaki miał św. Paweł, gdy się nawracał pod Damaszkiem. Przypomniał, że potem Syłas i Barnaba czyli konkretni ludzie, chrześcijanie, zabrali Pawła do Tarsu w jego rodzinne strony i byli świadkami, jak ten wcześniejszy prześladowca pięknie głosi Chrystusa. Poprowadzili go do Jerozolimy, żeby przedstawić apostołom.

Ten proces zapoznawania powtarza się w życiu każdego chrześcijanina. Również w Uzbekistanie. Ktoś polubił Chrystusa w swej wiosce, potem w miasteczku znalazł więcej wierzących, a ci go przywiedli na spotkanie katolików do Taszkientu. Tutaj, przez wymianę doświadczeń z tymi, co uwierzyli wcześniej i już żyją żywą wiarą, też przychodzi lepsze rozumienie, co to jest wiara. Takie były słowa naszego biskupa, zapamiętałem je dobrze, bo... znowu musiałem tłumaczyć.



Muszę niestety napisać również i o minusach. Z 13 osób, jakie przywiozłem do Taszkientu, tylko mała Danusia i jej mama pozostały na festiwalu do końca. Pozostałe 11 zrobiło mi wielką przykrość, bo nie tylko nie wystąpili i nie powiedzieli

nic o naszych dwu parafiach, jak się spodziewałem, ale po prostu zbojkotowali tę finalną część dnia i poszli do hotelu przed czasem.

Wiem z doświadczenia, że ludzie sowieccy są przyzwyczajeni brać, ale dawać nie bardzo potrafią... Gdy już trzeba było wracać do domu, przyszedli do mnie z zakłopotanymi minami mówiąc, że wszystkie pieniądze przewidziane na pobyt już wydali, w tym również to, co im dałem na drogę powrotną, więc „proszę nam dać jeszcze”.

Coś podobnego zdarzyło mi się 9 lat wcześniej w Rzymie, kiedy to zabrałem z Syberii do Watykanu na spotkanie jubileuszowe z papieżem 46 osób. Bezpłacie. Cały tydzień trwały przygotowania do spotkania z Ojcem Świętym, a gdy nadszedł moment kulminacyjny, czyli samo spotkanie, połowa grupy bez mojej wiedzy uciekła nad morze kąpać się. Na lotnisku do ostatnich chwil przed odlotem brakowało mi jeszcze dwóch spóźnialskich. Sowieccy ludzie potrafią zepsuć wszystko co najpiękniejsze

W Polsce nikt by się nie ośmielił podróżować po całym kraju na koszt kapłana. Tutaj to sprawa normalna. Księża na misjach zawsze dopłacali do swej działalności.

## Taszkient – Boże Ciało 2009

W 1991 roku, 18 lat temu, na Boże Ciało wypadły moje Prymicje – 4 dni po święceniach w Skrwilnie ... Na kościele był umieszczony napis: „TY JESTEŚ KAPŁANEM NA WIEKI NA WZÓR MELCHIZEDEKA”.



Dziś, po 18 latach trochę mi zdrowie szwankuje, więc chodzę na „procedury”. Na badaniach miałem ciśnienie 105/65, niskie, ale to nie przeszkodziło mi przeżyć uroczystości Bożego Ciała na wysokich obrotach. Miałem głosić kazanie, więc zacząłem od szperania w internecie. Od razu jako pierwszy wyskoczył mi Franciszek Karpiński. Dalej nie szukałem. To było to, czego mi było potrzeba. Pan Bóg wędrujący po ulicach, by sprawdzić, jak żyją Jego owieczki. Ten, który dla nas specjalnie dał się zamknąć w ścianach kościołów, ale nie przestaje marzyć, by być wśród swoich dzieci; pragnąć tego, że oddamy mu serca i całych siebie w zamian za to, co On podarował nam. Szybciutko to przetłumaczyłem na rosyjski i bez większego trudu słowa same splotły się w rym. Podobnie mi poszło z angielskim tekstem. I choć ani jeden ani drugi literackich walorów nie ma, ale

to już geniusz Karpińskiego, że udało mu się napisać coś tak cudownie prostego, co dobrze brzmi w każdym przekładzie.



Opowiedziałem w kazaniu legendę o Leonardo da Vincim, o tym, że ponoć do twarzy Jezusa i Judasza pozował jeden i ten sam człowiek, tylko w różnych okresach swego życia. Twarz Jezusa da Vinci malował na początku wieloletniego projektu, Judasza na sam koniec, a model z dobrego chłopca przekształcił się w człowieka z ulicy. Oto los ludzi, którzy przyjaźnili się z Jezusem, wręcz się do Niego upodobniali, a potem zdradzali, jak Judasz. To może też być los kapłana. Wspomniałem, że właśnie za kilka dni będzie inauguracja „Roku kapłaństwa” na cześć Jana Vianney’a, patrona proboszczów.

Przywołałem historię o biskupie Ignacym Jeżu, który jako kleryk trafił do obozu koncentracyjnego. A pewien faszysta, chcąc pożartować z kleryka, zmusił go, by ten podwieszony za nogi głową do dołu, recytował z pamięci łaciński tekst mszy św. Taka „sucha” msza św. ma też wielką wartość, tak samo jak „chrzest krwi”. Jest jeszcze tyle miejsc na świecie, gdzie nie ma parafii z kościołami i brakuje dostępu do Eucharystii. Można by ją czcić i w takich sytuacjach; przy braku kościołów i księży ludzie zaczynają adorować odległe o dziesiątki i setki kilometrów miasta, gdzie być może żyje eucharystyczny Jezus. Taka misyjna dygresja – to właśnie utrudniony dostęp do Eucharystii powoduje większy głód Chrystusa.



Na mszy było około 30 sióstr kalkutek, które się do nas zjechały na rekolekcje z wielu krajów azjatyckich i zaczynają od jutra. Pół kościoła błyszczało od bieli ich sari. Było 6 dziewczynek do sypania kwiatków i tyłuż ministrantów, połowa w czerwonych dziecięcych sutannach. Parafian też ze 30. Dla stolicy tego muzułmańskiego kraju to ani mało ani dużo. Ołtarzyki przygotowywali rodzice dzieci pierwszokomunijnych a także młodzież i lektorzy (głównie kobiety w średnim wieku) – to u nas zwarta formacja) oraz Koreańscy.

Jeden z ołtarzy, ten koreański, był umieszczony na rezydencji biskupa od strony pokojów gościnnych, czyli na moim oknie. Spodobał mi się, bo był naprawdę w azjatyckim stylu. Jedna z parafianek spędziła pół dnia układając trzy ikebany. Ołtarz młodzieżowy na galerii prowadzącej na chór miał autentyczne gałęzie winogron.

Oczywiście nie ma tu mowy o robieniu ołtarzy „na mieście”. Tego zwyczaju nie udało się wprowadzić w czasach względnej swobody, więc i teraz, gdy wszelkie wyznania są na cenzurowanym, nie ma na to szans. Tym niemniej, podworec naszego kościoła, pięknie usytuowanego w centrum miasta, obok tzw. trasy prezydenckiej – widać jak na dłoni. Niektórzy zaciekawieni przechodnie podeszli, aby uczestniczyć w procesji jako widzowie. Dziewczynki sypały kwiaty bardzo obficie, aż mi zmętniało w oczach od ilości róż fruwających w powietrzu. Nawiasem mówiąc, sypanie papierowych kwiatów to stary chiński zwyczaj pogrzebowy. Tak mi się to skojarzyło. Dwie ewangelie śpiewał proboszcz i dwie pozostawił dla mnie. Zaczęliśmy o 18. i zakończyliśmy o 20.30.

To też ani dużo ani mało. Tuż przed mszą zerwał się gwałtowny wichur i deszcz pokropił nasze dekoracje, ale też odświeżył powietrze i gdy procesja wyszła na podwórko, pogoda była wyśmienita. Powolutku ciemniało i świece stwarzały nastrój jak na procesji fatimskiej. Niektórzy parafianie robili zdjęcia, więc flesze aparatów dodatkowo urozmaicały wieczór. Uroczystość przebiegała, jak na mój odbiór, w sposób dostojny, ale prosty, bez nerwów i zbędnej pompy. Gdy niosłem monstrancję, zauważyłem, że patrząc na hostię, widzę kącikiem oka, przez szkiełko drogę przed sobą, więc nie przestając patrzeć na Pana mogłem iść, nie potykając się. Zrodziło to w mej głowie niezwykłą metaforę, że kiedy się patrzy na Eucharystię, to ona w żaden sposób nie przesłania świata i można wędrować z lekkością i poczuciem Bożej Obecności.

## Różowy Popielec

W Angrenie Popielec zaczął się w kruchcie, czyli w pokoiku 3 na 3 metry przylegającym do kapliczki (4 na 5 m, 6 ławeczek). Było nas pięcioro: stróż Sza Niderquell, baba Tajsja, ciocia Zosia i Swietłana. Rozpaliliśmy koło piecyka ognisko z zasuszonych badyli róż (nikt nie miał zeszlorocznych palm), póki ogień się palił odmawialiśmy koronkę Miłosiernemu Jezusowi.

Cały pokój napełnił się dymem dokładnie tak, jak w „namiecie spotkania”. Kiedy skończyliśmy się modlić, rozdrobniłem łyżką stołową popiół w aluminiowym garnku (w nim było ognisko), zebrałem na talerzyk, poświęciłem wedle formuły mszalnej. Przeszliśmy do kaplicy, która też pachniała palonymi różami. Po czytaniach mszalnych wygłosiłem kazanie i posypałem głowy. Najpierw sobie, by przełamać lęk ludzi, którzy być może pierwszy raz widzą, jak to katolicy sami siebie brudzą. Potem podeszła najodważniejsza Swietłana, a za nią Zosia i Tajsja.



Ta ostatnia mocno zawiązała sobie dwie chusteczki na głowie, więc dość długo „przygotowywała” głowę do obrzędu.

Dla pewności tradycyjnie zrobiłem wszystkim babciom krzyżyk na czole umorusanym palcem, więc wyglądały jak hinduski, co wszystkich nieco rozbawiło.

Po nabożeństwie odprowadziłem z Saszą „całą parafię” na przystanek autobusowy, po czym udaliśmy się w drugi koniec miasta oglądać kolejny dom, do którego – być może – przeprowadzimy się, jeśli dojdzie do transakcji. Pod obecnym adresem bezskutecznie od kilku lat próbowaliśmy zarejestrować wspólnotę, ale dom nie spełnia wymogów Hakima, czyli burmistrza. Jest drewniany, nie spełnia norm bezpieczeństwa pożarowego, etc. Ponadto na naszym osiedlu mieszkają głównie muzułmanie i już zdążyły rozlokować się dwie rejestrowane wspólnoty katolickiej tradycji, jak mawiają tutaj o baptystach i adwentystach.

Nowe pomieszczenie znajduje się w „europejskiej dzielnicy” niedaleko trasy fergańskiej. Ma 8 pokoi, w tym jeden, jak studnia – 6 na 6 metrów i wysoki na 6 metrów, z kominkiem.

Tu mogłaby być kaplica. Na podwórku skarb – prawdziwa studnia. Wszyscy sąsiedzi z okolicy odwiedzają to miejsce, by dostać wody w suche letnie miesiące, kiedy wszystkie krany „mają urlop”. Na działce jest 100 drzewek, w tym 4 rodzaje winogron. Mnóstwo plusów i jeden minus... Bardzo wysoka cena. W sobotę ksiądz biskup pojedzie to wszystko oglądać.

Niespodzianie dla siebie zdążyłem jeszcze na „taszkiencki Popielec”. Ku zdziwieniu proboszcza i gwardiana, którym jest o. Lucjan, na wieczorne nabożeństwo przybyło około 100 osób. Ledwie starczyło popiołu. Nigdy wcześniej tak nie bywało. Sporo osób z koreańskiej wspólnoty i niemało dyplomatów. Toteż czytania mszalne były po rosyjsku, koreańsku i oprócz rosyjskiego, angielskie kazanie. Tutaj się przydałem. Resztę mszy św. spędziłem w konfesjonale i nie zdążyłem podejść na posypanie. Biskup zdziwił się, że nie podszedłem. Ripostowałem, że już w Angrenie posypałem sam siebie. Trochę to rozbawiło ekscelencję. Nigdy pewnie nie spotkał takiej sytuacji, by kapłan nie miał komu powierzyć tej misji. Następnym razem poproszę parafian, przecież szkolenie już otrzymali.

Ponadto obiecali, że za rok przyjdą z suchymi wierzbnami, bo gałązki wierzby zastępują na wschodzie palmy i palmowa niedziela tak się właśnie nazywa – wierzbową niedziela!

## Styczniowe refleksje

*„Rozdzierający jak tygrysa pazur antylopy plecy jest smutek człowieczy.  
Nie brooklyński most, lecz na drugą stronę życia przebić się,  
przez obłądu noc to jest dopiero coś”*

Edward Stachura

Nowy rok 2010 zaczął się dla mnie nostalgicznie. Cały Adwent chodziły mi po głowie te dziwne słowa Steda, i dotąd nie wychodzą. Pracuję i mieszkam w Taszkencie pośród sporej diaspory Koreańczyków, którzy od wielu lat stanowią dla mnie zagadkę.

Od kilku lat z przerwami studiuję ich obyczaje i język. Miałem już wcześniej z nimi bliski kontakt w Rosji, zwłaszcza trzy lata na Sachalinie. Dwukrotnie odwiedzałem Seul i okolice. Od ponad roku jestem ich kapelanem. Tym niemniej niejednokrotnie aż nazbyt boleśnie odczułem, że jestem nic nie wartym Europejczykiem, który ich mentalności i języka nie jest w stanie zgłębić.

Oto zbliża się kolejny księżycowy rok, Rok Tygrysa. Nie ma to dla mnie jakiegos szczególnego znaczenia. Nie studiowałem tych dalekowschodnich „zodiaków”, ale wiem, że w kulturze azjatyckiej to coś bardzo ważnego, podobnie jak w maju „Dzień chłopca”, lipcowy „Dzień zakochanych” czy „Czusok” czyli święto zmarłych, które wypada w czas jesiennego zrównania dnia i nocy. Starosta grupy koreańskiej z wielkim namaszczeniem wyjaśniał mi, że Katolicki Kościół w Korei wpisał te święta do swego kalendarza, tym tłumacząc wielki festyn parafialny, jaki planowali po raz kolejny przeprowadzić w dużej auli św. Antoniego przy taszkienckiej katedrze.

Aula była zajęta, bo odbywał się tego dnia koncert muzyki kameralnej. Pogoda dopisywała, więc wszystko się odbyło na placu przykościelnym. Parafianie przywieźli ogromną liczbę narodowych dań, tak jak Polacy na wigilię i estetycznie rozstawili na kilku stolach.

Każdy podchodził, jak w McDonaldsie, brał sobie duży plastikowy talerz i nakładał pałeczkami egzotyczne koreańskie dania. Przy tym „wypominkowym posiłku” rozmowy toczyły się nie tylko na temat zmarłych, ale również o bieżących problemach.



Ostatnio paląca stała się sprawa nieposłuszeństwa starosty, który ostentacyjnie bojkotuje wiele moich próśb.

Jedna z nich dotyczyła tego, abym był zapraszany na zebrania „rady parafialnej”. Co takiego super tajnego na tych zebraniach się odbywa, nie mam pojęcia? O większości ważnych zdarzeń wspólnoty jestem jedynie informowany, czyli stawia się mnie przed faktem dokonanym. Na przykład: „myśmy postanowili odprawić mszę św. w górach wtedy i wtedy”. Mogłem zaproponować inny, bardziej dogodny termin, ale dla świętego spokoju zgodziłem się na propozycję starosty. Potem był planowany wyjazd na poświęcenie kościoła do Buchary. Sam zaproponowałem ten wyjazd pociągiem. Zbuntowany starosta bez mrugnięcia okiem zakomunikował mi: „myśmy postanowili jechać pociągiem, ale wracać samolotem”. Tym sposobem połowa chętnych się wycofała, bo nie wszystkich Koreańczyków stać na samolot. Starosta nie ma tego wyczucia duszpasterskiego i popełnia mnóstwo błędów, jeden za drugim.

Cała wspólnota to widzi, po kątach obmawia i jego, i mnie, ale nabrzmiała sytuacja nie zmienia się, bo – uwaga, uwaga: „starosta jest starszy”! Ma 60 lat, a to dla Koreańczyków święty wiek, wiek mądrości. Z takimi wiekowymi ludźmi żaden młodszy nie śmie dyskutować. Taka kultura. Wielokrotnie dawał mi to do zrozumienia, że owszem, ja jestem księdzem, ale on JEST STARSZY. Rzecz nie do pomyślenia w Polsce. Myślę, że w Korei kapłani sobie z tym radzą, ja jednak jestem sparaliżowany. Na dodatek mój przyjaciel ojciec Lucjan kilkakrotnie dał mi do zrozumienia, że powinienem się uczyć inkulturacji. No cóż, staram się, ale nie zawsze mi to wychodzi.

W tym roku Księżycowy Nowy Rok przypada 15 lutego i już wiem, że starosta będzie mi wkrótce opowiadał, jakie to wielkie zdarzenie dla Kościoła Katolickiego w Korei. Mamy więc na karku kolejny festyn.

Co tam Boże Narodzenie? Rok Tygrysa! To dopiero będzie bal.



Pod moją nieobecność w trakcie adwentu ojciec Lucjan, taszkiencki proboszcz odkrył, ku swemu zdumieniu, że jego poprzednicy nie uporządkowali spraw sakramentu małżeństwa. Wiele naszych koreańskich par podchodziło do

spowiedzi bez tego sakramentu. Myśmy nie byli tego świadomi i oni sami też nie wiedzieli, że tak nie wolno.

Większość naszych parafian przyjmowała chrzest w wieku dorosłym, niektórzy w Taszkencie. Kościół, wedle nowego Kodeksu Kanonicznego z 1984 roku, daje prawo na mocy chrztu dorosłych uzdrawiać takie związki „w korzeniu”, ale to musi być załatwione formalnie, a nie było.

Powstało wielkie zamieszanie. Nic nie pomogła inkulturacja. Połowa parafian siłą rzeczy i bez mojej winy przestała przyjmować komunię świętą, niektórzy dopatrywali się kolejnego spisku polskich księży przeciwko „biednym Koreańczykom”. Niemniej zastosowali się do zaleceń proboszcza i czekają, co z tego wyniknie. Owszem, co bardziej operatywni zaczęli wydzwaniać do Seulu, by się upewnić, czy słuszne jest postępowanie księży z Taszkentu...

Starosta jak zwykle agituje, by czekać na przyjazd koreańskiego księdza, bo on to lepiej rozumie i wszystko sam załatwi. Podobna jest pozycja proboszcza. Co mi pozostaje? Smutno mi, ale czekam, że ten kolejny konflikt jakoś się załagodzi.



Grupa młodzieży przygotowywała przez cały adwent jasełka. Już od wielu lat nic takiego Koreańczycy nie robili, ale w tym roku się zmobilizowali. Pomysł podsunąłem ja proponując, aby pokazali bez słów historię „czwartego króla”. Opowiedziałem im ją na początku adwentu i gdy wróciłem na święta, zastałem całkiem inną interpretację.

Pokazali historię chłopca, który nikomu w niczym nie pomagał, ale lubił stać w kościele z pobożnie złożonymi rękoma. Śniło mu się, że jest królem i że anioł prosi go, aby zanieść trzy dary do Betlejem, kierując się światłem gwiazdy. Król z tego snu wysłał swoje sługi, a ci wracali z pustymi rękoma, bo ich po drodze ograbiono. Potem przyśnił mu się Jezus na krzyżu i bardzo go ta scena wzruszyła. Gdy się obudził, popędził do spowiedzi. Przez cały czas tego snu pojawiał mu się diabeł, który go buntował, by do Betlejem nie iść. W końcu scenki anioł przepędza diabła i kiedy chłopiec się spowiada, Jezus głaszcze go po głowie.

Byłem zadowolony, że dzieci wykazały inicjatywę i twórcze podejście i że w ogóle to doszło do skutku. Było aż piętnastu aktorów. Gdy po dwu tygodniach poprosiłem o powtórzenie spektaklu dla widzów z rosyjskojęzycznej grupy, ilość aktorów stopniała do dziecięciu. Miałem zamiar zaprosić ich na wyjazd w teren,

ale gdy się okazało, że chętnych, by pokazać jasełka w odległej angreńskiej parafii jest tylko pięciu, zrezygnowałem z pomysłu.



W międzyczasie ten sam reżyser, który wymyślił koncepcję koreańskich jasełek, ministrant Anzelmo, miał mi pomagać w zrobieniu podobnego przedstawienia z miejscową młodzieżą wspomnianej odległej parafii dojazdowej. Długi czas nic im nie wychodziło, biskup dwa razy odkładał wizytację, bo jasełka miały być gwoździem programu. Aby zapobiec pełnej klęsce, zaprosiłem aktorów z rosyjskojęzycznej grupy i zabrałem ich dla asekuracji. Czterech aktorów przywiózł ze sobą samochodem biskup, pozostałych pięciu przyjechało ze mną autobusem.

Rosyjskie jasełka bardzo się spodobały parafianom, bo były na temat. Została tam pokazana historia pary małżeńskiej, która się tradycyjnie kłóciła, jakie zakupy zrobić na święta, a tymczasem jedno ze zmartwionych dzieci miało widzenie i rozmawiało z aniołem, o tym, co to jest naprawdę Boże Narodzenie. I tu pojawiała się Matka Boża ze św. Józefem. Reszta jasełek wedle biblijnego tekstu...



Zdarzyło się tak, że wykorzystując autorytet Ravszana, jednego z nastolatków, zdołałem zgromadzić w parafii kilkunastu chłopców – miejscowych dzieciaków „chuliganów”, głównie tatarskiego pochodzenia. W adwencie kaplica pękała w szwach i ksiądz biskup zachęcał, by zrobić z nimi również jasełka. Obiecał, że sam przyjedzie popatrzeć, jak im się to uda. Oni wszystkich zadziwili. Postanowili zamiast historii Bożego Narodzenia pokazać jedno z moich kazań w swojej interpretacji. Ponoć próby robili całymi nocami. Byle nie zawieść!

Na jesieni głosiłem im kazanie o tym, jak pewien zmarły, chodząc po niebie w towarzystwie anioła, widział różnych pobożnych ludzi, jak śpiewają w chórze, koncertują na organach i głośno się modlą. Ale zmarły nie słyszał ich, natomiast dostrzegł swego synka, który ze świecą w dłoniach modlił się za niego i tylko jego głos było słychać. Anioł wyjaśnił zdziwionemu nieboszczykowi, że jedynie takie szczerze modlitwy dochodzą do nieba. Stąd słychać głos dziecka, a chóry, organy i orkiestry nie są słyszane.

Jasełka bardzo się spodobały parafianom i mnie osobiście. Uzbecka młodzież jest utalentowana i jak trzeba, potrafi w ciągu kilku dni się zmobilizować.



Martwiłem się w tym roku małą ilością zaproszeń na kolędę. W zeszłym roku było niewiele, a w tym roku – całkowita kłapa.

Były również niespodzianki. W Angrenie kolędowałem u jednej chorej babci. Kolęda polegała na tym, że babcia podała mi długą listę lekarstw i zakupów, więc półtorej godziny wędrowaliśmy z chłopcami po bazarach, sklepach i aptekach, by ją zadowolić. Potem towarzyszący mi tatarscy młodzieńcy zaprosili mnie na kolędę do siebie. Byli to chłopcy ze wspomnianej grupy aktorów.

Na pierwszej kolędzie młoda wdowa długo opowiadała mi o swych finansowych i zdrowotnych problemach. Zapewniłem, że mogę ją wesprzeć w sprawie leczenia, ale potrzebuję jakichś dokumentów, bo rzeczywiście Caritas wydaje dwa razy do roku pewną sumę pieniędzy na takie cele. Żał mi było kobiety, bo owdowiała młodo. Trójka dzieci i w domu bieda, aż piszczy.

Rodzice drugiego z chłopców zrezygnowali, bo się zrobiło późno i mieli już zaplanowany wieczór. Poszedłem więc do trzeciego. Mama chłopca o imieniu Rusłan długo przeproszała, że nie ma czym poczęstować i że nie wie, jak się zachować. Atmosfera była ciężka, bo ta kobieta również owdowiała i to całkiem niedawno. Chrzest przyjęła w kościele prawosławnym, ale ją tam nie ciągnie, bo jak powiada, nie ma z kim chodzić.

Po jasełkach jeszcze dwie babcie Rosjanki zdecydowały się niespodzianie, że też mnie zaproszą. Słaniałem się na nogach, ale poszedłem, bo drugi raz może się to nie zdarzyć.



Nadrobiłem poprzez „wirtualną kolędę”, którą wymyśliłem ad hoc. Odwiedzając „Naszą Klasę” pomyślałem, że niegłupio by było złożyć życzenia nie tylko kolegom z mojej klasy, ale całej szkole.

Aby tego dokonać, musiałem się zalogować jako gość na ogromnej ilości klas w podstawówce, a potem rozsyłać im tę kolędową pocztówkę.

Przetestowałem sprawę na rodzinnej wiosce Skrwilno i ponieważ odbiór był przesympatyczny „udałem się” do brodnickiego ogólniaka, a potem do włocławskiego, w którym robiłem maturę. Tam poszło mi nieco gorzej, bo niektórzy panowie z nieznanymi mi roczników obdarzyli mnie wulgarnymi epitetami. Ktoś napisał gniewnie: „nie wiesz kim jestem, nie pisz do mnie”, ktoś inny nazwał

mnie „panem” a pomysł poświęcenia komputera „profanacją”; jedna paniąka zapytała: „czemu ksiądz wybrał właśnie mnie?”, parę osób napisało: „jesteś chory”, inni: „wynoś się gościu”, a pewien ziomek z Włocławka, o takim samym jak ja nazwisku, napisał, nie przebiegając w słowach: „spierdalaj”.

To mnie przekonało, że jakiś procent rodaków z definicji nienawidzi księży i kościoła w irracjonalny, ale bardzo szczerzy sposób. I dąży do tego, by za wszelką cenę te uczucia wyrazić.

Tym niemniej na 700 klas różnych roczników, 350 osób zaprosiło mnie na listę znajomych i drugie tyle odpowiedziało sympatycznymi listami. Średnio – po jednym odzwie z każdej klasy. Dostałem też wiele zdjęć i wspomnień z rodzinnych stron oraz zaproszenia do odwiedzin, również online.

Najsympatyczniejszy był telefon pewnego proboszcza z Koła oraz list od włocławskiego Towarzystwa Genealogicznego. Odnalazł się też dzięki tej kolędzie kuzyn z Irlandii...

Ta kolęda kosztowała mnie dwa tygodnie niedospanych nocy, ale pokazała, że skoro nie puszczają drzwiami, to można wejść również przez komin albo przez ekran komputera i kolędowa ewangelizacja nie traci na aktualności.



Smutek rozdzierający, który towarzyszył mi w pierwszych dniach tego „Tygrysięgo Roku” rozwiął się, pękł jak mydlana bańka. Będę teraz myślał, jak ten misyjny pomysł zastosować w warunkach uzbeckich, czy taka rozsyłka będzie możliwa na tutejszych „web-stroniczkach”. Przecież nie uczyłem się w żadnej z tutejszych szkół. Ostrożność to podstawowa zasada w tych okolicach, zwłaszcza w środowisku muzułmańskim. W Uzbekistanie nawet na ksero nie wolno kopiować religijnych tekstów, bo właściciel koparki może zapłacić wielki mandat albo stracić pracę. Nie jest to wymysł czy teoria. Tak już się raz przytrafiło naszym siostrom kalkutkom. Jedyne wyjście to własna koparka w domu, jednak reguła zabrania im posiadania takich rzeczy jak ksero czy internet.

Może coś z czasem w głowie zaświta? Nie wiem. Niemniej, jak powiedział mi jeden z najmłodszych kolegów z LMK we Włocławku: „Ksiądz jako pierwszy skorzystał z „Naszej Klasy” w sposób niekomercyjny, czyli dokładnie w tym celu, do jakiego portal był powołany”. Pochwała młodego licealisty dodała mi skrzydeł. Myślę, że jest szansa na wykorzystanie internetu w dobrych celach i że kapłani też mogą swoje trzy grosze wtrącić w walce o tę przestrzeń.

Odczułem to bardzo mocno na sobie. Twórczością tą zajmowałem się nocami w chłodnym kurialnym biurze obok biblioteki parafialnej w Taszkencie. Cały czas jednak czułem, jakby ktoś przykładał mi ciepłą dłoń do serca i masował zbolące plecy, gdy tylko pojawiała się niechęć i znikaly siły do dalszej pracy.



Ostatnią ze swych styczniowych refleksji chciałem poświęcić sprawie ekumenicznej. Nie jest to łatwy temat i im dłużej żyję, tym więcej sceptycyzmu przepelnia moje serce. Tym niemniej co się da, to się robi. Wspaniałą zachętą do tego jest doroczny Tydzień Modlitwy o Jedność Chrześcijan.

Nie wiedziałem, czy warto niepokoić biskupa, bo nasze uzbeckie władze nie aprobują protestantów i każde zbliżenie z nimi to pewne ryzyko, że my również stracimy „dobre imię”.

Poprzez sms zakomunikowałem ekscelencji, że nasi taszkienccy protestanci mają co miesiąc zebrania pastorów i że każda denominacja ma prawo na kolejne spotkanie zaprosić do siebie. Miałem pomysł, żeby ich zaprosić właśnie na ten ekumeniczny tydzień, na stulecie edynburskiej misji ekumenicznej, jaka miała miejsce w Szkocji.

Ku memu zdziwieniu ksiądz biskup nie miał żadnych zastrzeżeń. Lekko też poszło ze sprawą wyżywienia grupy 40. pastorów. Każde takie spotkanie pełne modlitw i dyskusji kończy się „braterską herbatką” i ja do końca nie byłem pewien, jak to wypali. Podzieliłem się swą rozterką w trakcie kolędy u Koreańczyków.

Kobiety, którym to opowiedziałem, chętnie się zgodziły urządzić festyn. Przyczyną ich gotowości był fakt, że lwia część tutejszych pastorów to Koreańczycy właśnie. Oni mają tu w Taszkencie nawet dom formacyjny i prezbiteriańskie seminarium w dzielnicy Sergeli.

To najbardziej misyjnie umotywowany naród na świecie. Prócz prezbiterian przybyli baptyści, zielonoświątkowcy, bardzo wielu charyzmatyków – ogólnie mówiąc – sześć denominacji. Tradycyjnie zabrakło prawosławnych. Ksiądz biskup dał pieniądze na płow, młodzież pomogła zgotować herbatę, kupiła też słodczyce i wszystko wypadło tak pięknie, jak „Księżycowy Nowy Rok”.

Nabożeństwo wedle schematu edynburskiego poprowadził sam biskup w „górnym kościele”, śpiewy wykonywał katedralny chór i były to głównie pieśni z Taizé, spontaniczne modlitwy odbyły się w auli św. Antoniego.



Pastorowie nie ukrywali zadowolenia i entuzjazmu z powodu spotkania. W Europie Ekumeniczny Tydzień Modlitw jest dobrze znany, ale w Uzbekistanie o istnieniu tej tradycji usłyszeli po raz pierwszy. Padały nawet takie słowa przy robieniu zdjęć, że to pierwsze wspólne fotki zwaśnionych od 500 lat denominacji.



„Ten, kto nigdy nie żył” – taki filmowy podarunek dała mi pewna zakonnica na piętnastą rocznicę święceń kapłańskich. Dysk DVD przeleżał jakiś czas nietknięty. Potem trafił razem ze mną do Uzbekistanu i wreszcie obejrzałem ten film w tasmienckim klasztorze franciszkanów, wspólnie z grupą kilku zakonników, 40-latków.

Czytałem krytyczny tekst o tym filmie. Pewien dziennikarz roztkliwił się nad bohaterem żalując, że gdy ksiądz się jednak załamał i był nocą z dziewczyną w hotelu, to do niczego nie doszło. Na długo więc przed obejrzeniem filmu zostałem do niego zniechęcony spekulacjami „krytyków”. Tymczasem po projekcji wszystkie „dinozaury” w klasztorze przyznały, że film jest prawdziwy i że wielu z nas znalazło się na granicy ryzyka, niejeden przeżywał kryzysy, ale mało kto z nas o tym mówi czy pisze.

Póki nadal jesteśmy w sutannach i chodzimy po tym świecie, jesteśmy dla prasy, mediów słabym „newsem”. Wiadomo: dobry ksiądz, to...

Póki jednak żyję, chcę opisywać swoją historię i kryzysy... Nie spodziewam się żadnej ekranizacji. W kinie, jak i w wydawnictwach jest inne lobby. Harry Potter, magia wszelka, to jest na czasie. Smutne, ale prawdziwe. Piszę do szuflady, bo nie wiem, czy starczy mi odwagi, by to umieścić w internecie. Owszem, mam wielką pokusę, bo tylko tydzień dzieli mnie od jubileuszu 20 lat kapłaństwa.

## Drzwi Parafii Miłosierdzia Bożego zaplombowane!

*Proszę o pomoc w ważnej sprawie dotyczącej mojej obecnej parafii. Zaczynają się dziać rzeczy przykre i dlatego potrzebny jest szturm modlitewny. Uzbekistan to daleki kraj, ale ufam, że znajdą się ludzie w Polsce i nie tylko, których ta sprawa poruszy.*

*Chodzi o parafię Miłosierdzia Bożego, która znajduje się w wysokich górach Tien-Szan na wschód od Taszkientu. Parafia od wielu lat ubiega się o rejestrację, ale wciąż napotyka na różne trudności.*

*Liczę, że przez wstawiennictwo Jana Pawła II uda się wspólnie wyprosić, że pieczęcie milicji z naszej kaplicy zostaną zdjęte, ludzie otrzymają prawo, by się modlić, a ja uniknę kolejnej w moim życiu deportacji. Mam takie przeczucie, że milczenie niczego nie załatwi, na odwrót – rozzuchwala tutejsze władze, które poczynają sobie dużo gorzej, niż niegdyś władze w Rosji, które 9 lat temu usunęły biskupa Mazura z Irkucka i 4 innych księży pod pretekstem prozelityzmu. Tutaj też trwa wojna „z prozelitami”.*

*1 maja będzie kolejny odpust w mojej dojazdowej parafii w Angrenie.*

*Nie proszę o wiele, tylko o prawo, aby tam się modlić. Msza święta w Uzbekistanie niestety jest przestępstwem.*

### Szkie sytuacyjny

W Uzbekistanie od kilku dobrych lat zaostrzane są rygory względem wierzących. Dzieje się to pod hasłem walki z terroryzmem i muzułmańskim ekstremizmem. Sąsiedztwo z Afganistanem i pamięć niedawnych zdarzeń w Kirgizji niby legitymizuje wszelką ostrożność, ale przecież przez ostatnie kilkaset lat nie zanotowano przypadków chrześcijańskiego ekstremizmu. My w Uzbekistanie stanowimy tak nieznaną mniejszość, że to jest po prostu „wojna z wróblami” przy użyciu armat.

Tak zwana ludność rosyjskojęzyczna, czyli Europejczycy, Tatarzy i Koreańcy, którzy zasilają szeregi chrześcijańskich kościołów trzech głównych nurtów stanowią ledwie 10 procent ludności Uzbekistanu. Katolicy deklarują, że jest nas od 500 do 4000. Kogo się bać?

### Wspólnota w Angrenie

Moją parafię w Angrenie, 120 km na wschód od Taszkientu, niedaleko Fergany, oplombowano i zabroniono się modlić. Milicja zabrała książki liturgiczne i kasety filmowe. O rejestrację wspólnoty staramy się już 5 lat, ale wymogi, jakie nam stawia obecne prawodawstwo są trudne do spełnienia. Trzeba w państwie z islamską większością znaleźć 100 katolików, zebrać dane osobowe w 3 egzemplarzach i notarialnie potwierdzić, złożyć dyplom poświadczający wykształcenie proboszcza w notarialnie potwierdzonym przekładzie, zdobyć przychylność burmistrza a także pomieszczenie pozyskane poza sektorem prywatnym.

## Przebieg zdarzenia

Każdy z tych wymogów jest trudny do spełnienia w kraju, gdzie ludzie są zaszczuci, a administracja jawnie nieprzychylna. Nawet w czasach komuny nie odwiedzał mnie jako księdza prokurator i burmistrz w towarzystwie czterech milicjantów. Skądże mi takie honory? Przyszli taką wielką delegacją na niedzielną mszę świętą tylko po to, by mi przypomnieć, że jeszcze nie mam rejestracji, a skoro tak, to jestem nielegalny i mszy nie mogę odprawiać! Wszystkie te fakty miały miejsce 16 stycznia 2011 roku, czyli 4 tygodnie temu. Nie alarmowałem świata, bo te rzeczy są tu nagminne. Różnica tylko w tym, że dotąd tak traktowano protestantów, a teraz, może pomyłkowo, prześladowuje się też katolików.

## Nasza pozycja

Status naszego kościoła jest jakoby wyższy, bo nasz biskup jest attaché Watykanu i często widuje prezydenta oraz wyższe uzbeckie osobistości na oficjalnych przyjęciach. Zna cały korpus dyplomatyczny i ma nadzieję, że uda się sprawę rozwiązać w stylu wschodnim, czyli bez rozgłosu, po dżentelmeńsku.

Miesiąc takiej polityki nic nie dał. Może jestem w gorącej wodzie kąpany, ale sytuacja naprawdę jest nie do pozazdroszczenia.

Około 12 najdzielniejszych parafian od tej pory dojeżdża na niedzielną mszę 120 km do Taszkientu, poświęcając na to 10 godzin, czyli cały niemal dzień Są to osoby, które szykują się do chrztu. Z resztą spotykam się co sobotę w domach prywatnych i w herbaciarniach. Za każdym razem zmieniamy pomieszczenie, bo za takie spotkania grozi kara do 1000 dolarów i deportacja.

## Inne kuriozalne przypadki

Nasza Apostolska Administratura w Taszkencie składa się z zaledwie 5 parafii i dwu nierejestrowanych misji. Posługuje w niej ośmiu kapłanów zakonnych, dwu braci franciszkanów i osiem siostr misjonarek Matki Teresy.

Trudności w realizowaniu prawa o wolność sumienia i wyznawania wiary w Uzbekistanie, nawet w takim okrojonym kształcie, jaki proponuje konstytucja i inne akty uzupełniające, występowały już wcześniej.

Zabraniano się spotykać parafianom z miasta Navoya, gdzie sytuacja jest podobna jak w Angrenie. Tam nie ma kaplicy, parafianie zbierają się i modlą w prywatnym mieszkaniu. Były już okresy, że musieli przerwać te zebrania na wyraźne żądanie władz.

Zarejestrowana parafia w Urgenczu była szykanowana za to, że rok temu grupa młodzieży udała się na zlot katolików do Taszkientu. Proboszcz przez kilka tygodni odwiedzał szkoły, które od niego wymagały zaświadczenia, że do jego kościoła nikt z danej szkoły nie uczęszcza. Próbował wyjaśnić, na jakiej podstawie dyrektorzy szkół wymagają takich zaświadczeń. Okazało się, że oni są kontrolowani i robią to z lęku o swoją karierę. Proboszcz był bardzo gorliwy i konflikt uspokoił niekonwencjonalnymi metodami. Zajął się propagowaniem twórczości Anny German pochodzącej z tego miasta i zaczęto postrzegać kościół, jako przyjazną dla Uzbekistanu strukturę.

Hasłem do wielu nagonek stała się niefortunna wypowiedź uzbeckiego prezydenta z 8 grudnia 2009 roku. Ogłaszając rok 2010 rokiem harmonijnego rozwoju młodzieży apelował on, by chronić młode pokolenie od obcych miejscowym tradycjom prądów religijnych.

Rok temu zamknięto stołówkę w Ferganie, w której karmiono kilkadziesiąt dzieci z biednych rodzin. Zabroniono też przyjmowania dzieci na stancję. Franciszkanie mieli kilka miejsc noclegowych dla dzieci z rodzin patologicznych, które uciekały z domu z obawy o swe zdrowie i życie.

Dyrektorka jednej ze szkół żądała pisemnej deklaracji od pewnej mamy, że jej dzieci nie będą chodzić do kościoła.

Oto najbardziej jaskrawe przypadki utrudnień i represji na jakie natrafia niewielka katolicka struktura w Uzbekistanie.

Jeszcze gorzej ma się sprawa, gdy chodzi o inne wyznania. Około 30 wspólnot protestanckich zamknięto w ostatnim czasie pod zarzutem prozelityzmu, wiele osób obłożono mandatami za spotkania w domach prywatnych, jeden pastor odbywa wyrok 4 lat więzienia, wielu deportowano, zwłaszcza obywatele USA i Korei. Kilka kontenerów z wydaniem Biblii po rosyjsku i po uzbecku czeka na decyzję służb granicznych o przekazaniu Towarzystwu Biblijnemu, które rozprawia je dla wszystkich wspólnot wyznaniowych. Pretekst jest taki, że obecność tłumaczeń uzbeckich jest traktowana jako zamiar „nawracania” muzułmańskich obywateli tej narodowości. Żadna wspólnota protestancka czy katolicka nie była zarejestrowana na przestrzeni ostatnich 6 lat.

# Modlitwa - stary egzorcyzm franciszkański

(z przedwojennej broszurki)

Ten egzorcyzm przysłał mi znajomy kleryk salezjanin z Woźniakowa. Ten sam, którego prosiłem o informacje na temat albertynów, zanim wstąpiłem do seminarium.

Koronkę odmawiałem często gdy było mi ciężko. Kto wie, może to ona pomogła mi wytrwać do święceń, a potem na misjach. Jednego razu w Rostowie nad Donem poproszono mnie do pewnego domu, w którym dwu mężczyzn, ojciec i syn, zmarli jeden po drugim w zagadkowych okolicznościach i nie zdążyli przyjąć chrztu, mimo że planowali i wiele o tym mówili. Ich dom był po sąsiedzku z kaplicą Ostatniej Wieczerzy.

Bardzo się bałem tej posługi, bo wiedziałem, że egzorcyzmy to specjalność starszych doświadczonych księży, a ja miałem tylko 3 lata kapłaństwa. Opowiadano mi, że w tym domu straszy: szurają meble, biją się naczynia, otwierają szuflady.

Poszedłem, bo w okolicy nie było innego księdza. Całą drogę odmawiałem ten egzorcyzm i ludzie potwierdzili, że po poświęceniu mieszkania problem ustąpił.

Modlitwa jest stara i prosta, nie trzeba się długo uczyć.

Na wszelakie trudne chwile życia polecam:

## Odmawiać można prywatnie na różańcu:

Ojcze nasz..

Zdrowaś..

Wierzę..

## Duże paciorki:

TRÓJCO PRZENAJŚWIĘTSZA PRZEZ MIŁOŚĆ DO ANIOŁÓW I ŚWIĘTYCH WYRZUĆ SZATANA Z MOJEJ DUSZY I ZE ŚWIATA CAŁEGO!

## Małe paciorki:

W IMIĘ TRÓJCY PRZENAJŚWIĘTSZEJ, ANIOŁÓW I ŚWIĘTYCH, IDŹ SZATANIE Z MEGO DOMU, ODEJDŹ PRECZ ODE MNIE!

Ks. Jarosław Wiśniewski

## Posłowie – Suplement

Zapiski ujęte w „Pożegnaniu z diabłem” kończą się dramatycznym opisem sytuacji parafii w Angrenie i apelem ks. Jarosława Wiśniewskiego o modlitewne wsparcie w walce o utrzymanie tej placówki misyjnej. Niestety, parafii nie udało się zarejestrować. Ks. Wiśniewski opuścił Uzbekistan jakiś czas później, w roku 2013. Nie był to, oczywiście, koniec misyjnej odysei ks. Jarosława, a tylko zamknięcie kolejnego jej etapu. Po długich staraniach dostał zgodę na upragniony wyjazd do Papui-Nowej Gwinei, poprzedzony krótkim pobytem w Polsce, a następnie w USA, gdzie przygotowywał się do podjęcia posługi nad Pacyfikiem.

Ostatecznie trafił tam w 2014 roku. O tym, co dziś się z nim dzieje, w jakich warunkach żyje on i jego parafianie, czym papuańska posługa różni się od tych poprzednich, dowiadujemy się z rzadko dochodzących do Polski listów księdza i – ostatnio – relacji misyjnego współbrata z sąsiedniej parafii, o. Łukasza. Tam, gdzie na co dzień pracuje, nie ma bowiem internetu, co nie dziwi, skoro często brakuje nawet prądu i paliwa, a do swoich podopiecznych ksiądz dociera łodzią, przepływając setki mil. Urlop po dwu latach posługi ks. Jarosław spędził w Manili, na rekolekcjach w tamtejszym seminarium. Dostęp do ogólnościatowej sieci wykorzystał na zainicjowanie pewnej wyjątkowej akcji.



Co o ks. Jarosławie Wiśniewskim myślą ci, którzy mieli szansę go poznać? Abp Edward Ozorowski (przyjmował ks. Jarosława do białostockiego seminarium):

*„Ks. Jarosław Wiśniewski jest tak inny od wszystkich, że brakuje słowa, aby nim go określić. (...) Wyrósł, nie przepadł, rozwinął talenty, których ma dużo. Łatwo przyswajają języki obce, wystarczy, by usiadł na kamieniu, a już otaczają go dzieci, pociąga młodzież, potrafi zjednać narkomanów i innych życiowych rozbitków. Jedni go uwielbiają, inni go nie cierpią i prześladują (...) Ks. Jarosław, chociaż często zmienia swój adres, to jednak nigdy nie znalazł się poza Kościołem. Jest na swój sposób trubadurem Bożej Miłości”.*

O. Andrzej Madej OMI:

*„Jezu, dziękuję Ci za dar spotkania z bratem Jarostawem, za jego spokój, z jakim daje się rzucić wzburzonym falom, z daleka od wiślanych brzegów. Dziękuję Ci za kościoły, do otwarcia których przyłożył rękę. Jarostaw - apostoł Twój, za wzorem św. Pawła, chlubi się swą słabością.”*

Aleksandra Jezierska-Thole (geograf), Andrzej Jezierski (historyk) i Hubert Jezierski (prawnik), odbyli wspólną tygodniową podróż przez pustynię Kyzyl-kum. W jej trakcie:

*„...ks. Jarostaw nie dbał o wygody i przedmioty zewnętrzne. Jego głównym posiłkiem były chleb i mleko. Sił nabierał, kładąc się na rozgrzanych kamieniach. Był nad wyraz skromny (...). W pierwszej kolejności myślał o współtowarzyszach podróży, a o sobie - na samym końcu. Zachowaniem swoim misjonarz Jarostaw Wiśniewski powraca do czasów misji apostołów Chrystusa. Przekazuje ludziom najpiękniejsze wartości duchowe. W swoim posługiwaniu na krańcach świata napotyka na wiele trudności i nieporozumień. Pochyla się nad każdym biednym i ułomnym. Jego zaangażowanie nasuwa skojarzenia z działalnością brata Alberta Chmielowskiego (...) Ks. Jarostaw - to taki „samotny żagiel na wietrze”. Od dawna trzyma się jednego kursu, cierpiąc, chorując, tęskniąc za najbliższymi w Polsce.”*

Igor Baranczykow (rosyjski piosenkarz i ewangelizator chrześcijański, koncertujący w więzieniach, domach poprawczych, zakładach dla uzależnionych - przeciw narkotykom, aborcji):

*„Najjaśniejszy punkt w geografii moich misyjnych podróży stanowi współpraca z ks. Jarkiem Wiśniewskim, który jest dla mnie nie tyle kapłanem i misjonarzem, co po prostu wspaniałym chłopakiem. Stanice, chutory - kozackie przestrzenie Rosji, Ukrainy, Syberii od Irkucka do Sachalina, a nawet Uzbekistanu - to miejsca, które wspólnie odwiedzaliśmy. Odrodzenie katolicyzmu na syberyjskiej ziemi stanowi częstą naszą wspólną pracę, która do dziś służy mi jako iskra w duszy. (...) Tysiące zranionych dusz miały okazję, by pomyśleć o swym losie. Głębokie kazania ks. Jarka przybliżyły ludzi do Boga i pomogły zmienić ich życie na lepsze.”*

Inna Bielousowa- Kizskarewicz (Sybiraczka, o pielgrzymce młodzieży do Rzymu):

*„To on sprawił, że nasza wyprawa była prawdziwą pielgrzymką dla wszystkich, którzy takiego właśnie przeżycia pragnęli. Swym przykładem uczył nas daru mo-*

*dlitwy i właściwego zachowania w świętych miejscach. Uczył, jak i do kogo zwracać się w trudnych chwilach... Jeszcze nie spotkałam w swym życiu ascety, który by pościł z takim zaufaniem do Boga oraz do końca, bez smutku, doprowadzał podjęte postanowienia. Zapamiętałam go w czarnej sutannie, z różańcem oraz Biblią w rękę i w otoczeniu dzieci. Obcując z nimi sam sprawiał wrażenie dziecka. W podziw wprawiały jego spotkania z obcokrajowcami. Tego księdza znają i kochają nie tylko w ogromnej Rosji, ale w wielu różnych krajach.”*

Paulina Witek ( dziennikarka telewizyjna):

*„Gdyby polski Kościół miał twarz księdza Jarka, to byłibyśmy na mszy co tydzień – piszę my, syci ludzie z wielkiego miasta, którzy w świątyniach pojawiają się tylko przy okazji ślubów i pogrzebów (...). Oto poznajemy człowieka wiary i idei, który żyje by pomagać innym. Odważnego i bezkompromisowego. Jedna para zniszczonych butów, jedna para przetartych spodni, sfatygowana koszula. Pensja rozchodzi się co miesiąc na bilety do Polski dla repatriantów i podróże między parafiami na końcu świata, gdzie głosi Słowo Boże. Potrafi przez kilkanaście godzin tłuc się autobusem w nieludzkich warunkach, bo jedna z parafianek trafiła do szpitala z otwartym wrzodem i trzeba ją wesprzeć. (...) Najważniejsi są inni. A dla tych „innych” niezależnie od wyznania, ksiądz Jarek ma serce otwarte.”*

Powyższe świadectwa pochodzą z wcześniejszych książek ks. Jarosława Wiśniewskiego. Wypowiedzi abp Edwarda Ozorowskiego, o. Andrzeja Madeja OMI zostały opublikowane w książkach „Bezdomny z wyboru. Zapiski misjonarza ze Wschodu”( Tyniec. Wydawnictwo Benedyktynów, 2010) i „Korzenie. Komiks powołaniowy” (Wydawnictwo BUK, 2012)

Igora Baranczykowa i Inny Bielousowej-Kiszkarewicz, Aleksandry Jezierskiej-Thole, Andrzeja Jezierskiego i Huberta Jezierskiego w „Syberii w obrazkach. Komiksie misyjnym” (Wydawnictwo BUK, 2011). A Pauliny Witek – w „Gadających stopach, czyli Chochlandii” (Wydawnictwo BUK, 2013).



Poniżej, nigdzie wcześniej nie publikowane świadectwa, napisane specjalnie dla potrzeb książki „Pożegnanie z diabłem”:

*„Na informację o Ks. Jarosławie Wiśniewskim natrafiłam w Internecie „przypadkiem”. Gdy szukałam wiadomości o Kamczatce, zaintrygowało mnie*



*polско brzmiące nazwisko proboszcza parafii rzymsko- katolickiej p.w. Św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Pietropawłowsku Kamczackim. Tak trafiłam na stronę „www.xjarek.net”, na której Ks. Jarosław dzielił się swoimi doświadczeniami misyjnymi. Lektura była fascynująca. Byłam już na emeryturze, miałam dużo wolnego czasu, postanowiłam odpowiedzieć na hasło Księdza „napisz do mnie”. W tym czasie Ks. Jarosław uznany, jako „persona non grata” w Rosji, pracował na Ukrainie w Donbasie. Tak zaczęła się korespondencyjna znajomość.*

*W 2008 roku Ks. Jarosław wyjechał do Taszkentu w Uzbekistanie. Nasza korespondencja trwała nadal. Jesienią tego roku stwierdzono u mnie raka płuc, przeszłam wszystkie możliwe badania i zaproponowano mi operację 21 grudnia 2008 roku. Mając świadomość ryzyka wiążącego się z tą operacją poprosiłam o przesunięcie jej terminu. Chciałam Święta Bożego Narodzenia, może ostatnie, spędzić z rodziną. Postanowiłam też poinformować o tym Księdza. Nie prosiłam Go nawet o modlitwę, po prostu chciałam, żeby wiedział, dlaczego nie odpisuję na jego listy. 7 stycznia 2009 roku, zgłosiłam się do szpitala na operację polegającą na usunięciu płata płuca prawego. Kiedy obudziłam się po operacji, stał nade mną chirurg i powiedział: „nie ma pani raka” półprzytomna odpowiedziałam: „wiem, wyciął go pan” – „nie, nie miała go pani”. Okazało się, że mimo przygotowania mnie do resekcji płata płuca, chirurg postanowił najpierw wykonać tzw. torakoskopię, to pozwoliło uniknąć rozpiłowania żeber i otwarcia klatki piersiowej. Następnego dnia byłam w domu i poinformowałam o tym Księdza Jarostawa. W ciągu kilkunastu minut otrzymałam odpowiedź: „Wcale się nie dziwię, bo cała parafia w Angrenie modliła się za panią”. Dojazdowa parafia w Angrenie to było wielkie marzenie i troska Ks. Jarostawa. Działała w ukryciu, nielegalnie i niestety nie udało się Księdzu jej zarejestrować.*

*W czasie pracy w Uzbekistanie Ks. Jarosław trzykrotnie odwiedzał Kraków, raz spotkaliśmy się w Tyńcu gdzie w benedyktyńskim wydawnictwie wydawał książkę, raz, kiedy z grupą koreańskich pielgrzymów zatrzymał się u mnie na noc, kolejny raz spotkaliśmy się na Jego rekolekcjach głoszonych u oo. Kapucynów przy ul. Loretańskiej. Tam poznałam Panią Magdę, redaktorkę książki „Pożegnanie z diabłem”. Czwarte spotkanie miało miejsce już po zakończeniu pracy w Uzbekistanie, a przed samym wyjazdem na misje do Papui – Nowej Gwinei. Ksiądz w czasie pobytu w Taszkencie pomagał dzieciom z rodzin o polskich korzeniach dostać się do szkół i na studia w Polsce. Dzięki Niemu w Warszawie, Wrocławiu, Lublinie i Krakowie w gimnazjach i liceach uczyły się duże grupy dzieciaków,*

a na wyższych uczelniach Krakowa, Rzeszowa, Wrocławia, Łodzi i Warszawy studiowało wielu studentów z Uzbekistanu. Ksiądz szukał dla nich sponsorów, żeby opłacić internat czy koszty przejazdu, dla nieletnich – opiekunów prawnych na terenie Polski, a dla wszystkich, osób które pomogą im stawiać pierwsze kroki w nowym środowisku z daleka od rodziny. Dla tej właśnie młodzieży, żeby nie spędzała Świąt Bożego Narodzenia samotnie w internatach, zorganizował obóz wędrowny i na koniec przyjechał z nią na kilka dni do Krakowa. To był piękny czas nie tylko dla tych dzieci.

Ksiądz Jarosław Wiśniewski ma dar, dar nie tylko zawiązywania znajomości między ludźmi, ale łączenia ich więzami trwałej przyjaźni. Nie ma znaczenia wiek, wykształcenie, zainteresowania czy kraj pochodzenia. Ja dzięki Niemu poznałam rodzinę Państwa Rojeckich z Białegostoku – Mamę Czesławę i Jej synów Stanisława i Jerzego, Panią Magdę Lebecką i Jej męża Leszka z Krakowa, Gienię Prichodko z mężem Antonem i Tamarę Karimową z Taszkentu. Gienia i Tamara przyjechały do Krakowa na studia. Mimo różnicy wieku dwóch pokoleń, a może właśnie dlatego, łączą nas więzi tak bliskie, jak rodzinne. Mimo, że Gienia z mężem obecnie pracuje i mieszka w Gdyni, spędzamy razem święta, dzwoniemy i piszemy do siebie często. Tamara jest dla mnie jak wnuczka, zawsze chętna do pomocy, a jak ma jakieś problemy rozwiązujemy je wspólnie. Kiedy Ksiądz Jarosław zwrócił się z apelem o przesyłanie pluszowych zabawek dla papuaskich dzieci, pomagała pakować paczki zawoziła na pocztę.

Dzięki tym przyjaźniom i wielu innym znajomościom zawartym dzięki Księdzu Jarosławowi moje życie nabrało zupełnie nowego sensu. Dzielimy się wiadomościami o Księdzu, cieszymy się z sukcesów i martwimy się o Niego. Na drugim końcu świata jest ktoś, dla nas wszystkich bardzo ważny”.

Antonina Piwowarczyk (Kraków)



„Księdza Jarka pamiętam od dawna, jak pierwszy raz był na naszej parafii Św. Rodziny w Czarnej Białostockiej. Pamiętam, jak parafianie kupili mu kurtkę i buty, bo ich nie miał, a on oddał je – jak to określił – bardziej potrzebującym, a sam dalej chodził w sandałach.

*W moim życiu ks. Jarek pojawił się z nienacka. Moja córka Urszula zachorowała na białaczkę, lekarze powoli opuszczali ręce, a my z rodziną modliliśmy się o cud i prosiliśmy wielu ludzi o modlitwę. Cud się zdarzył, Bóg odpowiedział powołaniem wielu ludzi do modlitwy. Modlił się również ks. Jarek z całymi misjami. Pisał do Uli listy i tak, gdy ona odeszła nawiązałem z nim kontakt, nie chcąc, by listy zostały bez odpowiedzi. Okazało się, że mnie odwiedzi, bo będzie w Polsce. Oczywiście nie sam, tylko z kupą dzieciaków, które przywiózł z misji do szkoły w Warszawie. Jarek to człowiek Boga, to Jego posłaniec do ubogich, cierpiących i chorych, do tych, którzy zagubieni szukają swego domu. Takich jak on jest mało i wśród świeckich i wśród kapłanów. Na te dzieci, które sprowadził zawsze organizował środki sam albo znajdował ludzi, którzy to robili. To mały i skromny ksiądz katolicki, z tak wielkim sercem, że nie wiem jak się w nim mieści.”*

Krzysztof Jeromin



*„Poznałam Księdza Jarosława zaraz po tym, jak skierowano go do pracy misyjnej w Uzbekistanie. Skromnie siedział z tyłu, schowany za tłumem gości w taszkenckiej Świątlicy Polskiej, gdzie ja śpiewałam w zespole piosenki staropolskiej „Społem” (nazwę wybraliśmy, kiedy nikt z członków zespołu jeszcze ani razu nie był w Polsce i nie wiedział, że kiedyś była tu sieć sklepów z taką właśnie nazwą). Nie pamiętam, z jakiej okazji był ten koncert, ale po nim Ksiądz Jarosław zaprosił nasz zespół do śpiewania w kościele...*

*W czasach, kiedy poznałam Księdza Jarosława, uważałam siebie za ateistkę. Nie to, że nie wierzyłam w Boga, tylko że nie należałam do żadnej wspólnoty religijnej. Czy Ksiądz Jarosław mnie nawrócił? Pewnie tak! Tylko nigdy tak naprawdę mnie nie nawracał – to były zwykłe ludzkie rozmowy czasem przy stole, czasem na kościelnym podwórku, gdzie zbierała się młodzież. Bez fałszu, hipokryzji i moralizatorstwa. Z autentyczną ciekawością i zaangażowaniem. Teraz rozumiem, że z racji wieku i doświadczenia po prostu wiedział, na jakim etapie jestem i czego potrzebuję.*

*Tych okazji do rozmów nie było za wiele, ale poza rozmowami były też inne rzeczy – raz poprosił mnie z narzeczonym byśmy pojechali z „jego” dziećmi na weekend, gdyż sam nie mógł, a opłacił im tam pobyt i wyżywienie*

*i ktoś musiał tymi dzieciakami pokierować i przypilnować je; kolejnym razem trzeba było poprowadzić zajęcia z języka i kultury polskiej dla grupy dzieci, które przygotowywał do nauki w liceum w Polsce; były też koncerty, zajęcia muzyczne ...*

*Wychowałam się w rodzinie bez ojca, ponieważ mama nie chciała się pogodzić z pijaństwem i bijatykami. Nie czułam, że jest niepełna: miałam czterech wujków, siostrę, kupę kuzynek i parę kuzynów. A przede wszystkim miałam Babcię! Do szóstego roku życia prawie cały czas mieszkałam z babcią na wsi. Później zaczęła się szkoła i szkoła muzyczna, ale prawie wszystkie weekendy i całe wakacje i tak spędzałam na wsi. U Babci.*

*Czas leciał. Kiedy już byłam na uniwersytecie i dodatkowo przygotowywałam się do egzaminów w akademii muzycznej Babcia oznajmiła, że już nie czuje się dobrze z samotnym życiem i utrzymywaniem domu i swojego niewielkiego gospodarstwa na wsi. Wtedy sprzedaliśmy dom i Babcia przeprowadziła się na stałe do Taszkentu. Wtedy właśnie poznałam niezwykłego kapłana, Księdza Jarka i zaczęłam chodzić do kościoła. Zakładam, że starzy czytelnicy potrafią wyobrazić sobie, jakie miejsce zajmowała religia na terenach poradzieckiej Azji Środkowej. Nie było źle, bo to było już 15 lat po rozpadzie Związku, z którego zresztą pamiętam tylko mleko w trójkątnych kartonach, marmoladę i „czerwone duszki”, które teraz chyba nie zmieściłyby się do mojego portfela. Nie było źle, ale Azja Środkowa rządzi się nieco innymi prawami. Mimo faktu, że wśród obywateli Uzbekistanu są przedstawiciele ponad 130 narodowości i konstytucja gwarantuje m.in. wolność wyznaniową, dominującą częścią społeczeństwa są muzułmanie (ok. 96%), 2-3% są prawosławni, i tylko 1-2% pozostali, w tym katolicy.*

*Kościół katolicki w Taszkencie jest tylko jeden. Dosłownie. Jeden budynek. Ładny, odbudowany dopiero w 1993 roku w stylu neogotyckim. Jedyne miejsce poza akademią muzyczną, gdzie można było posłuchać muzyki organowej. Mieszkańcy lubią go i zwą Kościół (w odróżnieniu od cerkwi i meczetów kościół stał się nazwą własną, słowa tego nikt nie tłumaczy). Często mówią też „kościół polski”, choć msza po polsku odbywa się tylko raz na miesiąc i Polaków jest tam zaledwie garstka, a większość parafian to Koreańczycy oraz pracownicy ambasad i ich rodziny. To za sprawą braci franciszkanów z Polski, którzy od początku zajmowali się odbudową kościoła i pracą misyjną w całym kraju.*

*Moja Babcia była kubańską Kozaczką urodzoną w 1926 roku na Kaukazie. Podejrzewam, że Babcia była ochrzczona, lecz nie mam pojęcia, czy była faktycznie - przecież mówimy o czasach kołchozów, prodraszjorstki, donosów, głodu, a później*

*i wojny; czasach, które okaleczyły tyle rodzin. Religię uznawano za opium ludu, za blekot. Urodzeni po wojnie i już w Taszkencie, ani moja mama, ani jej bracia też nie byli ochrzczeni. Można było stracić pracę i nie znaleźć kolejnej, a z piątką dzieci to nie był żart.*

*My z siostrą zostałyśmy ochrzczone na Trzech Króli w 1991 w cerkwi prawosławnej. Miałam wtedy 4 lata, siostra 2. Kiedy poznałam Ks. Jarostawa, miałam może 20. Nie byłam wtedy katoliczką, prawosławną też nie, raczej osobą, co w tej rubryce zaznaczają: bez wyznania lub ateista. Ale bywałam w kościele dosyć regularnie poprzez swoją działalność w taszkенckiej Świątlicy polskiej.*

*Babcia i mama poznały Ks. Jarka podczas kolędy w styczniu 2007 roku. W Taszkencie księża nie chodzą po kolędzie, lecz jeżdżą, ponieważ parafianie są rozsypani po olbrzymiej stolicy. Ks. Jarostaw zadzwonił, wyjaśnił, o co chodzi z kolędą i zapytał, czy może przyjechać. Co tu się zaczęło! Ksiądz w domu. Zaszczyt. Strucla z makiem, koniecznie. Placek? Cztery! Pieczeń, czy może co innego? Dobrze, że zdołałam uświadomić Babci, że Ks. Jarek jest wegetarianinem ze względów zdrowotnych. I tak się poznali. Ksiądz bywał u nas nie tylko podczas kolędowania. Dzwonił, że chce przyjechać, i drzwi zawsze były otwarte. Czasem nawet przyprowadzał znajomych. My z mężem kiedyś nocowaliśmy na plebanii w Samarkandzie, bo to były 2 tygodnie Ks. Jarka w tej parafii, nie mógł przyjechać na ślub, więc zaprosił nas wtedy w małą podróż poślubną do sąsiedniego miasta.*

*Kilka lat później wyjechałam do Krakowa, żeby uczyć się polskiego i robić magisterkę. Marzyło mi się, że za 3-5 lat uda mi się przywieźć tu Babcię, wynająć taki mały elektryczny samochodzik turystyczny i pokazać jej moją małą polską ojczyznę: kościół Dominikanów i kościół Franciszkanów naprzeciwko, ołtarz Wita Stwosza, mój ulubiony kościół Piotra i Pawła, pospacerować plantami oraz bulwarem nad Wisłą, zapoznać ją z moją krakowską babcią – starszą panią z Podgórze, którą poznałam i polubiłam dzięki jej otwartości na świat i wiadomości SMS od Ks. Jarka wysłanej kilka godzin przed moim wylotem z Taszkentu. To marzenie niestety się nie ziściło. Byłam na pierwszszym roku, kiedy po Sylwestrze Babcia idąc się położyć nie zauważyła psa, który zawsze spał przy jej łóżku, potknęła się, upadła i zwichnęła/złamała staw biodrowy. Mocny ból i łóżko. Zabroniła mi przyjeżdżać, bo przecież za drogo i to na pewno jeszcze nie koniec, bo nie widziała jeszcze wszystkich prawnuków. Po kilku tygodniach od unieruchomienia zdecydowała się na operację, choć nikt nie gwarantował, że w wieku 87 lat serce wytrzyma narkozę. Operacja przebiegła pomyślnie. Oczywiście, czekała ją długa rehabilitacja, lecz wszystko*

wydawało się być w porządku. Tyle że nikt nie wiedział, że pielęgniarki lekceważą swoje obowiązki, bo pacjentów leżących trzeba posadzić, przewrócić, od czasu do czasu oklepać, trzeba ich karmić, bo im się nie chce. Rodzinę do reanimacji wpuszcza się na bardzo krótko lub wcale. W domu mama prawie wyleczyła odleżyny, ale masaż i oklepywanie tylko odciągnęły rozwój zapalenia płuc. Po operacji, z nowym biodrem i po prawie dwóch miesiącach bólu moja Babcia, która najbardziej na świecie chciała umrzeć spokojnie w domu we własnym łóżku, zmarła podczas reanimacji w szpitalu, gdzie trzeba było wyklócać się dostownie o wszystko i płacić lub grozić skargami pielęgniarkom, żeby wejść na oddział i zrobić za nie ich pracę.

Przed operacją, kiedy Babcia jeszcze leżała w domu, pewnego dnia rozmawiałam z mamą (przez telefon) i ona zapytała mnie, czy może zadzwonić do Ks. Jarka. Wzruszyłam ramionami, po czym zrozumiałam, że mama mnie nie widzi i odpowiedziałam na głos, że chyba tak. Uświadomiłam sobie wtedy, jak prostą rzeczą było u nas dzielenie się radością i zapraszanie do uczestnictwa w rzeczach przyjemnych i jak trudno jest poprosić o zwyczajną rozmowę kogoś „z zewnątrz”, bo nie chcemy przekładać swoich problemów na innych.

Ks. Jarek po raz pierwszy przyjechał tego samego wieczoru, później był jeszcze kilka razy. Przepraszał, bo musiał opuszczać Taszkent, żeby odprawiać msze w sąsiednim miasteczku Angrenie. Nie liczył czasu. Mama pozostawiała go w pokoju z Babcią, oni rozmawiali nieraz po kilka godzin pod rząd. Mama tylko robiła im co jakiś czas kolejną herbatę i donosiła talerz z owocami. Nie sądzę, żeby w trakcie tych rozmów któregoś wieczoru odbyło się namaszczenie chorych, nie mam pojęcia, czy moja Babcia wiedziała, co to takiego, ale jestem przekonana, że te rozmowy były jej spowiedzią życiową. Mówiąc o ks. Jarku ... Nie wiem, dlaczego przychodził, nie wiem, o czym myślał, pojęcia nie mam, o czym wtedy rozmawiali, nadal nie rozumiem połowy tego, co robi, ale jestem mu wdzięczna po kres życia, że wtedy był u nas w domu. Tak po prostu. Nie miał obowiązku, bo Babcia nie była jego parafianką. Nigdy nie odwiedziła nawet taszkenckiego kościoła polskiego. Mama nigdy nie poprosiłaby go o poświęcenie aż takiej ilości czasu jednej osobie i jednej rodzinie. A mimo to był. Tak po prostu”.

Gienia Prichodko (Taszkient / Gdynia)





Wybór korespondencji między Polską a Papuą-Nową Gwineą, obecnym miejscem pracy misjonarza ks. Jarosława Wiśniewskiego.

*Dzięki Bogu, Papua jest moim domem!*

*Tak to odczuwam od pierwszej chwili. Ludzie są prości i bardzo ufni... takich lubię. Niektórzy przyszli do kościoła niedawno, inni pamiętają pierwszych misjonarzy, jacy tu przybyli 50 lub więcej lat temu. Mimo wszystko kościół jest tu bardzo świeży.*

*Krąży tu legenda o misjonarzu, którego pół wieku temu zjedzono razem z butami. Misjonarz był smaczny, zwłaszcza jego palce, ale plastikowe buty okazały się trujące i od tej pory Papuasi mają do nas zabobonny szacunek; nawet nie próbują myśleć o jedzeniu nas...*

*Co do mej podróży i wrażeń, to donoszę uprzejmie, że jeszcze nie dojechałem do swojej diecezji, bo biskup William Fey z Kimbe (wyspa West New Britain) skierował mnie na kurs papuaskiego dialektu pidzin w górach (okolice Mendi i Mount Hagen), ale w następną niedzielę już będę wiedział co i jak, bo mamy się z biskupem spotkać w piątek. W diecezji Mendi, gdzie obecnie jestem, tylko 5 parafii ma elektryczność i niewiele posiada internet. Mam dopiero drugą okazję gościnnie posiedzieć w sieci i donoszę uprzejmie, że wszystko jest tu piękne - zwłaszcza ludzie i przyroda. Tak jak w Polsce 50 lat temu: domy pod strzechą, na widok księdza ludzie piszczą z radości i długo machają widząc jego samochód. Sami parafianie nie posiadają ani telewizorów, ani rowerów, tym bardziej motocykli etc. Niektórzy mają telefony komórkowe i jest to największy przejaw cywilizacji tutaj. Kościoły i kaplice pękają w szwach i nawet w dni powszednie jest kilkadziesiąt ludzi. W większości kaplic nie ma ławek i siedzi się na podłodze. Kaplice są super proste - z blachy giętej albo z drewna. Duch oazy wszędzie dominuje, bo Msze są „pod gitarę”, a katechiści mają tak wiele uprawnień, jak moderatorzy na oazach i praktycznie zarządzają wspólnotami, do których ksiądz dociera raz na miesiąc. Nie wiem, czy taka właśnie czeka mnie praca, ale już nie mogę się doczekać informacji co i jak.*

*Fajne jest to, że napotkałem tu w Mendi misjonarzy Świętej Rodziny - tych samych ludzi, których spotkaliśmy z moim młodszym bratem Piotrem na lotnisku Okęcie w Warszawie 11 lat temu i spędziliśmy z nimi cały dzień w Świdrze pod Warszawą. Gościł u nich wtedy biskup Steven Reichert z Mendi, którego przodkowie pochowani są w Złotowie - diecezja Koszalińska. To był mój pierwszy kontakt*

*z Papuą. Wtedy napisałem pierwsze podanie o skierowanie mnie tutaj. Tamten biskup został przeniesiony do innej diecezji i jest obecnie arcybiskupem w Madang nad Oceanem, ale mam z nim łączność duchową, bo z powodu zimna dali mi jego kurtkę, którą 2 lata temu pozostawił w Mendi i od tygodnia w niej defiluję. Nie było daremne, cośmy wtedy z bratem na Okęciu przeżyli – jest co wspominać. Czasami trzeba poczekać 11 lat i więcej na to, czego się bardzo pragnie...*

x. Jarosław Wiśniewski

(14.07.2014)



*Szczęść Boże,*

*Po dwu latach harówki jestem na zastępnym urlopie na Filipinach, w kampusie Jezuickiego Uniwersytetu ATENEO i będę tu aż do końca listopada. To taki mały sabbatical połączony ze studiami odnowy pastoralnej. Instytut nazywa się EAPI (wschodnio-azjatycki instytut pastoralny). Każdy student ma bezpłatny Wi-Fi, więc będę dostępny. Przepraszam, ale w Papui Internet był zbyt wolny. I zbyt drogi, jak na moje zszarpane nerwy. Przez te dwa lata nauczyłem się znowu pisać papierowe listy i ci, których adresy udało mi się odszukać w pamięci, już wiedzą, że jestem cały i zdrow. Pewien czarodziej obiecywał, że mnie otruje, ale na razie obietnicy nie dotrzymał. Natomiast zaatakowała mnie malaria 28 maja w trakcie mojego jubileuszu 25-lecia. Miało to wymiar symboliczny. Cieszę się, że mam to już za sobą. Znałem jak dotąd malarię z opisów Sienkiewicza, a teraz sam to mogę opisać... Byłem ciekaw, co to jest. Powiem tak – jest to nieciekawe. W trakcie malarii głupie myśli przychodzą do głowy. Chce się wyc z bólu. Pierwszego dnia miałem ponad 40 stopni gorączki i nie mogłem się doczołgać do toalety, bo miałem sparaliżowane plecy...*

*Praca wśród Papuasów jest wyróżnieniem dla mnie i powiem, że wielokrotnie czułem się pobytym tutaj namaszczone, ale wszystko co piękne, dużo kosztuje.*

*Powoli przestaję dostrzegać egzotykę tego kraju, a jedynie łapię motywy, które mnie zbliżają do tej kultury. I stopniowo zaczynam się z nią identyfikować. Nowe języki zawsze lubię oswajać, a tutaj jak małe dziecko bawię się krótkimi przekładami piosenek z przedszkola. I bardzo mi to pomaga w pracy. Jeden z dwu kolegów, który rok temu dojechał z Polski, po pół roku się poddał i wyjechał do*



rodzinnego Rzeszowa. Drugi, z Sandomierza trwa, ale też nie ma lekko. Jak na niego patrzę, to po kolei przechodzi te wszystkie fobie, jakie i ja musiałem przejść... Napiszę więcej, jak się zagospodaruję na Filipinach. Jak na razie to mam kręčka w głowie. Ponad stu studentów jest ze mną na tym samym kursie, z trzydziestu paru azjatyckich i kilku afrykańskich krajów. Przyplątał się też jeden Argentyńczyk. My dwaj jesteśmy tutaj białego koloru, reszta – to wszystkie odcienie tęczy.

Zapowiada się ciekawie. Dla chętnych jest możliwość odbycia 30. dniowych jezuickich rekolekcji, a nawet zrobienia licencjatu, ale nad tym to trzeba długo posiedzieć.

Pozdrawiam z Manili - Quezon City,

x. Jarek

(1.08.2016)



*Bilans z mojego pobytu w Papui:*

1. Opuściłem Polskę na Sylwestra 2013.
2. Odbyłem studia językowe w Waszyngtonie. Byłem świadkiem święceń biskupich ks. Andrzeja Zglejszewskiego w Nowym Jorku.
3. 25-lecie kapłaństwa świętowałem na Filipinach 2016.
4. Wakacje na Wyspach Salomona 2017.
5. Praca w buszu: Sasavoru 2 lata, Valupai 1 rok, Bariai 2 lata.
6. Zrujnowałem 4 zęby i lewe oko – widzę tylko sylwetki. Chroniczna malaria - 11 razy.
7. Odbyłem 3 piesze pielgrzymki do grobu błogosławionego katechety Piotra Torrota, 300 km w dwa tygodnie.
8. 12 innych pielgrzymek z młodzieżą na 100 lecie Fatimy.
9. Powyższy program trwa nadal ku mojemu zdumieniu i radości, pochtania cały mój czas i energię.
10. Rozdałem dzieciom ponad 1000 paczek, które nadsyłane były z Polski przez ostatnie 3 lata. Wszystkim dziękuję za to serdecznie i proszę o jeszcze.
11. 7 lipca 2020 wygasa mi wiza i kontrakt. Proszę o modlitwę i pomoc Ducha Świętego o podjęcie właściwej decyzji o pozostaniu lub podjęciu innych misji.
12. Wszystkich, którzy czekali na wieści ode mnie pozdrawiam i przepraszam, że moje milczenie trwało tak długo.

*Ten list powstał dzięki pomocy rodaka, franciszkanina Łukasza, który pracuje po sąsiedzku i okazał mi grzeczność i serce w pisaniu tych listów. Proszę o zdrowaskę w jego intencji.*

x.Jarosław  
(10.11.2019)



*Szczęść Boże Ojcie Łukaszu,*

*Dotarł do mnie mail od Ojca z informacją o ks. Jarku. Bardzo się cieszę, że u niego wszystko dobrze. Mam jednak prośbę, czy może Ojciec podać konto, na które można od czasu do czasu przelać wsparcie finansowe dla ks. Jarka?*

*(...) Jego podopieczni z Taszkientu ukończyli nasze Liceum polonijne z powodzeniem, większość studiuje, są też tacy, którzy pracują, a niektórzy podróżują po Europie. Michał i Robert planują się ożenić. Robert zamierza przyjąć chrzest, a Michał przeszedł z protestantyzmu na katolicyzm. Obaj studiują i świetnie sobie radzą.*

*Będę wdzięczna, jeśli będzie mógł Ojciec przekazać te informacje ks. Jarkowi, bo to jego starania zmieniły ścieżki ich życia.*

Pozdrawiam serdecznie

Ewa Petrykiewicz

Dyrektor Liceum, Kolegium św. St. Kostki

(28.10.2019)



*Szczęść Boże Ojcie Łukaszu,*

*Po otrzymaniu ostatniej wiadomości o sytuacji Ks. Jarosława, nie bardzo wiedziałam co myśleć i jak można Mu pomóc. Wczoraj modliłam się przed obrazem Matki Bożej Dobrej Rady, która jest patronką naszej parafii i przyszło mi na myśl coś, co wydaje się oczywiste. Jeśli Pan Bóg pragnie, aby Ks. Jarosław oddał życie za Misję, to tak się stanie, ale jeśli dotąd Opatrzność Boża czuwała nad Nim i pozwalała ujść z życiem z tylu niebezpieczeństw, to widocznie ma jeszcze dla Niego inne plany. Jeszcze może wiele zrobić dla Misji, Kościoła i ludzi, ale do tego potrzebne jest zdrowie. Dlatego pierwszym Jego obowiązkiem jest przyjazd do*

*Polski dla poratowania zdrowia. Mądrość ludowa nakazuje matce w pierwszej kolejności zadbać o swoje zdrowie, nawet wbrew temu co podpowiada serce. Jeśli zabraknie matki, to jakie szanse mają jej dzieci? Każdy z Was, Misjonarzy, ma wiele takich dzieci, które czekają na to, że zaprowadzicie je do Jezusa. Ks. Jarosław powinien o tym pamiętać.*

*Przygotowałam dla Ks. Jarosława paczkę z różnymi drobiazgami, które się mogą przydać. Będzie w niej również list do Księdza. Mam nadzieję, że przesyłka dotrze przed Świętami Bożego Narodzenia. Ojca zaś, bardzo proszę o przekonanie Ks. Jarosława, że nawet tu w Polsce, może wiele zrobić dla misji w Papui i nie tylko.*

*Serdecznie Ojca pozdrawiam i polecam Ojca i Ks. Jarosława opiece Matki Bożej Dobrej Rady, z Panem Bogiem!*

Antonina Piwowarczyk

(11.11.2019)



*Szczęść Boże pani Antonino!*

*Ks. Jarosław przekazuje:*

*Malaria, zęby i oczy nie są chorobami śmiertelnymi. To jest doping do pracy. Zamówiłem bilet do Polski na 7 lipca. Wtedy się okaże, czy zostaję czy przedłużam kontakt.*

*Dzięki za paczkę z prezentami, proszę dorzucić parę różańców. To lepszy prezent, niż cokolwiek innego.*

*Koniec przekazu.*

.....  
O. Łukasz Kwiatkowski

(11.11.2019)

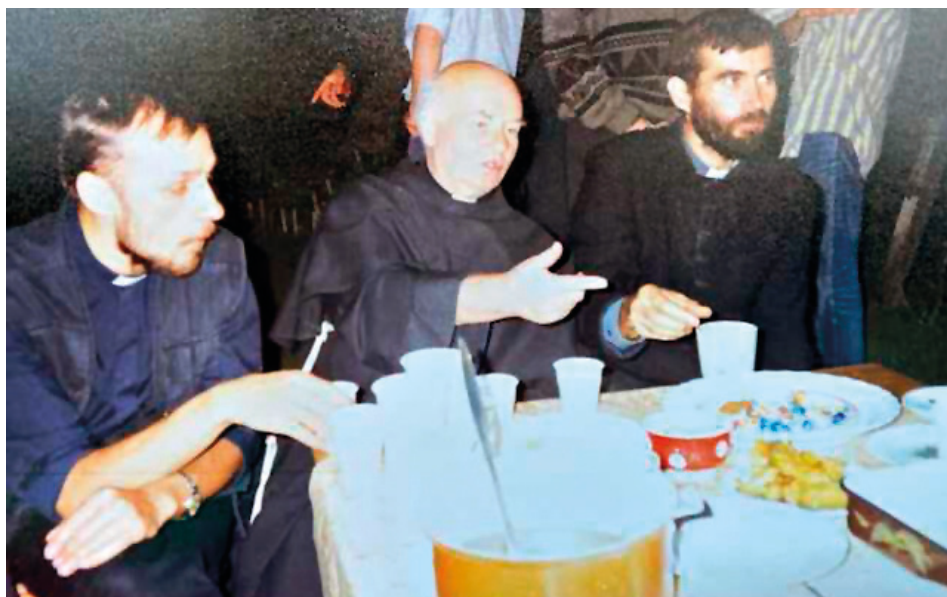




Kaplica w Azowie 1997 r.







Azow 1997 r., Rosja



Azow 1997 r., Rosja



Biskup Klemens Pickel z młodzieżą, 1997 r.





Fresk ks. Jarka w par. Św. Michała w Lae Papua Nowa Gwinea





Fresk ks. Jarka w par. Św. Michała w Lae Papua Nowa Gwinea



Fresk ks. Jarka w par. Św. Michała w Lae Papua Nowa Gwinea





Fresk ks. Jarka w par. Św. Michała w Lae Papua Nowa Gwinea

